

WEDNESDAY MARTIN
NACZELNE
z Park Avenue

NIEUSTRASZONA BADACZKA
NA TROPIE JEDNEGO Z NAJdziwniejszych
PLEMION ŚwiATA: NAJBOGATSZYCH
MIESZKANEK NOWEGO JORKU

Wednesday Martin

NACZELNE
Z PARK AVENUE

znak *litera
nova*

Dla Blossom
i Daphne.
I dla wszystkich
mam

Wprowadzenie

Jednym z prezentów, jakie dostałam po urodzeniu pierwszego syna, była książeczka dla dzieci. Otrzymałam ją od starej przyjaciółki, matki dwojga, która nadal mieszka w małym miasteczku w Michigan, gdzie obie dorastałyśmy. Książka miała powitać na świecie mojego synka i podkreślić, że mieszkam teraz w Nowym Jorku, miejscu znacząco różnym od tego, w którym spędziłyśmy dzieciństwo. *Urban Babies Wear Black* (Miejskie dzieci ubierają się na czarno) to kartonowa, dziwnie zilustrowana książka, wyjaśniająca krótko i treściwie, niczym wykład socjologiczny w pigułce, różnice między dziećmi z wielkiego miasta a innymi – począwszy od ubrań (czarne i stylowe kontra różowe/niebieskie i słodziuchne), przez jedzenie i picie (sushi i latte kontra hot dogi i mleko), formy spędzania czasu (chodzenie do opery i galerii sztuki kontra plac zabaw). Jestem przekonana, że książka bardziej spodobała się mnie niż mojemu synkowi. Podczas naszych pierwszych wspólnych tygodni w domu ciągle mu ją czytałam. Czasem łapałam się na tym, że czytałam mu ją, nawet gdy ucinał sobie drzemkę.

W końcu dotarło do mnie, że podoba mi się w niej także to, że mówi coś o matkach tych dzieci. Istoty te były widoczne jedynie jako drobne, acz atrakcyjne kawałki – a to but na szpilce, a to kosztowna smycz dla psa – gdy przechadzały się, biegały, wzywały taksówki, nosiły swoje brzdące po kartach książki, dzięki czemu dzieci stawały się tak samo szykowne i miejskie jak one. Uważnie studiowałam manicure i obszyte futrem nosidełka, czytając synkowi na głos. Kim tak naprawdę były te wytworne, stylowe kobiety z wyrafinowanymi dziećmi? Co one robiły? I w jaki sposób?

Chciałam poznać więcej mam miejskich dzieci, bo chciałam dowiedzieć się więcej o podobnych do mnie innych manhattańskich mamach. Jako że byłam kobietą posiadającą potomstwo na uprzemysłowionym Zachodzie, moje macierzyństwo znacząco różniło się od tego, o czym latami się uczyłam i pisałam podczas pracy naukowej, gdy jako socjolog koncentrowałam się przede wszystkim na historii i ewolucji życia rodzinnego. Zbieracze i myśliwi, żyjąc tak, jak dawniej żyli nasi przodkowie, wychowywali dzieci wspólnie, w rozwiniętej sieci społecznej złożonej z matek, sióstr, siostrzenic i tym podobnych – osób, na które można było liczyć w kwestii opieki nad małymi dziećmi (a nawet karmienia piersią), choć nie były to ich własne dzieci. Moja mama miała coś w rodzaju takiego systemu wsparcia w Michigan, gdy moi bracia i ja dorastaliśmy. Mniej więcej tuzin sąsiadek, niepracujących matek, stał się dla niej rodziną zastępczą, którą mogła wezwać, jeśli musiała coś załatwić, chciała się zdrzemnąć albo po prostu pragnęła

towarzystwa dorosłych. My tymczasem bawiliśmy się z innymi dziećmi. Podwórka łączyły nasze domy, matki i nas siecią wzajemnego altruizmu: ty pomożesz mnie, a ja pomogę tobie. Dziś ja rzucę okiem na bawiące się dzieci, a jutro ty ich dopilnujesz. Dzięki za mąkę, przyniosę ci kawałek ciasta, gdy się upiecze.

W Nowym Jorku było zupełnie inaczej – mimo fizycznej bliskości wielu osób ja i mój syn wiedliśmy bardzo prywatne życie. Rzadko nawet widywałam innych mieszkańców Dolnego Manhattanu, zajętych własnymi sprawami. Wszystko, co robili, działo się w pomieszczeniach – biurach, apartamentach, szkołach – niedostępnych dla ogółu. Opuściłam swoich bliskich, mieszkałam daleko od rodzinnych stron, nie miałam więc żadnych krewnych, do których mogłabym się zwrócić o pomoc. Najbliżej mieszkała moja nabyta rodzina – teściowie, którzy z radością się z nami spotykali, ale ze względu na wiek nie byli w stanie wiele pomóc. Poza tym – jako że w Stanach Zjednoczonych małżonkowie mieszkają neolokalnie, po ślubie opuszczają rodzinę, by założyć własne gospodarstwo domowe – i tak dzieliło nas pół godziny jazdy.

Tymczasem mój mąż, tak jak mój ojciec i wielu innych ojców na Zachodzie, a zwłaszcza na Manhattanie – w bardzo drogiej dzielnicy, gdzie presja wywierana na utrzymujących rodzinę jest ogromna – wrócił do pracy zaledwie po tygodniu spędzonym ze mną i dzieckiem. Przez jakiś czas odwiedzała nas niania noworodkowa – zatrudniana z polecenia osoba, która ma pomagać w podstawowej opiece nad noworodkiem, czyli tym, czego uczyły nas dawniej matki i babki. Przychodziła każdego ranka z uśmiechem na twarzy, pomagała oraz przypominała mi, czego uczyłam się ostatnio na prowadzonym na oddziale położniczym krótkim kursie opieki nad maleństwem, a także znacznie wcześniej, gdy sama byłam opiekunką do dzieci. Jeśli nie liczyć jej i znajomych, którzy czasem wpadali z wizytą, przeważnie zostawałam sam na sam z nowo narodzonym synkiem oraz z niepokojem, czy poradzę sobie z codziennymi wyzwaniem macierzyństwa.

Czułam się trochę jak ktoś w areszcie domowym. Mieliśmy wspaniały maleńki ogródek na tyłach budynku, gdzie uwielbiałam przesiadywać z dzieckiem. Poza tym nie odczuwałam wielkiej ochoty, by wychodzić z domu. Taksówkarze kamikadze, masy spieszących się osób, odgłosy młotów pneumatycznych i klaksonów sprawiły, że miasto, które wielbiłam przez ponad dziesięć lat, nagle stało się nieprzyjazne, a nawet niebezpieczne dla mojego syna. Bliska przyjaciółka, która urodziła na krótko przede mną, tak rozczarowała się wielkomięskim macierzyństwem, że uciekła na przedmieścia. Nie udało mi się z nikim zaprzyjaźnić w pobliskim studiu jogi Mama & Ja. Mimo że żadna z ćwiczących jogę mam raczej nie pracowała zawodowo, każdego dnia po zajęciach rozchodziły się, uprzejmie kiwając sobie głowami na pożegnanie. Prawdopodobnie spieszyły się do swoich domów, swoich własnych dzieci i swoich spraw.

Często się zastanawiałam, kto mnie nauczy, jak być miejską mamą

miejskiego dziecka.



Urodziłam się na Środkowym Zachodzie, moje dzieciństwo było więc względnie tradycyjne. Każdego dnia szłam do szkoły w towarzystwie grupki dzieci z sąsiedztwa, wracaliśmy, a po lekcjach aż do wieczora bawiliśmy się w chowanego albo bez żadnego nadzoru wałęsaliśmy się po podwórkach lub pobliskim lasku. W weekendy jeździliśmy na rowerach i chodziliśmy na spotkania skautów. Gdy byłam starsza, wieczorami czasem pracowałam jako opiekunka do dzieci, co wydawało się naturalną pierwszą pracą dla doświadczonej starszej siostry i było popularnym zajęciem wśród młodych w wieku przedrozrodczym.

Prawdopodobnie jedyną wyróżniającą się rzeczą w mojej przeszłości, czymś, co teraz mogłoby pomóc mi znaleźć jakiś punkt oparcia, była fascynacja mojej matki antropologią i wówczas nowo powstałą socjobiologią. Jej ulubioną lekturą było *Dojrzewanie na Samoa* Margaret Mead. Kiedy ukazała się ona po raz pierwszy w 1928 roku, sugestia autorki, że zachodnia wizja dzieciństwa i adolescencji nie jest jedyną ani najlepszą opcją oraz że Samoanccy prawdopodobnie lepiej sobie z tym radzą, wywołała skandal w całym kraju. Podobnie stało się przy drugim wydaniu w 1972 roku. Mama tłumaczyła mi, że Mead jest antropolożką. Przygląda się ludziom z różnych kultur, uczy się o nich, mieszkając wśród nich i zachowując się jak oni. A potem pisze o tym książki. Praca antropologa wydawała mi się więc niezwykle egzotyczna, wspaniała i kusząca, zwłaszcza że w moim otoczeniu matki były przeważnie gospodyniami domowymi, a ojcowie lekarzami lub prawnikami.

Były to także czasy Jane Goodall, czarującej blondynki w kucyku, spodniach khaki i kapeluszu safari, która stała się twarzą prymatologii. Goodall – która obserwowała oraz chroniła swoje stado szympanсів w Gombe w Tanzanii i przedstawiła je światu dzięki „National Geographic” – była dla mnie jak gwiazda rocka. W naszym domu przy kolacji rozmawiało się o tym, jak tacie minął dzień, jak mamie minął dzień, jak było w szkole oraz... o Mary Leakey, matce trojga dzieci, z nieodłącznym papierosem w ustach, której odkrycie skamieniałości w wąwozie Olduvai i Laetoli w Tanzanii zmuszało do przemyślenia ludzkiej prehistorii na nowo.

Kiedy moi młodszy bracia sprzecali się przy obiedzie, mama przywoływała teorie Roberta Triversa o rodzicielskiej inwestycji i rywalizacji między rodzeństwem. Kiedy zaś byli grzeczni, mówiła o doborze krewniaczym i altruizmie. Czy to nie dziwne – zadumała się pewnego razu, rozmyślając o E.O. Wilsonie, gdy składała pranie, a miałam wtedy mniej więcej dziesięć lat – że gdyby miał mnie przejechać samochód, a ona by mnie uratowała, zrobiłaby to nie tylko dlatego, by ocalić mnie, lecz także swoje własne geny?

Takie zupełnie niesentymentalne (choć może uproszczone około 1975 roku) ujęcie socjobiologii macierzyństwa, ta całkowicie nowa teoria związków między rodzicami a dziećmi, przykuła moją uwagę. Co w połączeniu z biblioteczką mojej mamy – książki Mead stały tam obok tomów Colina Turnbulla (poświęconych plemionom Ików z Ugandy i Pigmejów Mbuti z Zairu), Betty Friedan *The Hite Report* (Raportu Hite) i *Silent Spring* (Cichej wiosny) oraz piętrzących się stosów „Natural History Magazine” – prawdopodobnie pchnęło mnie w kierunku studiowania antropologii biologicznej i kulturowej, z naciskiem na losy kobiet. Nic nie fascynowało mnie bardziej niż zwyczaje pielęgnacji, zawieranie przyjaźni i walka o dominację u pawianów na sawannie. Albo światy wewnątrz światów, jak grecki system bractw studenckich na studenckim kampusie, ze szczegółowo zaplanowanymi rytuałami inicjacji, pełną pasji lojalnością i rywalizacją. Uczyłam się o małpach Starego i Nowego Świata, o rozmiarach mózgow u *Homo habilis* i *Homo ergaster*, a także pisałam o tym, że dziewczęta z siostrzeństw nie różnią się zbyt od małp człekokształtnych.

Gdy miałam dwadzieścia parę lat, w poszukiwaniu wrażeń przeprowadziłam się do Nowego Jorku, by tam pisać doktorat z kulturoznawstwa i literatury porównawczej. Manhattan całkowicie mnie zmienił – moje cele (obroniłam doktorat, ale stwierdziłam, że wcale nie chcę być naukowcem), wycucie mody (ubrania, którymi zawsze się interesowałam, stały się niemal obsesją w mieście pełnym pięknych lub pięknie ubranych kobiet), a nawet to, kim byłam na poziomie komórkowym (czysta ekscytacja z przebywania w wielkim mieście wpływała na mój poziom kortyzolu i metabolizm, przekształcając mnie w typową chudą, cierpiącą na bezsenność manhattankę). Naładowana energią pisywałam i redagowałam dla różnych czasopism, a także prowadziłam zajęcia z mojej dziedziny, by opłacić czynsz.

Dekadę później, opóźniony małżeństwo i rodzenie dzieci zgodnie z tendencją obserwowaną u wykształconych trzydziestokilkulatek z bogatych metropolii, wyszłam za mąż za ironicznego tubylca, związanego zawodowo i uczuciowo ze swoim miastem. Urodził się tam i tam się wychował, co dla mnie było równie egzotyczne jak pochodzenie z Tahiti. Albo z Samoa. Miał ogromną wiedzę o historii miasta i wydawało się, że prawie o każdej ulicy, dzielnicy czy o każdym budynku potrafi opowiedzieć jakąś osobistą anegdotkę. Jeśli tylko pojawiała się u mnie jakakolwiek wątpliwość co do życia w Nowym Jorku, rozbrajał ją natychmiast swoją pasją. Pociągające było też to, że na miejscu mieszkali jego rodzice, brat i bratowa, a także co weekend odwiedzały go jego nastoletnie córki z poprzedniego małżeństwa. Biorąc pod uwagę, że moja rodzina była tak daleko, jego rodzina jawiła mi się jako będąca wygodnie pod ręką i gotowa do wykorzystania.

Nowy Jork miał też dodatkową zaletę, a mianowicie był jednym z niewielu

miejszc, gdzie pisarka taka jak ja mogła się utrzymać, pracując w różnorodnych niszach ekologicznych, takich jak reklama, rynek wydawniczy i nauczanie. To rojne i pełne życia miasto przywodziło mi na myśl las deszczowy, jedyne środowisko prócz Nowego Jorku, w którym mogło egzystować tak wiele rozmaitych form życia. Przez pewien czas mieszkałam w dzielnicy hinduskiej, przylegającej do peruwiańskiej, potem przeniosłam się w pobliże enklawy zwanej Małą Szwecją. Mój mąż nie ruszał się z miejsca i nie przeszkadzało mi to. Osiedliliśmy się w centrum miasta i sześć miesięcy po ślubie byłam już w ciąży. Nigdy nie myśleliśmy o wyprowadzce z Nowego Jorku. W końcu mój mąż się tu wychował, a ja zadałam sobie spory trud, żeby się tu sprowadzić z bardzo daleka. Dlaczego naszemu potomstwu miałoby tu nie być wystarczająco dobrze? Moment, w którym to do nas dotarło – będziemy mieć dziecko! – był więc radosny nie tylko ze względów osobistych. Stanowił również początek czegoś większego niż ja, moje małżeństwo, moje pochodzenie czy uczucia związane z rolą matki. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że oznaczał zmianę, moją inicjację do innego świata – świata manhattańskich matek.



Ta książka przedstawia ciekawszą niż fikcja historię o tym, co odkryłam, gdy rozpoczęłam eksperyment naukowy polegający na subiektywnym badaniu macierzyństwa na Manhattanie. To opowieść o innym świecie – nie przesadzam. Przenieśliśmy się na Górny Manhattan po 11 września, pragnąc zarówno ucieczki od tragedii, jak i bliskości rodziny mojego męża. Ze względu na dziecko wydawało się to wtedy szczególnie ważne. Kiedy świat zmienił się w niebezpieczne miejsce, a nasze miasto stało się tak bezbronne, chcieliśmy zapewnić sobie i naszemu synowi komfort życia wśród kochających krewnych. To było łatwe. Trzeba było jeszcze poznać tamtejsze matki i nauczyć się żyć wśród nich.

Osiedliliśmy się w końcu na Park Avenue, w okolicy numerów siedemdziesiątych. Ze swojej bazy wypuszczałam się na spotkania grupy Mama & Ja, zapisywałam syna na lekcje muzyki, spierałam się z nianiami, wychodziłam na kawę w towarzystwie innych mam albo na „castingi” do przedszkola mojego pierworodnego dziecka, a potem także jego młodszego brata.

W międzyczasie zorientowałam się, że macierzyństwo to zupełnie osobna wyspa na wyspie zwanej Manhattan, a matki z Upper East Side to już całkowicie odrębne plemię. Tworzyły one pewnego rodzaju tajne stowarzyszenie, w którym obowiązywały całkowicie dla mnie nowe zasady, rytuały, uniformy i wzorce migracji oraz związane z nimi przekonania, ambicje i praktyki kulturowe, o jakich mi się nie śniło.

Sukcesywne przekształcanie się w mamę z Upper East Side było dla mnie doświadczeniem przeżywanym z trwogą. Niezwykle zamożne i czułe na punkcie

statusu społecznego otoczenie, w którym wylądowaliśmy, oraz sprawiające wrażenie wyniosłych, niewiarygodnie wystrojone matki, zdawały się obce i przerażające. Jednak, podobnie jak ssaki wyższego rzędu i ludzie, dla własnego dobra, choć przede wszystkim dla dobra mojego dziecka, a potem także drugiego syna, pragnęłam się wpasować.

Ze studiów nad literaturą i antropologią dobrze wiedziałam, że bez poczucia przynależności i prawdziwej przynależności my, mały człekokształtne, jesteśmy zgubieni. Wyrzutki, zarówno w literaturze, jak i w życiu, mogą być ciekawymi antybohaterami, którym się kibicuje, ale zwykle są oni po prostu godni politowania. Od Odyseusza po Daisy Miller, od Hucka Finna po Hester Prynne, od Isabel Archer po Lily Bart – outsiderom i wyrzutkom społecznym, zwłaszcza płci żeńskiej, nie wiedzie się najlepiej. Niechronione, pozbawione wsparcia sieci społecznej, umierają symbolicznie lub dosłownie, nie tylko na kartach książek, ale i w społeczeństwie lub gdzieś w dziczy, czego dobitnie dowiedli biologzy terenowi. Poza tym nikt nie ryzykuje bardziej niż samica z nowo narodzonym potomkiem, która chce dołączyć do innego stada. Prymatolodzy twierdzą, że szympanśica usiłująca wejść do obcej grupy jest często narażona na prześladowanie i doświadcza przemocy fizycznej ze strony samic. Niekiedy nawet ginie wraz z dzieckiem z rąk tych, u których szukała wspólnoty.

Oczywiście, kiedy szukałam swojego miejsca na Upper East Side, nikt nie pragnął mojej krwi, a przynajmniej nie dosłownie. Wejście w to środowisko i zyskanie akceptacji wydawało się jednak niezmiernie ważne, wręcz naglące. Kto chce być na uboczu? Kto nie chce chodzić na kawę z przyjaciółkami po odprowadzeniu dzieci do przedszkola? Któż by nie chciał, żeby jego dziecko miało kolegów do wspólnej zabawy? Teściowie i mąż cały czas mi pomagali, podpowiadając na przykład, gdzie chodzić na zakupy spożywcze, a także wyjaśniając zagmatwane reguły najróżniejszych gal, organizowanych z przesadą bar i bat micw, klubów i stowarzyszeń, zarządów wspólnot mieszkaniowych i innych obcych mi rytuałów i praktyk specyficznych dla nowego miejsca zamieszkania. Kultura matek z Upper East Side była jednak czymś jeszcze innym, z czym musiałam poradzić sobie sama, bo przecież to ja byłam mamą, która chciała – potrzebowała! – grać według ich zasad. Owszem, przez cały czas, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, mnóstwo razy zapuszczałam się na Górny Manhattan. Wiedziałam, że ocieka kasą i przywilejami. Wiedziałam, że powściągliwość to słowo tam nieznanne. Wiedziałam, że zarówno ubiór, jak i filozofia oraz etos różnią się od tych z Dolnego Manhattanu. Nie było innego sposobu, by poznać tajemniczy świat tamtejszych matek – musiałam po prostu do nich dołączyć. Gdybym nie miała dziecka, mogłabym nawet nie zauważyć równoległego wszechświata uprzywilejowanych rodziców i uprzywilejowanych dzieci. Jako matka czułam, że po prostu muszę go zrozumieć, zinfiltrować, złamać

kulturowy kod, że to jest moim obowiązkiem. Poznawanie matek wokół mnie i uczenie się od nich było dla mnie przygodą tak dziwną i pełną niespodzianek, że nic, czego się wcześniej uczyłam lub co przeżyłam – na przykład masajski rytuał biegu po bydle i picia krwi, walki na topory u amazońskich Janomamów albo pijackie ceremonie inicjacyjne bractwa studenckiego na jednym z najlepszych uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych – nie mogło się z tym równać ani nie mogło mnie na to przygotować.

Dzieciństwo na Upper East Side nie jest zwykle pod żadnym względem. Są tam szoferzy, nianie, helikopterowe przejażdżki do Hamptons. „Właściwe” lekcje muzyki dla dwulatków, tutorzy dla trzylatków, mający przygotować je do egzaminów wstępnych i rozmów kwalifikacyjnych do przedszkola, doradcy zabawowi dla czterolatków, które nie potrafią się same bawić – nie mają na to czasu, bo ich grafik jest wypełniony „zajęciami doskonalącymi”, takimi jak: francuski, mandaryński, „mali naukowcy”, lekcje gotowania, a także golfem, tenisem, emisją głosu – a wszystko to po zajęciach w przedszkolu. Są doradcy do spraw ubioru, którzy podpowiadają mamom, co włożyć na odprowadzanie i odbieranie dziecka ze szkoły. A na placach zabaw czy przyjęciach urodzinowych wartych pięć tysięcy dolarów albo i więcej, odbywających się w apartamentach tak wielkich i tak wysokich, że mogą pomieścić (i mieszczą!) pełnowymiarowy dmuchany zamek, widuje się niebotycznie wysokie obcasy oraz zapierające dech w piersiach futra od J. Mendela lub Toma Forda.

Jeśli tamtejsze dzieciństwo jest niezwykle, to macierzyństwo przekracza wszelkie granice dziwaczności. Z pierwszej ręki dowiadywałam się o tym, co wyznacza życie uprzywilejowanych idealnych kobiet, wśród których zamieszkałam. Odkryłam, że swoją tożsamość budują przez okrutne, specyficzne dla Upper East Side rytuały przejścia: rozmowy kwalifikacyjne z zarządem wspólnoty budynku czy łańcuch szkół na kolejnych poziomach edukacji (*school exmissions*); kult ćwiczeń w fitness klubach Physique 57 lub jazdy na rowerach stacjonarnych w SoulCycle, gdzie świetnie wykształcone, lecz często zatrudniane poniżej swoich kwalifikacji bogate kobiety, które na własny użytek nazwałam Manhattańskimi Gejszami, zastępują swoje ambicje zawodowe udoskonalaniem własnych ciał. Występują tu obsesyjne wręcz pragnienia luksusowych przedmiotów „nie do zdobycia” (mnie także to dotyczyło, gdy już stałam się „swoją” – zapragnęłam torby Birkin) i „tajny obieg” informacji na przykład o tym, w jaki sposób na czarno wynająć przewodnika po Disneylandzie, ale takiego z kartą inwalidy, żeby mógł wszędzie wchodzić bez kolejki. Tożsamość matki z Upper East Side kształtują także jej pełne napięcia, skomplikowane relacje z kobietami, które zatrudnia do opieki nad swoimi dziećmi i prowadzenia domu (albo domów). Zbieranie informacji o macierzyństwie na zachód od Lexington Avenue, życie wśród tamtejszych matek i uczenie się od nich otworzyło przede mną ekscytujący,

fascynujący i niezwykle pouczający świat, który czasem mnie zdumiewał.

Kobiety, od których się uczyłam, potrafiły być bezwzględne w kwestii wspierania swoich pociech – oraz siebie samych. Pewnie, że kochały swoje dzieci, ale były także przedsiębiorczymi dziedziczkami rodów zafiksowanymi na odnoszenie sukcesu i wobec tego ich potomstwo także musiało je odnosić. Żadna z nich nie przyznawała się, nawet najlepszej przyjaciółce, że przygotowuje swojego trzylatka do standardowego egzaminu wstępnego do przedszkola. Ale wszystkie to robiły – szukały poleconego nauczyciela i płaciły tysiące dolarów za korepetycje – z miłości, ze strachu i zżerającej je ambicji. Równie często umawiały swoje maluchy na wspólną zabawę z „dziećmi alfa”, czyli potomstwem bogatych i wpływowych, usiłując wspiąć się w niewidzialnej, lecz dominującej hierarchii, organizującej tutejsze życie, i strategicznie unikać dzieci rodziców „niższej kategorii kapitałowej”. Uderzyło mnie, że dla pewnych kobiet z sąsiedztwa, z którymi czasem rozmawialiśmy na szkolnym korytarzu, dzieci były jeszcze jednym sposobem, by pokazać wysoki standard życia. Błyskotką, nie prawdziwym skarbem – kimś, dla kogo można kupować odpowiednie ubrania, kogo można szczerze obdarzać uwagą najlepszych ekspertów, karmić najzdrowszym jedzeniem i komu można pomagać się dostać do najbardziej prestiżowych szkół. Przyznaję, momentami robiłam się cyniczna.

Odkryłam też, że rewersem wybujałej ambicji i agresji tych kobiet jest wyjątkowo silny lęk. Presja, by wszystko odbyło się „jak należy”, by być idealną matką, a także idealnie zgrabną, idealnie ubraną, idealnie seksowną kobietą. Czas i energia, jakie w to wkładają, doprowadza niektóre z nich na skraj załamania. Ratunku szukają więc w alkoholu, lekach, lotach prywatnymi samolotami z przyjaciółkami do Vegas, St. Barths albo do Paryża, obsesyjnych ćwiczeniach i dbaniu o siebie (w modzie są rowery stacjonarne, zupa kolagenowa oraz diety oparte na picciu surowych, organicznych, świeżo wyciskanych soków, tak zwany *juicing*), zapierających dech w piersiach ciuchach i dodatkach (wśród znanych mi kobiet używa się słowa „przedwyprzedaż”, a zostawienie w sklepie Bergdorf Goodman albo w Barneys za jednym razem 10 tysięcy dolarów to nic wielkiego), lunchach, imprezach albo wyjazdach do spa ze swymi równie zalęknionymi przyjaciółkami, albo czasem nawet z zazdrosnymi „wrogacjami”.

Początkowo planowałam się zasymilować częściowo, nie wciągając się w ich stres, szaleństwo i rywalizację. Pomyślałam, że moje doświadczenie w badaniach społecznych i antropologii pomoże mi zachować względną równowagę psychiczną, gdy będę szukać sobie i swoim dzieciom miejsca w tym cokolwiek niegościnnym środowisku. Jednak, podobnie jak antropolodzy na całym świecie, w pewnym momencie zorientowałam się, że wsiąklam. Tak się mówi, gdy badacz traci obiektywizm i zaczyna się utożsamiać z grupą, którą bada, przestaje „rozumieć”, za to „staje się” jednym z nich. W miarę jak koncentrowałam się na

pracy, macierzyństwie i podtrzymywaniu kontaktów towarzyskich, moja więź z przyjaciółmi z Dolnego Manhattanu słabła. Powoli, sukcesywnie, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęłam się nosić, zachowywać i myśleć jak kobiety wokół mnie, zaczęło mnie obchodzić to samo, co je obchodziło. Ich świat wydawał mi się jednocześnie obcy, pociągający i odstręczający, lecz czułam zaskakująco silny przymus, by znaleźć wśród nich miejsce dla siebie.

Na szczęście w końcu zaprzyjaźniłam się z niektórymi kobietami z odseparowanego od świata plemienia na Upper East Side. Prawdziwa, szczerą przyjaźń nie jest łatwą sprawą w sztywno zhierarchizowanym środowisku społecznym, w którym panują walka o władzę, konkurencja i wszechobecny lęk oraz stres. Rytuály, reguły i praktyki tego plemienia były mi przeważnie obce, a często nawet wydawały mi się odpychające. Podobnie jak wyższościowa postawa i obojętność, z jakimi początkowo się spotykałam. Wszystko to wyróżniało te kobiety. Ale, jak się przekonałam, miały one wiele wspólnego z innymi matkami w tym mieście i na całym świecie. Kiedy napotykały trudności, często szukały innych i budowały z nimi więzi w nieoczekiwany i niezwykle sposób. Prastary, ukształtowany w toku ewolucji naszego gatunku, a także innych naczelnych, imperatyw współpracy i troski płynie, przenika i określa kobiece przyjaźnie i macierzyństwo. Niezależnie od miejsca – nawet na lśniącym, jędrnym, ultraambitnym i obrzydliwie bogatym Upper East Side.

U moich jakże specyficznych przyjaciółek zauważyłam też – i nadal to dostrzegam – coś niezwyklego: wielkoduszność i zapał, by tłumaczyć mi świat, który rozumiały zdecydowanie lepiej niż ja, entuzjazm, z jakim dzieliły się swoimi przemyśleniami na jego temat, ironiczny stosunek do własnego stylu życia. Oraz ich poczucie humoru. „Z nikim, kto nie jest w stanie pojąć, jak absurdalne i przesadne jest nasze życie, jakie jest zabawne i szalone, i tak nie chciałabym się przyjaźnić” – powiedziała mi jedna z matek po tym, jak pół żartem, pół serio stwierdziłam, że gdy mój projekt ujrzy światło dzienne, może mieć kłopoty, jeśli ją zobaczą w moim towarzystwie. Obawiałam się napisać tę książkę. Ta kobieta oraz kilka innych uspokoiły mnie jednak, pokazując, że nawet w najdziwaczniejszych i odpychających kontekstach, w najbardziej osobliwych realiach można znaleźć sporą dawkę normalności, i przypominając, że nawet w pozornie nieprzyjaznej atmosferze istnieją prawdziwe ciepło i życzliwość.

Przez kilka lat spędzonych pośród nich jako badaczka i matka zrozumiałam, że kobiety na Upper East Side chcą dla swoich dzieci dokładnie tego samego, co wszystkie matki – żeby były zdrowe i szczęśliwe, żeby czuły się kochane, żeby się dobrze rozwijały i pewnego dnia do czegoś w życiu doszły. I tu się kończą podobieństwa. Jeśli się nie urodziłeś na Manhattanie, a być może nawet jeśli się tam urodziłeś, nic, co dotyczy Upper East Side, nie będzie ci się wydawać naturalne. Tym samym, jeśli nie wychowała cię matka z Upper East Side, nic, co

dotyczy tamtejszego macierzyństwa, nie będzie ci się wydawało logiczne, jasne czy zdroworozsądkowe. Urodzenie dziecka nie sprawia, że automatycznie jesteś matką z Upper East Side, o czym się boleśnie przekonałam. Taką matką dopiero się stajesz. Ta książka to opowieść o tym, jak się nią stawałam, i o tym, jak często ponosiłam klęskę. To moje przemyślenia o macierzyństwie na pewnej maleńkiej wyspie oraz refleksje o tym, co to może oznaczać dla innych.

Rozdział pierwszy

Comme il faut

Zapiski z badań terenowych

Środowisko i ekologia

Wyspa jest geograficznie, kulturowo i politycznie odizolowanym skrawkiem lądu, blisko siedem razy dłuższym niż szerszym. Panuje tu umiarkowany klimat, ze stosunkowo ostrą zimą i niezwykle upalnym i wilgotnym latem. Ostatnio zbliża się do warunków tropikalnych, po części zarówno z powodu dwustuletniego wylesiania terenu, jak i praktyk przemysłowych. Współrzędne wyspy to 40° 43' 42" szerokości geograficznej północnej i 73° 59' 39" długości geograficznej zachodniej.

Mieszkańcy wyspy żyją w stanie obfitości ekologicznej – zasobów takich jak pokarm czy woda jest pod dostatkiem i łatwo je zdobyć, choroby prawie nie występują, brak drapieżników. Zaludniając niszę charakteryzującą się tak niespotykaną obfitością i brakiem zagrożeń, najbogatsi wyspiarze mają możliwość inwestowania w każdego swojego potomka, a także wymyślania złożonych, wyszukanych kodów społecznych oraz rytuałów, których przestrzeganie wymaga olbrzymich nakładów czasu, wysiłku i zasobów.

Mimo nadzwyczajnego bogactwa pożywienia, wody i innych zasobów na całej wyspie na niektórych obszarach wciąż panuje trwałe i zauważalne ubóstwo. Izolacja i skrajne przegęszczenie populacyjne, a także kolosalne zróżnicowanie w zakresie bogactwa, tradycyjnie przydzielane role płciowe oraz modele wychowywania dzieci i podejmowania pracy mogą przynajmniej po części odpowiadać za, sprawiające wrażenie dziwnego, zachowanie najbogatszych mieszkańców wyspy, co zostanie omówione w dalszej części książki.

Mieszkanie na wyspie

Ludność zamieszkuje przede wszystkim formy pionowe. Tubylcy ustawiają swoje domy bezpośrednio jeden na drugim w konstrukcjach z drobno mielonego kamienia. Życie w takich „pionowych wioskach” pozwala im zmaksymalizować przestrzeń fizyczną – cenny towar, którego wciąż brakuje na tej maleńkiej, gęsto zaludnionej wysepce. W niektórych wypadkach, zwłaszcza w tych wioskach, w których mieszkają wyjątkowo bogaci wyspiarze, panują szczególnie restrykcyjne zasady, a „rada starszych” ustala, komu wolno, a komu nie wolno osiedlić się na

danym terytorium. Poszukiwanie odpowiedniego miejsca zamieszkania jest jedną z najbardziej pracochłonnych praktyk członkiń plemienia, które badałam – najczęściej podejmują się go pierworódki. Niemal zawsze w poszukiwaniu domu, które staje się zarazem poszukiwaniem własnej tożsamości, towarzyszą kobietom „szamani mieszkania”. Posiadają oni specjalistyczną wiedzę, doradzają i oferują emocjonalne wsparcie w czasie tego kosztownego, przeciągającego się i wymagającego dużego trudu procesu inicjacji.

Pochodzenie geograficzne mieszkańców wyspy

Rezydenci wyspy są pochodzenia heterogenicznego. Wielu po osiągnięciu dojrzałości płciowej odłączyło się od swoich rodzinnych grup z odległych, małych, często wiejskich obszarów i emigrowało na wyspę w poszukiwaniu lepszych perspektyw na pracę, seks i małżeństwo. Część mieszkańców stanowią tubylcy – mają wyższy status od rezydentów nieautochtonicznych, zwłaszcza jeśli wychowali się w określonych obszarach wyspy lub w czasie dorastania przebywali w określonych „szalasach nauki”.

Przekonania wyspiarzy i o wyspiarzach

Ludzie spoza wyspy, liczni odwiedzający i reszta rodaków uważają, że mieszkańcy wyspy, niezależnie od tego, czy są autochtonami, czy ludnością napływową, mają o sobie i swojej wyspie wysokie mniemanie. Na lądzie znani są z opryskliwości, inteligencji, upodobania do błyszczących ozdób oraz orientacji w handlu i negocjacjach. Ich fachem coraz częściej stają się niewidzialne idee i abstrakcje, co wzmacnia przekonanie, że mają dostęp do tajemnej wiedzy, a nawet moce „magiczne”. Przygody i zmagania tych, którzy sprowadzają się na wyspę i odnoszą tam sukces, są tematem legend – dosłownie; istnieje długa tradycja ustnych i pisanych podań o rzekomej niezłomności i wyjątkowym duchu tych, którym się to udało. Mówi się, że jeśli udało się im osiąść na wyspie, poradzą sobie wszędzie.

Pozyskiwanie dóbr i ich dystrybucja

Ogólnie rzecz biorąc, mieszkańcy wyspy są najbogatsi w całym kraju i wiodą życie wolne od ograniczeń środowiska, które w innych habitatach ma ogromny wpływ na ludzkie losy. Dla bogatych wyspiarzy zaspokojenie zapotrzebowania kalorycznego swojego oraz swoich dzieci, czyli największe wyzwanie ekologiczne wszystkich rodziców na całym świecie od prehistorii, jest bardzo proste. Aczkolwiek, podobnie jak w wielu innych społeczeństwach przemysłowych i poprzemysłowych, ojcowie badanego przeze mnie – stereotypowego pod względem ról płciowych – plemienia koncentrują się raczej na zapewnieniu żonom i rodzinom dóbr mniej namacalnych, takich jak kapitał

w rozumieniu finansowym, społecznym czy kulturowym. Choć wiele kobiet na wyspie pracuje poza domem podczas ciąży i w okresie zajmowania się potomstwem, wiele bogatych wyspiarzek wierzy, że do ich „rol” należy pozostawanie wówczas w domu, z dziećmi, gdzie często towarzyszą im allorodzice – osoby niebędące biologicznymi rodzicami, które jednak pełnią taką funkcję. Allorodzice określani są jako: gosposie, nianie, opiekunki.

Organizacja wyspy

W umysłach swoich mieszkańców wyspa dzieli się na cztery części: Górną, Dolną, Prawą i Lewą. Uważa się, że Górna i Dolna różnią się od siebie znacząco – Górna nadaje się do wychowywania dzieci, a Dolna to raczej miejsce osobników przed reprodukcją, outsiderów kulturowych, zabawy i ekstatycznych rytuałów nocnych. Wyspiarze dzielą wyspę także na lewą i prawą połowę. Obu stronom, podobnie jak Górnej i Dolnej, przypisuje się różne, wręcz skrajnie przeciwne cechy. Lewa strona uchodzi za bardziej swobodną i postępową, Prawą postrzega się zaś jako sztywną i konserwatywną.



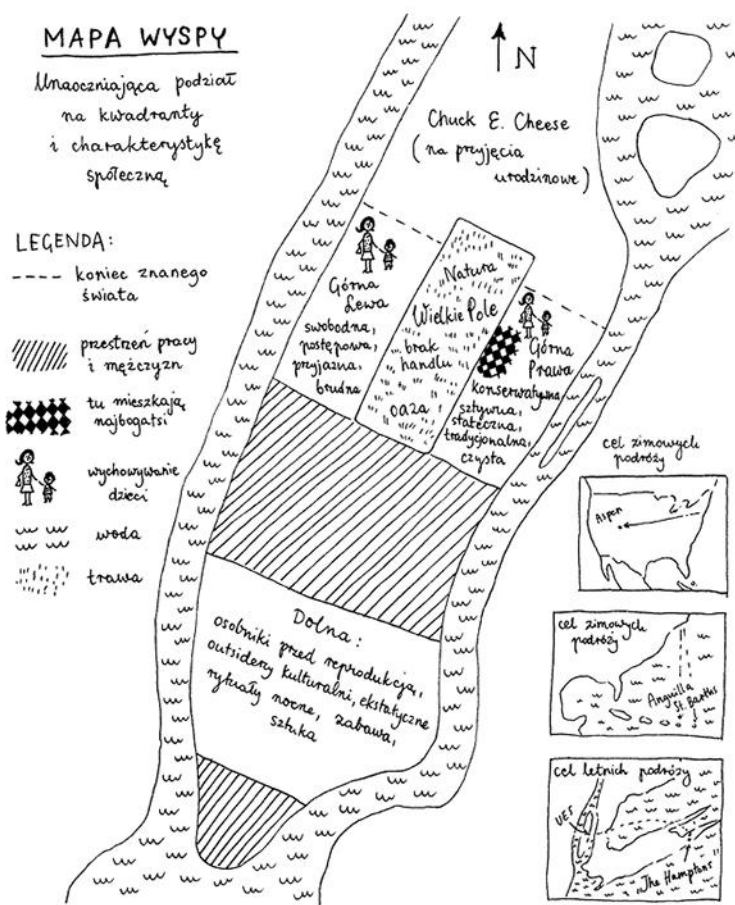
Dla wyspiarzy podział Górna/Dolna, Lewa/Prawa to coś więcej niż tylko kierunki czy współrzędne; to niezwykle silne i znaczące przeciwieństwa, organizujące codzienne doświadczenie i tożsamość mieszkańców. Mniejsze plemiona są określane odpowiednio do miejsca zamieszkania: Prawostronni, Lewostronni, Górni i Dolni. Wyspiarze wykazują się znaczną obojętnością dla rezydentów sąsiadujących obszarów archipelagu – rzadko się tam zapuszczają i rzadko o nich mówią. „Przeprawa” do oddalonych miejsc na własnym kawałku lądu, podobnie jak na inne wyspy archipelagu, wymaga skomplikowanego transportu, znajomości szlaków i taryf, co jeszcze bardziej pogłębia nie tylko silną ksenofobię wyspiarzy, lecz także ich geograficzną izolację.

Miejsce zamieszkania

a tworzenie się tożsamości społecznej

Wielu wyspiarzy odczuwa niepokój, lęk i podenerwowanie, gdy przemieszczają się w inną część wyspy, traktując to jako niewygodne, pochłaniające czas, trudne, a nawet niepomyślne wydarzenie. Kierując się zabobonami, wielu tak organizuje swoje życie i spotkania (np. z uzdrowicielami albo szamanami pieniędzy czy opieki nad dzieckiem), by jak najrzadziej opuszczać najbliższą okolicę. Przynależność do miejsca zamieszkania określa również takie praktyki, jak strój, ozdabianie się, wychowywanie dzieci oraz wzorce dobrowolnych sezonowych migracji (mieszkańcy strefy zachodniej latem raczej udadzą się w góry, a wschodniej, zwłaszcza Górnej Prawej, wykazują wyraźną

preferencję konkretnych, elitarnych miejsc nad oceanem. Istnieją także strefowe różnice w doborze celów podróży zimowych).

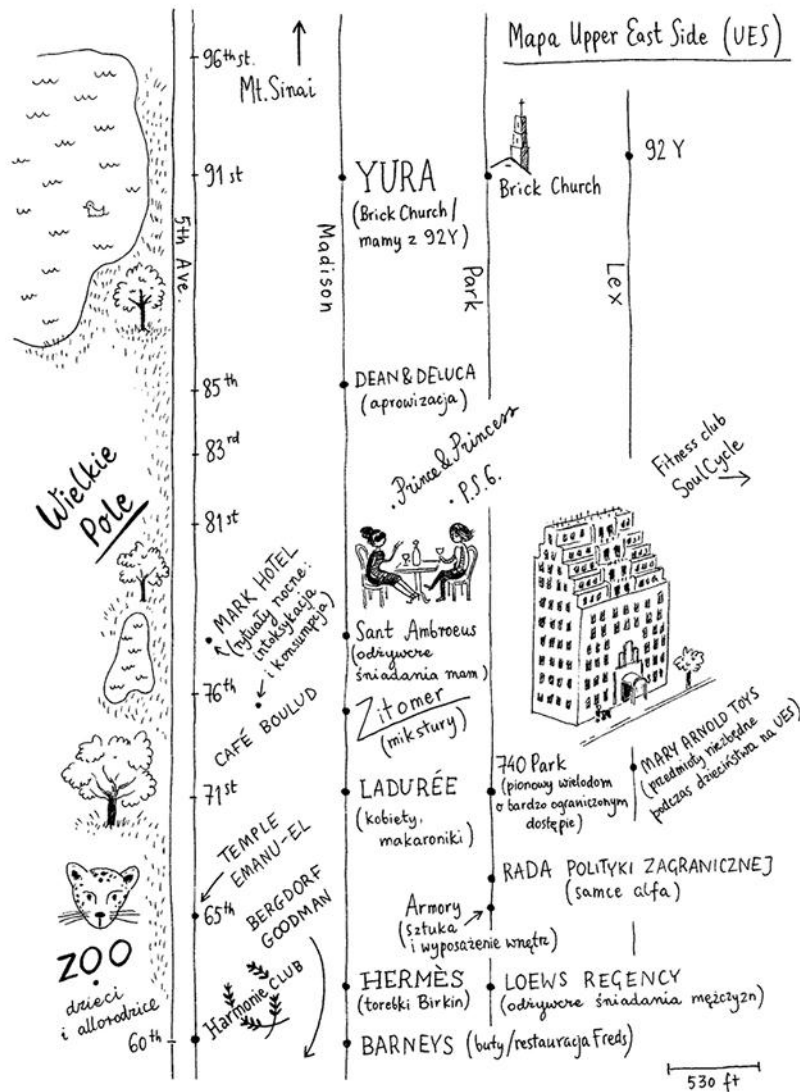


Na całej wyspie wierzy się, że istnieją dwie strefy „najlepsze” do wychowywania tam dzieci. Obie – Górna Prawa i Górna Lewa – znajdują się tuż przy ogromnym, silnie fetyszyzowanym i mającym adekwatną nazwę Wielkim Polu, a bliskość ta jest wysoce pożądana. Może to mieć źródło w zbiorowej historii i prehistorii wyspiarzy; jako potomkowie mieszkańców sawanny, którzy wspinali się na drzewa, by uniknąć zagrożenia, oraz posiadaczy ziemskich, którzy musieli strzec swojej własności przed intruzami, mogą odczuwać największy komfort, gdy obserwują bezkresną przestrzeń z „bezpiecznej” wysokości. Osiedlenie się w miejscu z widokiem na Wielkie Pole jest więc pożądanym i kosztownym, podnosi status społeczny i go umacnia. Uważa się również, że Wielkie Pole jest idealne dla dzieci, które mogą się tam bawić pod opieką nauczycieli, rodziców, choć przeważnie allorodziców. Na teren Wielkiego Pola nie ma wstępu żaden przemysł, niemal nie istnieje tam również handel. To uświęcona strefa, która według wierzeń ma wpływ na zdrowie: patrzenie na Wielkie Pole lub spacerowanie po nim

podobno ma właściwości uspokajające i wzmacniające. Mieszkańcy obszaru położonego najbliżej Wielkiego Pola w Górnej Prawej (zwanej Upper East Side) to najbogatsi mieszkańcy wyspy. Wytworzyli oni najbardziej charakterystyczne, silnie utrwalone i dziwaczne praktyki plemienne, rytuały i wierzenia. To właśnie to plemię stanowi przedmiot naszych badań.



W poszukiwaniu „lepszego dzieciństwa” dla naszego syna postanowiliśmy przenieść się do północnej części Manhattanu. Jest tam w końcu Central Park, czyli coś jakby oaza, wciśnięta między Upper East i Upper West Side, a także wiele dobrych publicznych i prywatnych szkół. Wtedy okolica ta miała jeszcze inne zalety, których brakowało na Dolnym Manhattanie – restauracje przyjazne dzieciom, sklepy z dziecięcymi ubraniami i salony fryzjerskie, w których dziecko mogło oglądać bajkę, siedząc w fotelu w kształcie wozu strażackiego. Pragnęliśmy wytchnienia od tego wszystkiego, co przypominało o 11 września, a co niemal rok później nadal było bardzo odczuwalne w południowej części wyspy – kiepskiej jakości powietrza, niesłabnącego lęku i wręcz namacalnego smutku. Zależało nam na dostępie do placów zabaw, na okolicy nastawionej prorodzinnie i na sąsiedztwie świetnych szkół. Poza tym chcieliśmy mieszkać blisko rodziców mojego męża, a także rodziny jego brata – wśród kochających kuzynów i krewnych, którzy wyciągną pomocną dłoń i wesprą, gdy będziemy padać z niewyspania albo przeżywać ząbkowanie czy napady wściekłości naszego dziecka. Jako że byliśmy ogromnie przywiązani do Manhattanu, mieliśmy tylko jedno wyjście: przeprowadzkę na Upper East Side.



Za każdym razem, kiedy wspominałam któremuś z naszych znajomych z południa, że przenosimy się na północ, patrzyli na mnie tak, jakbym radośnie ogłaszała, że wstępuję do sekty. „Typowa bogata żona z południa przynajmniej nosi okulary, ma doktorat i własną fundacyjkę” – zauważył pewnego razu mąż przyjaciółki, gdy rozmawialiśmy o tym przy drinku. Nie musieliśmy nawet dodawać, że żony bogatych mężów z Upper East Side to blondynki z poprawianym biustem. Które siedzą w domu z dziećmi. I mają służbę – prawda? Nie byłam już taka pewna. Od lat nie zapuszczałam się dalej niż na Zachodnią Dwudziestą Trzecią, no chyba że odwiedzałam teściów albo od czasu do czasu wybierałam się do muzeum. Nie dało się wówczas nie zauważyć wytworności wszystkiego: ludzi, sklepów, strojów czy elementów z mosiądzu. Nigdy jednak nie zwróciłam uwagi na mamy. Tak naprawdę nie znałam żadnej mamy z Upper East Side. Jak tam jest?

Jakie one są? „Pamiętaj, żeby sobie kupić futro” – powiedziała z przekąsem moja przyjaciółka. Roześmiałam się, a mój mąż zakrztusił się orzeszkiem. Nie brakowało stereotypów o kobietach z północy i kobietach z południa, a ja nie mogłam się już doczekać, by osobiście się przekonać, jaka jest prawda.

Najpierw jednak musiałam znaleźć mieszkanie. Piszę „ja”, bo mój mąż natychmiast scedował to zadanie na mnie. Było to poniekąd logiczne, gdyż jako matka małego dziecka zmieniałam godziny pracy na bardziej „elastyczne” i zostałam wolnym strzelcem – mogłam sobie pozwolić na niepracowanie przez kilka dni lub nawet tygodni. Na parę godzin dziennie zatrudniliśmy nianię, która zajmowała się moim synem, gdy ja szukałam mieszkania. Zadziałała tu też jednak głębsza kulturowa logika: na Manhattanie to kobieta ma znaleźć idealny dom dla swojej rodziny. Może też za niego zapłacić albo przynajmniej dołożyć się w połowie. W heteroseksualnych małżeństwach, niezależnie od tego, kto ma jakie obowiązki, to zwykle kobieta szuka mieszkania. Długo się nad tym głowiłam, a w końcu przypisałam to rolnictwu. Nasi przodkowie z kultury zbieracko-łowieckiej wędrowali z całymi zapasami jedzenia, rozbijali i zwijali obozy, nie przywiązując się do miejsc ani do dobytku. Dopiero przejście do kultury rolniczej wszystko zmieniło. Wraz z nią pojawiła się idea własności – „to moja ziemia!” – i podniosła się płodność kobiet, bo prowadząc bardziej osiadły tryb życia, zaczęły częściej owulować. Zanim zdążylibyście powiedzieć „proso”, kobiety przeobraziły się ze zbieraczek – tracąc znaczenie, wpływ i wolność, jakie wiązały się z zapewnianiem swojej grupie dziennego zapotrzebowania kalorycznego – w strażniczki domowego ogniska, które miały do powiedzenia niewiele więcej niż to, kiedy będzie podany przygotowywany przez cały dzień obiad, oraz których wartość sprowadza się do roli żywego inkubatora. Nie przeszkadzało mi, że ja zajmuję się dzieckiem, dbam o wspólny dom i szukam nam nowego. Miało to sens, biorąc pod uwagę to, że praca męża była znacznie bardziej lukratywna, oraz moją głęboką potrzebę przebywania z małym synkiem. Czasami jednak zastanawiałam się, czy wszystko, co powiedzieli wtedy przy drinku nasi przyjaciele, było prawdą – że w porównaniu z południem polityka płciowa na Upper East Side zdecydowanie bardziej przypomina rolnicze plemiona Bantu niż żyjących zgodnie z własnymi przekonaniami zbieracko-łowieckich Buszmenów z południa wyspy.

Podejrzewałam, że sprzedanie naszego domu i zamieszkanie na północy nie może być takie znów trudne, nawet dla kogoś tak mało zorientowanego jak ja. W końcu w Nowym Jorku to kamienice są głównymi wyznacznikami statusu. Dla przeciętnego manhattańczyka osobny dom, bez sąsiadów na górze albo za ścianą, to coś niezwykłego, bardzo kosztownego i wysoce pożądanego. Ma zapewniać prywatność, bardzo cenioną na Zachodzie, i pewnego rodzaju przestrzenną okazałość – a wszystko to w mieście, gdzie płaci się za każdy metr kwadratowy powierzchni. Mimo że nasz dom był względnie skromny – ciasna kuchnia, bez

windy – potencjalni nabywcy ustawiali się więc w kolejce. Najpierw całą wieczność starałam się nadać wnętrzą nieskazitelny wygląd, a potem pospiesznie zmykałam, by agenci nieruchomości i klienci mogli się rozejrzeć.

Z wygnania w pobliskiej kafejce dzwoniłam do innych pośredników. Przeważnie były nimi kobiety. Wisiałam na telefonie zasypywana pytaniami – o pracę męża, moją pracę, pochodzenie, ukończone szkoły, a nawet o nasz majątek – choć to ja powinnam zadawać pytania.

Mieszkańcy Manhattanu podobnie zachowują się na przyjęciach (albo innych spędach), gdy z subtelnością rachmistrza próbują ustalić, z kim mają do czynienia. Kiedy spotkało mnie to po raz pierwszy, byłam szczerze zdumiona. „To żydowska geografia” – zauważył mój żydowski mąż. „Chcieli się dowiedzieć, gdzie się znajdujesz na ich mapie”. Jednak na moje oko ta gra wykraczała poza jakiegokolwiek wyznaczenie. W wielkim mieście zdobycie wiedzy o potencjalnych koneksjach, wspólnych znajomych, o tym, czy znasz kogoś, kogo oni chcą poznać, wydaje się dość sensowne – Chińczycy nazywają to słowem *guanxi*, opisującym system powiązań w kraju miliarda mieszkańców. Nawet jeśli jest nieco (albo bardzo) interesowne.

W odpowiedzi na każde moje zapytanie agenci mówili, że nie mają dokładnie tego, czego szukam, ale mogą mi pokazać coś innego. Wyglądało to trochę tak, jakby żaden z pięknych apartamentów, których ogłoszenia oglądałam w internecie albo w folderach reklamowych, nie istniał. Przez telefon dowiadywałam się, że zostały „już sprzedane”, są „zarezerwowane” albo były na liście dostępnych mieszkań tylko dlatego, że „strona jest niezaktualizowana”. Gdy powiedziałam o tym mojemu mężowi, orzekł, że to klasyczny przykład wabika, i zasugerował, żebyśmy wynajęli własnego pośrednika. „Czyli kogoś w rodzaju informatora albo przewodnika, tak?” – zastanawiałam się podekscytowana. Tak jak lojalni tropiciele, którzy całymi dniami pomagali Dian Fossey szukać goryli, albo Inuici z Ziemi Baffina, którzy wzięli na siebie zadanie objaśnienia ich stylu życia Franzowi Boasowi, ojcu współczesnej antropologii, gdy z nimi zamieszkał, tak i ja potrzebowałam, by ktoś wtajemniczony wszystko mi wytłumaczył.

Mąż dał mi numer do pewnej kobiety, która przed laty pomogła mu sprzedać jego małe studio na Upper East Side. Zadzwoniłam do niej nazajutrz, przedstawiłam się i powiedziałam, że chciałabym obejrzeć parę mieszkań. Myślałam, że skoro mam już kogoś po swojej stronie, wszystko pójdzie jak z płatka. Byłam strasznie naiwna. Zrobiłam ledwie pierwszy krok, prawdziwa droga miała się dopiero rozpocząć.

Inga miała wspaniały akcent – mąż powiedział, że pochodzi z Danii i jest byłą modelką – była także energiczna i profesjonalna. „Oczywiście masz kogoś, kto ci sprzeda wasz poprzedni dom, prawda? Bo ja zwykle nie pracuję na Dolnym Manhattanie”. Wyjaśniła, że rynek nieruchomości na północy i na południu to dwa

różne światy. Oraz że Upper West Side nie jest jej mocną stroną, bo jest po prostu pośredniczką z Upper East Side.

– No cóż, w porządku, w końcu chcemy mieszkać po wschodniej stronie – wydukałam, akceptując te najwyraźniej ogromne i niemożliwe do pokonania różnice między obiema dzielnicami, o jakich mówi branża pośredników nieruchomości. – Poza tym – dodałam, odzyskując już równowagę – chcemy mieszkać w pobliżu dobrych szkół.

Zapadła długa cisza. A po niej padł krótki werdykt:

– Nie będzie to łatwe.

Widocznie rozczarowały ją moje wymagania; poczułam się nagle przybita i bezradna. Nie będzie to łatwe.

– Ale – przemówiła Inga ze skandynawskim zaśpiewem, który zdążył mnie już zauroczyć – spróbujemy. Mam ci coś do pokazania.

Nagle się rozpromieniłam i poczułam przypływ optymizmu oraz ulgę. Miała mi coś do pokazania! Tak, zdobyłam przewodnika! Inga nie tylko pomoże mi znaleźć mieszkanie – poczułam, gdy odłożyłam słuchawkę. Nauczy mnie również zasad panujących na Upper East Side. Każdy antropolog potrzebuje przynajmniej jednego wiarygodnego, wnikliwego miejscowego informatora, który wskaże mu drogę, przetłumaczy język, objaśni zwyczaje, a także wyjawia brudne sekrety własnej kultury i niepisane prawa społeczne. Krótko mówiąc, informatorzy pomagają dostać się do środka. Byłam niemal pewna, że właśnie znalazłam sobie przewodnika.



– Pani szefowa zaraz przyjdzie? – podejrzliwie spytała mnie dobrze ubrana kobieta z szalem od Hermès wokół szyi. Jej błyszczące, zamrożone botoksem czoło usiłowało się zmarszczyć, wyrażając cień czegoś, co było chyba konfuzją, gdy pierwszego dnia naszego wspólnego poszukiwania mieszkań weszłam do bogato zdobionego lobby na Park Avenue jeszcze przed przyjściem Ingi.

– Hmm... Ja nie mam... szefowej – zdołałam wydusić, wyciągnęłam rękę i przedstawiłam się.

Widząc moje zwyczajne „trochę nerd, trochę hipsterka” ciuchy od Marca Jacobsa – ostatni krzyk mody na południu Manhattanu – musiała mnie wziąć za asystentkę klientki Ingi. W ten sposób dowiedziałam się, że niepracujące kobiety w moim mieście mają osobistych asystentów, którzy szukają za nie mieszkań. Oraz że potrzebuję nowych ubrań specjalnie na tę okazję. Inga przyszła zaraz po mnie – wysoka, smukła jak trzcina, piękna brunetka w wytwornym, eleganckim kostiumie w złamanej bieli. Od razu spostrzegłam, że ta druga pośredniczka ją podziwia, dzięki czemu nagle przestałam się przejmować – tym, co mam na sobie, przeprowadzką i całym tym szukaniem. To było jak magia.

Nie pomyliłam się zbyt. Obrót nieruchomościami na Manhattanie – kupowanie, sprzedawanie – to ekologiczna nisza dla kobiet, dotycząca kobiet i kierowana przez kobiety. Widać to szczególnie na Upper East Side. U pośredniczek strój jest formą komunikacji. Agentka osoby sprzedającej ubiera się tak, by uosabiać szacunek, jakim darzona jest jej klientka. Agentka nabywcy ubiera się tak, by zrobić wrażenie i onieśmielić agentkę sprzedawcy, a także by stworzyć pewien wizerunek w imieniu swojej klientki, która z kolei ubiera się tak, żeby okazać im obu, jak poważnie je traktuje (jeśli jest bardzo bogata, może się ubierać skromniej, dając tym samym do zrozumienia, że wie, że one wiedzą, że ona nie musi grać w tę grę; one obie stroją się dla niej). Wszystko to nakręca się w pewien rodzaj pojedynków przy okazji każdego kolejnego oglądania mieszkania, w każdym kolejnym lobby, każdego kolejnego dnia. Podłóżcie pod to muzykę z filmów Sergia Leone i wyobraźcie sobie kobiety już o świcie odziane w ciuchy firmy Brunello Cucinelli albo Loro Piana.

Szczególnie istotne wydają się torebki. Wiele agentek, z którymi się widziałam, gdy pierwszego dnia „oglądałyśmy” kilka apartamentów, miało torebki Chanel, pikowane i lśniące, z łańcuszkami, ciężkimi klapami i zachodzącymi na siebie literami C. Albo torby z cielejącej skóry, bez klapki, za to z uchwyty; litery C umieszczone były poniżej, eleganckie i niewymuszone. „Jeśli mamy kupić mieszkanie, muszę mieć nową torebkę” – powiedziałam półzartem do męża, gdy tamtego dnia pod wieczór wróciłam do domu. Byłam wykończona chodzeniem (gdybym była klientką innego typu, taką bardziej obeznaną z praktykami Upper East Side, najęłabym dla siebie i Ingi kierowcę), a także nieoczekiwanymi akrobacjami psychologicznymi i wysiłkiem emocjonalnym, jakich wymagało ode mnie oglądanie apartamentów, rozmawianie z agentkami oraz naginanie moich standardów i oczekiwań do każdego z obejrzanych miejsc, gdy rozważałam, czy się nada.

Przez kilka następnych tygodni codziennie wdziewałam strój łowczyni mieszkań z Upper East Side: skromną sukienkę koktajlową, baleriny od Agnès B albo French Sole i najbardziej wytworną torebkę, jaką miałam – nie było mowy o żadnym niechlujnym torbiszczu. Dodatkowym akcentem był elegancki (jak mi się zdawało) kucyk. W końcu zmierzałam ku Krainie Elegancji. Tak ubrana łapałam taksówkę i po zwykle półgodzinnej jeździe na północny wschód spotykałam się z Ingą w hallu któregoś z przedwojennych budynków, przeważnie znajdujących się na zachód od Lexington Avenue. Obszar naszych poszukiwań ograniczony był dostępnością świetnych szkół publicznych, więc szukałyśmy właściwie wyłącznie w najdroższych częściach Manhattanu. Żeby móc ewentualnie wysłać tam dziecko do szkoły za darmo. Dostrzegałam tu pewną ironię, podobnie jak mój mąż oraz Inga, która szybko stała się trzecią osobą w naszym małżeństwie. „Mogłybyśmy obejrzeć o wiele więcej, gdybyście byli bardziej elastyczni

w kwestii szkół” – stwierdziła dyplomatycznie, gdy już się bliżej poznałyśmy. „Ale wiem, czego z mężem chcecie – dodała szybko, gdy zmroziłam ją spojrzeniem – więc będziemy nadal szukać tam, gdzie teraz”.

Poszukiwania mieszkania wydawały się nie mieć końca. Trwał przecież boom, a rynek nieruchomości był nieduży. Sprzedający oczekiwali niebotycznych sum, a kupujący byli zdani na ich łaskę. Inga wciąż dawała do zrozumienia, że miejsce, które sobie wybraliśmy, było najmniej osiągalne w całym mieście. Szukaliśmy więc i szukaliśmy, i szukaliśmy.

Oglądaliśmy apartamenty sześciopokojowe, siedmiopokojowe, a nawet ośmiopokojowe w „przyjemnych budynkach”, „dobrych budynkach”, ale też w tych luksusowych, gdzie służba nosi białe rękawiczki. W każdym z nich witał nas odźwierny, a w wielu byli również windziarze, czyli osoby, które miały za nas naciskać guziki w windzie. Wszystkie one jednak różniły się od „wspaniałych budynków”, które mogły nawet znajdować się w tym samym kwartale i z zewnątrz mogły wyglądać dokładnie tak samo, lecz w których wymagano ogromnych zadatków, wykluczano hipoteki i żądano, by potencjalny nabywca udowodnił majątek w wysokości potrójnej, pięciokrotnej albo nawet dziesięciokrotnej wartości apartamentu – i to w aktywach łatwych do upłynnienia. Wspólnoty wspaniałych budynków mogą tego wszystkiego wymagać, mogą także w przypadku niektórych osób robić wyjątki, jeśli tylko mają taki kaprys – Inga wyjaśniła mi to od razu – bo tak naprawdę są niczym prywatne kluby prowadzone przez zarząd mieszkańców, który ustanawia takie prawa, jakie chce. To tam regularnie odrzuca się podania bogatych sław, to stamtąd odesłano z kwitkiem zarówno Richarda Nixona, jak i Madonnę – bez wątpienia rozczarowanych i zranionych tą odmową. W takich budynkach zamieszkują potentaci finansowi wraz z żonami – bywalczyniami salonów. Adresy znane są jako: 740 Park, 927 Fifth, 834 Fifth, 1040 Fifth. Inne budynki noszą nazwy: Beresford, San Remo, Dakota, River House. Mają wapienne elewacje i projektowali je znani architekci, tacy jak Rosario Candela czy Emery Roth. To nie były miejsca dla nas, ale najwyraźniej nie były nimi także „budynki rodzinne”, które na moje oko wydawały się w porządku. „Nie – cierpliwie tłumaczyła Inga – »rodzinny« nie oznacza, że mają tam bawialnie. Oznacza to tylko, że dopuszczają dziewięćdziesięcioprocentowe finansowanie z kredytów. Stać nas na coś lepszego”. Tak jak ubrania Ingi (Jil Sander, Piazza Sempione i Prada – wiem, bo pytałam) odzwierciedlały mój status, tak budynek, w którym miałam zamieszkać, był odzwierciedleniem jej statusu. Chciała dla nas jak najlepiej, bo sama miała w tej grze wiele do stracenia.

Nie grymasiłam – potrzebowaliśmy po prostu wystarczająco dobrego mieszkania w dzielnicy dobrych szkół. Jednak – ku mojemu zaskoczeniu i frustracji – elastyczność ta w niczym nie ułatwiła ani znalezienia odpowiedniego miejsca, ani procesu poszukiwań. Po prostu „na stanie” nie było takich mieszkań –

jak wciąż powtarzali nam pośrednicy. Wchodzenie w życie innych ludzi, w ich przestrzeń, było doświadczeniem przytłaczającym i zaskakująco dziwnym – oglądanie ich własności, ich obyczajów albo przeciwnie: całkowitego braku śladów obecności ludzkiej w idealnie nieskazitelnych mieszkaniach. Dostrzegłam pewien szczególny styl wystroju wnętrz obowiązujący na Upper East Side. Mnóstwo tapet tkaninowych, żółci i niebieskości. Wszędzie. Trudno mi było wyobrazić sobie, co urządziłabym inaczej, jak by tu pasowały nasze meble, jak by nam się żyło w którymś z tych apartamentów, mojemu mężowi, synkowi i mnie. W którym kącie najlepiej by było ustawić łóżeczko? A gdybyśmy postanowili mieć kolejne dziecko, gdzie miałyby mieszkać? Czy w tym mieszkaniu dałabym radę pracować? I tak dalej.

Jeśli dane mieszkanie przeszło wstępną weryfikację – bliskość szkół, odpowiednia liczba łazienek, dobre naturalne światło i miły widok – następnego dnia mój mąż, jak wszyscy mężowie, przyjeżdżał je obejrzeć, a kobiety (Inga, ja, pośredniczka osoby sprzedającej, czasem nawet sama właścicielka) dostawały zastrzyku nowej energii, zapału, by sprawić mu przyjemność. Czułam się niemal tak groteskowo jak panią w *Kole fortuny*, gdy wraz z pozostałymi kobietami „demonstrowałam” apartament: otwierałam drzwi, pokazywałam szafy na pościel. Wdzięczenie się i obsługa nie było w moim stylu, a jednak to robiłam, jakbyśmy wszyscy grali w jakimś przedstawieniu, w którym role zostały rozdane. Według scenariusza tego przedstawienia mój mąż następnie węszył dokoła, pośredniczki spijały z jego ust każde słowo i reagowały na każdy gest, szukając najmniejszych choćby oznak (nie)zadowolenia. On zaś bywał w takich sytuacjach uprzejmy, jednak z pewnością nie nazbyt przyjacielski. Przy pośredniczkach z niczym się nie zdradzał, a po szybkim zwiedzeniu nieruchomości wracał do Ważnego Świata Męskiej Pracy. A potem do mnie dzwonił i mówił, co myśli.

Gdyby nie wiedza, że to ja podejmuję decyzję co do miejsca naszego zamieszkania, czułabym się jak Marion Cunningham w *Happy Days*. Sfera domowa była sprawą kobiet. Dlatego właśnie wszystkie pośredniczki i potencjalne nabywczynie były kobietami. Mężczyźni dostarczali tylko elementu powagi i dreszczyku niepokoju, następnie znikali i się wycofywali. Albo i nie. A potem mogłyśmy sobie robić, co chciałyśmy. Witajcie na Upper East Side.

Gdy tak rozmyślałam nad podziałami płciowymi pracy i znaczenia obowiązującymi w moim nowym habitacie, nie mogłam nie pomyśleć także o bardziej praktycznym wymiarze. Mianowicie, mimo że mieliśmy pieniądze, które w Atlancie albo Grand Rapids pozwoliłyby nam nabyć rezydencję z basenem, tu większość mieszkań w tej cenie była rozczarowująca. Dostrzegałam pewien schemat: wspaniałe, bogato zdobione, zadbane lobby z „prestizowym” adresem na Park, Madison albo Piątej. Wjeżdżałyśmy na górę, wchodziły do mieszkania... i zwykle myślałam, że zemdleję. Czy tak mieszkają te wszystkie świetnie ubrane

kobiety z Upper East Side? – zastanawiałam się z niedowierzaniem. Niektóre mieszkania były nieskazitelne, cud-miód, ale wiele, jeśli nie większość, było lekko (albo nawet bardziej niż lekko) zaniedbanych. Postrzępione dywany, stare wykładziny, zniszczone kuchnie, pożółkła farba i – niemal zawsze – służąca odkurzająca, polerująca srebra lub składająca pranie.

Za każdym razem także, bez wyjątku, fotografie w ramkach i pamiątki w salonie opowiadały tę samą historię. Porażało mnie to w każdym kolejnym mieszkaniu: zdjęcie młodej kobiety obok dyplomu Brearley albo Spence, zdjęcie młodego mężczyzny przy oprawionym, wypisanym po łacinie, złożonymi literami, dyplomie Horace Mann, Buckleya albo St. Bernarda. Idealne fryzury, młode twarze bez zmarszczek. Retuszowane uśmiechy, zęby perfekcyjne dzięki ortodoncji. Uderzyło mnie to jak obuchem pewnego razu w mieszkaniu przy Madison Avenue, gdzieś w okolicy numerów osiemdziesiątych – właściciele zamieniali mieszkania na mniejsze albo je sprzedawali, bo byli do tego zmuszeni! Ich dzieci, w które tak wiele i tak intensywnie inwestowali, skończyły studia i odfrunęły. A rodzice doszli do granicy swoich finansowych możliwości... z powodu gosposi i prywatnych szkół. A że prędzej się przeprowadzą, niż poddadzą, sprzedają, żeby się przenieść do czegoś mniejszego. I zabrać ze sobą dyplomy oraz gosposię.

– Dasz wiarę? – spytałam męża, opadając na łóżko, tego wieczoru, kiedy to do mnie dotarło. Byłam wykończona i przygnębiona oglądaniem kolejno czterech apartamentów z ozdobnymi korytarzami, postrzępionymi dywanami i wyszukаныmi dyplomami.

– Dam – westchnął. On, brooklińczyk, który przeniósł się na Upper East Side jako nastolatek, był rodowitym nowojorczykiem, ale nie rdzennym mieszkańcem Manhattanu. Rozumiał pragnienia, przekonania, dążenia, lęki i priorytety ludzi, których mieszkania oglądałam każdego dnia, jednak dostrzegał także dziwaczość tego wszystkiego. – Te wszystkie rzeczy, służba, dyplomy prywatnych uczelni to nie tylko dekoracje – powiedział. – To ich tożsamość.

Ziewnął, ale ja nagle się rozbudziłam. Przypomniałam sobie pewnego profesora antropologii, który próbował pomóc nam zrozumieć koncepcję honoru w plemienu badanym przez niego w Jemenie. „To nie abstrakcyjna idea” – tłumaczył przed laty na seminarium w zatłoczonej sali. „Kiedy ktoś plami twój honor, nie możesz po prostu tego zignorować i odejść zawstydzony”. Powiedział, że to tak, jakby ktoś wyrwał nam kawałek ciała.

Czegoś brakuje, jesteśmy ranni, niekompletni. Uświadomiłam sobie wtedy, że dyplomy prywatnych szkół i gosposie nie były jedynie fetyszowanymi oznakami statusu społecznego ani czymś, co się ma i czym się z dumą chwali. Były również potrzebne do budowania tożsamości mieszkańca Upper East Side. Tak ważne, tak niezbywalne, że można było dla nich zrezygnować z nowych dywanów, odnowienia kuchni czy wymuskanego mieszkania.

To by wszystko wyjaśniało. Sposób, w jaki kobiety – pośredniczki mające dzieci, właścicielki apartamentów, które oglądałam, znajome znajomych z Upper East Side – rozmawiały o tym, do jakich szkół chodzą ich dzieci, a przedstawiając się, podawały wiek dziecka i nazwę jego szkoły. Owszem, był to rodzaj samoopisu i przy okazji element procesu budowania sojuszu. Ale one też po prostu takie były. Kropka.

– Cześć, jestem Alicia. Moje dzieci, Andrew i Adam, chodzą do Allena-Stevensona, twoje chyba też, prawda?

– Nie, moje chodzą do Collegiate [Ha! Tak się pokazuje innym ich miejsce w szeregu, gdy się ma dzieci w Topowej Szkole – TS], ale wszyscy czterej synowie mojej przyjaciółki Marjorie chodzą do Allena-Stevensona. [Podtekst: Moja przyjaciółka Marjorie jest bardzo bogata – trzeba być bogatym, jeśli się chce mieć czworo dzieci – a więc, przez powiązanie z nią, ja także na taką wychodzę]. Może ją znasz. Ile mają lat twoje dzieci?

– Och, naprawdę? Moi dwa siostrzeńcy są w Collegiate. [Tu pokazuje, że sama niemal ma status konieczny do przyjęcia do TS, gdyż dzieci jej siostry chodzą do TS, więc ona jest jej równa]. To bliźnięta, chodzą do drugiej klasy, Devon i Dayton. – I tak dalej...

Chodzenie do prywatnej szkoły było tak istotne, że każda z nich bez wyjątku traciła rezon na wieść, że zamierzam posłać mojego syna do świetnej pobliskiej publicznej szkoły, PS6. Niektóre unosiły brwi ze zdziwienia i po chwili uprzejmie stwierdzały: „No tak, zobaczymy jeszcze, gdzie wyląduje”. Inne były bardziej bezceremonialne. „Daj spokój – zirytowała się jedna pośredniczka o wymuszonym uśmiechu, otwierając kuchenne szafki, by pokazać mi, że są podświetlane od wewnątrz. – Wyślesz dziecko do prywatnej szkoły jak wszyscy inni. Będzie je odwoził kierowca jak wszystkie inne. Więc możesz kupić mieszkanie właściwie gdziekolwiek”.

Mój mąż i ja byliśmy jednak uparci. Sami chodziliśmy do publicznych szkół, więc i nasze dziecko mogło. Wydawało się to normalnym i rozsądnym ruchem, więc kontynuowaliśmy poszukiwania w pobliżu świetnych szkół – na Osiemdziesiątej Trzeciej Wschodniej, między Madison i Park. Na tę okolicę pośrednicy nieruchomości mówią „Upper East Side Premium”. Co tylko utrudniało nasze poszukiwania.

Skoro jednak zaszliśmy już tak daleko, potrzebowałam szkolenia od męża i od Ingi. Wiedziałam, że w momencie ślubu pokonałam już pierwszy, fundamentalny podział w tożsamości społecznej manhattańskiego rynku nieruchomości – rozróżnienie „najemców” i „właścicieli”. Mąż dopisał mnie do aktu własności swojego domu, który tym samym stał się nasz wspólny. Tylko tyle, ale najwyraźniej w tym mieście znaczyło to bardzo wiele. Wiele osób wynajmujących mieszkania na Manhattanie utrzymuje ten fakt w tajemnicy albo

przynajmniej milczy na ten temat, bo towarzyszy im pewne wrażenie bycia gorszym – poczucie, że wynajmowanie jest czymś drugiej klasy, czymś przygodnym. „Jesteście właścicielami, prawda?” – w pierwszej kolejności pytały mnie agentki nieruchomości (albo raczej pytały Ingę o nas, zanim zgodziły się pokazać nam mieszkanie), chcąc się upewnić, że nie przysporzymy im dodatkowych problemów. Z zadowoleniem przyjmowały, że należymy do plemienia właścicieli.

Dodatkowym rozróżnieniem był podział na budynki przedwojenne i powojenne. Pewnie, myślałam sobie, miło by było mieszkać w pięknym starym budynku, z ładnym oryginalnym wykończeniem, zaprojektowanym przez znanego architekta, historycznym i z bogatą przeszłością. Ale nie miałam zamiaru się na tym skupiać. Kolejną ważną sprawą, która dominowała nawet kwestię przedwojenne czy powojenne, był podział na apartament we wspólnocie (*co-op*) czy własnościowy (*condo*). Mieszkając wcześniej w kamienicy, nie byłam tego świadoma – a różnica ta jest jedną z podstawowych, jakie porządkują manhattańskie budynki oraz tożsamość na Upper East Side.

We wspólnotach, jak tłumaczyli mi mąż i Inga, członkowie rady decydują, kto może mieszkać w danym budynku, a kto nie, oraz ustalają zasady. Niektóre z nich są jednoznaczne i logiczne. Na przykład „reguła lata”, która mówi o tym, że wszelkie remonty apartamentów mogą się odbywać jedynie latem, kiedy łatwiej jest uciec przed hałasem, wyjść z domu albo nawet przenieść się na cały sezon do domku na wsi. Na Manhattanie mieszkamy nad sobą i pod sobą, więc remonty potrafią poważnie obniżyć jakość życia. Reguła lata to coś „bardzo w stylu Upper East Side”, jak twierdzi Inga; niemal żadna wspólnota na Upper West Side nie ustala takich zasad. Choć przecież mają one sens.

Pozostałe reguły życia we wspólnocie są bardziej arbitralne, dotyczą raczej obyczaju niż funkcjonalności. Na przykład nie można tak po prostu podnająć swojego mieszkania albo pozwolić, by wprowadziło się tam własne dwudziestokilkuletnie dziecko. Rada musi zatwierdzić tego typu rzeczy. W niektórych budynkach żąda się nawet od kandydata, by udokumentował astronomicznie wysokie i zarazem łatwe do upłynnienia aktywa. Albo i nie. „Wymagają” tego (kiedy akurat nie chcą przemykać oka) jako pewnego rodzaju „ubezpieczenia”, mimo że w zasadzie biorą w zastaw każde mieszkanie w budynku. To dlatego, że w takiej wspólnocie nikt tak naprawdę nie jest właścicielem swojego mieszkania. Właściciele posiadają jedynie „udziały” – większe mieszkanie oznacza większą partycypację. Udziały zaś to władza. Chętni do kupienia mieszkania we wspólnocie niemal zawsze przechodzą rozmowę kwalifikacyjną z radą. Mąż i Inga ostrzegli mnie, że w trakcie takiej rozmowy można zostać zapytany o wszystko. Albo bez powodu zostać odrzuconym. Nagle więc pojęłam, dlaczego te mieszkania w budynkach zarządzanych przez wspólnoty

na Park czy Fifth, gdzie szukaliśmy, reklamujące się jako „bez zgody rady budynku” były obłożone. Zastanawiałam się też, czy posiadanie udziałów jest tym samym co posiadanie gosposi i dziecka w prywatnej szkole.

Mieszkania własnościowe (*condo*) są nieco droższe, jak się dowiedziałam, ale pozwalają tam na niewielkie kredytowanie, no i ma się mieszkanie na własność. Ma się też więcej swobód. Można podnając mieszkanie albo, jeśli się ma ochotę, używać go jako *pied-à-terre*. Poza tym w kondominiach podanie o zakup mieszkania rozpatrywane jest przez administrację, co jest zdecydowanie mniej osobiste i inwazyjne niż grupka potencjalnych sąsiadów analizująca każdy szczegół twojego życia finansowego i prywatnego.

Gdy tak codziennie przemierzałam drogę z West Village na Upper East Side, doszłam do wniosku, że – nieważne: własnościowe czy we wspólnocie, przed- czy powojenne – czas już coś wybrać. Rachunki za taksówkę były zabójcze. Musieliśmy się przeprowadzić na północ, żebym mogła wreszcie przestać tam dojeżdżać.



I tak pewnego dnia trafiłam na mieszkanie, które jak sądziłam, mogło się nadać. We współczesnej kamienicy na Park Avenue, nie zaś w „prestizowym” przedwojennym budynku autorstwa słynnego architekta. Nie dbałam o to – przecież i tak miałam mniej niż dwie przecznice do Central Parku. Samo mieszkanie początkowo wydawało się trochę zbyt ciemne, ale to z powodu koloru farby – z łatwością potrafiłam sobie wyobrazić inny. Kuchnia była „najlepsza w tej klasie”, jak mawiają pośrednicy, choć troszkę za mała. Z okna miałam „otwarty widok na miasto”, co oznaczało, że nie było widać parku, ale też tuż za oknem nie było drugiego budynku; wszystkie znajdowały się w odpowiedniej odległości, nie zasłaniając światła, a także dając przyjemne uczucie przestrzeni i towarzystwa jednocześnie. W mieszkaniu była odpowiednia liczba pokoi. W jednym z nich stał mały słodki stolik z krzeselkami, a na nim leżało niedokończony dzieło – guziki, kawałki suchego makaronu i brokat na różowej tekturce. Pokój tej dziewczynki spokojnie mógłby się stać pokojem mojego synka, pomyślałam. Ciepłe uczucia, jakie wywoływała ta przyjazna dzieciom sceneria, przeważały nawet moją niechęć do trochę zbyt niskich sufitów, lokalizacji przy ruchliwej ulicy i niedoskonałego rozkładu pomieszczeń.

Przechadzałam się po mieszkaniu drugi raz i trzeci, coraz bardziej podekscytowana. „Agentka nie dała rady dojechać” – wyjaśniła Inga. Wiedziałam, że w świecie pośredników nieruchomości to pewnego rodzaju afront. To tak, jakby powiedziała, że ja i Inga nie jesteśmy warte jej czasu, bo jest zajęta czymś innym. Ale miałam to gdzieś. Druga wizyta została zorganizowana najszybciej, jak to było możliwe, żeby pośredniczka – zabiegana, obojętna i niezycziwa – mogła mnie

poznać i zaakceptować. Gdy tak się stało, umówiliśmy się na trzecie oglądanie, tym razem z moim mężem.

Kiedy tylko otworzyliśmy drzwi, zorientowaliśmy się, że właścicielka jest w domu, bo słychać było, jak strofuje córkę. Zajrzałam w głąb korytarza – blondynka, jak ja, w podobnym wieku i o podobnej posturze. Mówiła: „Leda, jeśli coś jesz, należy najpierw poczęstować innych!”. Najwyraźniej chodziło jej o pośredniczkę, dużą kobietę o krótkich rudawych włosach, którą poznałam podczas poprzedniej wizyty i która teraz stała między nami a rodziną niczym pitbul w biżuterii od Schlumbergera. Jej pierścionki i bransoletki połyskiwały, gdy próbowała zatarasować mi drogę do właścicielki, która już wyciągała do mnie rękę na powitanie i uśmiechała się przyjaźnie. „Mam na imię Allie” – powiedziała. Zabrzmiała, jakby była jednocześnie zadęczona i uprzejma. Coraz lepiej rozpoznawałam tę intonację i styl bycia, spotykając kobiety z Upper East Side na ulicy czy w ich mieszkaniach. Najwyraźniej dla Allie ważne było obejrzenie osoby czy osób zgłaszających chęć kupna jej mieszkania. Cieszyłam się, że się względnie ładnie ubrałam. Jej ubiór był cudownie szykowny: dopasowane czarne spodnie capri, dopasowana lawendowa bluzka i doskonały, połyskujący jasnoróżowy lakier na paznokciach bosych stóp. Wyglądało na to, że ma własnego fryzjera i makijażystkę. A było to zwykle śródkowe popołudnie.

– To Sharon – powiedziała Allie, a pośredniczka słabo uściśnęła moją dłoń, zawieszając wzrok gdzieś nade mną.

– Dzień dobry, znów się spotykamy. – Miałam nadzieję, że mój ton głosu był przyjemny.

Nie po raz pierwszy widziałam, że agentka nadmiernie i teatralnie wręcz chroni swoją klientkę i jest dziwnie wroga wobec potencjalnej nabywczyni. Pośrednicy sprzedających byli samozwańczymi stróżami „rodzin w okresie przejściowym” – w końcu to rozumiałam – ich przewodnikami przez stany graniczne, prowadzącymi ich od roli właściciela, przez sprzedawców, kupujących, by znów stali się właścicielami. Pośrednicy chcieli być obecni na każdym etapie tych wielkich transakcji, bo sami byli ich częścią – ważyły się losy ich ogromnych prowizji. Przerazała ich wizja, że coś skomplikuje cały proces, na przykład kontakt właściciela z potencjalnym nabywcą. Albo że zostaną pominięci. Było jednak jeszcze coś – coś bardziej niesamowitego i dostrzegłam to właśnie wtedy, gdy Allie powiedziała, że musi sprawdzić, co u córki, która poszła do swojego pokoju. Odwróciłam się do Sharon i z czystej uprzejmości zapytałam o wiek małej Ledy.

– Ma trzy lata i chodzi do przedszkola Temple Emanu-El – odparła krótko i tak wyniośle, jakby obwieszczała, że sama właśnie otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla.

Zauważyłam u pośredników, architektów i opiekunek do dzieci na Upper East Side tendencję do utożsamiania statusu własnego ze statusem ich klientów czy

szefów – teraz miałam kolejny dowód. Kiedy zaś zapytałam, czy to przedszkole znajduje się gdzieś w pobliżu, zdradzając się z tym, że nigdy o nim nie słyszałam, Sharon spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Uśmiechnęłam się, licząc na zmiękczenie efektu mojej ewidentnej ignorancji i braku zainteresowania. Ale w myślach wywracałam oczami i mówiłam: „Kobieto, wyluzuj! To nie jest twój dom. To nie twoja rodzina”. Chciała dostać prowizję, bez wątpienia, ale na pewno miała kilku innych chętnych na to mieszkanie. Sharon była zamożna, podobnie jak wielu pośredników na Upper East Side. Z każdej sprzedaży brała 6 procent, a jej osobisty zysk wynosił 3 procent. W czasie obecnego ekonomicznego boomu, który przekładał się na branżę nieruchomości, byłam dla niej nikim. I dało się to wyczuć. Nie lubiłam jej. Więc po prostu tak sobie tam stałyśmy.

Na szczęście Allie szybko wróciła i przepaszając, zaproponowała wodę gazowaną. Gdy oprowadzała mnie po apartamencie, z ujmującą bezpośredniością wskazując, co się jej podoba, a co mniej, rozmawiałyśmy o naszych dzieciach – jej córka była odrobinę starsza od mojego syna. Sharon snuła się za nami. Nie została dopuszczona do rozmowy matek. Inga poinformowała nas, że dzwonił mój mąż, by przekazać, że stoi w korkach. Ona wiedziała, kiedy się wycofać, więc teraz prowadziła równoległą niezobowiązującą rozmowę z koleżanką po fachu, która – pomyślałam sobie z dziwną dumą – nie miała szans, by trafić do jej ligi. Inga była lepszą pośredniczką w każdym calu – była wytworna, kompetentna, świetna w kontaktach społecznych i piękna. Ha!

– Ludzie, którzy pracują w tym budynku, są całkiem w porządku – powiedziała mi Allie, prowadząc mnie do głównej sypialni. – Nie jacyś wspaniali, ale w porządku.

Wyjaśniła, że sami zamierzają tu zostać, ale przenoszą się do penthouse’u, w którym jest dodatkowy pokój i widok na park. Poczulałam ukłucie zażenowania: a więc ona wyprowadza się do lepszego mieszkania, a my się mamy wprowadzić do tego, które porzuca – szybko jednak zwalczyłam to uczucie. W sumie to bez znaczenia. Z tego, co mówiła, wywnioskowałam, że jest w ciąży, ale nie pytałam. Zamiast tego wymamrotałam coś o tym, jaką ulgą będzie posiadanie hallu i windy, bo życie w kamienicy i wieczne pokonywanie schodów nie jest łatwe, gdy się ma małe dziecko i wózek. Rozpromieniła się.

– Mieszkacie w kamienicy? To moje marzenie! – zawołała.

W tym momencie poczułam, że zagoiła się rana, jaką mi zadała wieścią o tym, że zajmuję jej porzucone lokum niczym żalosny krab pustelnik. Doszłyśmy do sypialni, gdzie zaczęła otwierać szafy i opowiadać mi o szczegółach. Tu są przegródki na torebki – mignęły mi przed oczami torebki od Gucciego, Louisa Vuittona i Goyarda. A te to półki na buty, rząd za rządem.

– Chcesz zatrzymać sejf? – zapytała, pochylając się, by zademonstrować, jak działa.

Zamilkłam. Co niby miałabym trzymać w sejfie? Raczej nie nosiłam biżuterii. Na naszych pierwszych wspólnych wakacjach mąż chciał mi kupić jakąś błyskotkę. Powiedziałam mu:

– Dzięki, ale nie przepadam za... klejnotami.

I taka była prawda. Musiał mnie przekonywać nawet do stosunkowo skromnego brylantowego pierścionka zaręczynowego. Noszenie go początkowo uderzało mnie jako pozbawiony subtelności i dobrego gustu sygnał: jestem czyjąś własnością. W końcu jednak się poddałam, bo tak było łatwiej, ale też dlatego, że pierścionek dawał mi pewnego rodzaju poczucie bezpieczeństwa jako członkini tego plemienia. No i dlatego, że, cóż, po prostu był śliczny.

– Pewnie – bąknęłam, nie chcąc, żeby sobie pomyślała, że aż tak się od niej różnię, a ona szybko dodała:

– Przydaje się na codzienne rzeczy. Te większe możesz zdeponować w prywatnym banku za rogiem. Ja tak robię. – Patrzyłam na szpilki i perfekcyjnie złożone kaszmirowe sweterki ułożone według kolorów, a ona mówiła dalej: – Szafę robiono mi na zamówienie, ale i tak źle ją przemyślałam – podsumowała, wstając. – Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, jak bym ją poprawiła, żeby była bardziej praktyczna. – Tu westchnęła i przeprosiła za „bałagan”, choć go wcale nie zauważyłam. Tak naprawdę była to wspólna cecha wszystkich kobiet, które poznałam na Upper East Side. Zawsze to robiły – przepraszały za nieistniejący bałagan. Notatka własna: spróbować to wyjaśnić.

Allie uśmiechała się i znów wyciągała ku mnie rękę.

– Cóż, bardzo się cieszę, że cię poznałam. – Wyjaśniła, że teraz musi wyjść z Ledą i przykro jej, że nie poznała mojego męża. – Mam nadzieję, że wszystko się uda – dodała znacząco. – I... będę cię szukać w Palm Beach. Jedzicie tam, prawda? My zatrzymujemy się w The Breakers.

Zbiła mnie z tropu.

– Yyyy... – wodziłam oczami po pokoju, w końcu utkwiałam spojrzenie na niebieskiej materiałowej tapecie, jakby zawierała jakąś dobrą odpowiedź. – Jedziemy... ale dopiero w maju – wydusiłam wreszcie, przypominając sobie, że późną wiosną rzeczywiście tam jedziemy, bo mąż ma konferencję. Zastanawiałam się tylko, skąd, do diabła, ona o tym wiedziała.

Popatrzyła na mnie zaskoczona.

– No cóż... Domyślam się, że... wtedy nadal jest tam przyjemnie – zawahała się. Po czym odrzuciła głowę do tyłu, skinęła i dodała: – No to widzimy się w Aspen!

Powiedziała to z taką pewnością, jakby wszyscy rzeczywiście spotykali się w Aspen. Przez krótką chwilę pomyślałam nawet, że może wie coś więcej o moich planach wyjazdowych i być może naprawdę wybieramy się do Aspen. Ale na nartach nie jeździłam od lat, więc powiedziałam jej, że święta spędzimy w Nowym

Jorku. Szeroko otworzyła oczy.

– Ach, tak. Pewnie będziecie się przygotowywać do przeprowadzki i tak dalej? – Przytaknęłam z uśmiechem, niejako sugerując, że w przyszłym roku na pewno pojawimy się w Palm Beach na Święto Dziękczynienia, a w Aspen podczas ferii zimowych. Na pewno.

Najwyraźniej wprawiłam ją w takie samo zakłopotanie jak ona mnie. Było jasne, że muszę się doszkolić w zakresie wzorców migracyjnych mieszkańców Upper East Side. Bo na razie zupełnie tam nie pasowałam.



Mieszkanie, na którego kupno liczyliśmy, mieściło się w jedynym *condo* na Park Avenue, co sprawiało, że było łakomym kąskiem dla osób, które nie chciały mieć do czynienia z radami wspólnoty w co-opie, ich zasadami, regulacjami i restrykcjami, albo które bały się, że im nie sprostają. Oraz dla tych, którym naprawdę bardzo zależało na Park Avenue w adresie. Haczyk polegał na tym, że akurat ten konkretny budynek był tak naprawdę „condopem” – hybrydą, *condo*, które „działa jak *co-op*”. Boże mój – pomyślałam, gdy Inga mi o tym powiedziała. Naprawdę mają na to osobne słowo?

Czymkolwiek był ten budynek, proces zgłaszania kandydatury okazał się długi i zawikłany. Oczekiwano, że ujawnimy wszystko: od numerów kart kredytowych i średniej ocen z college’u po listę wszystkich szkół, do których kiedykolwiek uczęszczaliśmy my, nasi rodzice i nasze dzieci. „Czemu nie pytają, jak często uprawiamy seks?” – utyskiwałam mężowi, gdy to wszystko omawialiśmy. W sercu byłam przezorną mieszkanką Środkowego Zachodu, czułam się więc zbulwersowana i głęboko urażona pomysłem całego tego sprawdzania mnie przez zupełnie obcych ludzi.

Zaczynałam rozumieć, że „proces nabywania” był jednym z najbardziej upokarzających rytuałów inicjacyjnych, jakie można sobie wyobrazić, po którym, jak mi mówiono, nie można pozbyć się wrażenia, że wielu ludzi dokoła, których się w dodatku niezbyt dobrze zna, wie o tobie zdecydowanie zbyt wiele. Bo tak właśnie jest. Właśnie w ten sposób – z czego zdałam sobie sprawę, gdy obmyślaliśmy nasz kolejny ruch – ustanawiana jest i utrzymywana hierarchia na Manhattanie, gdzie budynki łączą niespokrewnionych, obcych ludzi mieszkających w bliskim sąsiedztwie i gdzie panuje delikatna, lecz całkowicie niezbędna wzajemna zależność. Tworzymy relacje i poczucie zobowiązania, by odpowiednio się zachowywać, przez wymianę informacji, dokładnie tak, jak robiły to kobiety plotkujące przez płot albo robiące wspólnie pranie nad rzeką.

Oczywiście ta wymiana nie jest równa. Jako suplikanci (wolałam to określenie, bo wydawało się uczciwsze niż „kandydaci”) upokarzający się, by uzyskać wstęp, byliśmy w niekorzystnym położeniu, na łasce naszych

potencjalnych sąsiadów. Jak psy, które w walce kładą się na grzbiecie, pokazując tętnicę szyjną i miękki brzuch, okazywaliśmy gotowość podporządkowania się, odstąpienia władzy i całkowitą bezbronność. Po zakończeniu tych wyczerpujących rytuałów inicjacyjnych i rytuałów przejścia mieliśmy się wyłonić po drugiej stronie – zmęczeni, ale z nowiutką tożsamością: rezydenci XYZ Park Avenue. A przynajmniej na to liczyliśmy.

Kiedy przyszło do spotkania z zarządem wspólnoty, byłam na początku zagrożonej ciąży i kazano mi leżeć w łóżku. Nie ma problemu, jak powiedział jeden z przedstawicieli zarządu, oni przyjadą do nas. I tak zrobili. My i siedmioro całkowicie obcych ludzi. W naszej sypialni. Założyłam na siebie perły i żakiet, a pod kołdrą miałam dół od pizamy. Podaliśmy wino, sery i krakersy. Musieli stać. Niezręcznie komentowali naszą kolekcję książek i pytali o syna oraz o to, czy zamierzamy robić remont.

Nasze odpowiedzi oraz dokumenty aplikacyjne okazały się wystarczająco dobre. Przeprowadziliśmy się do naszego nowego domu na Park Avenue w samym szczycie ekonomicznego boomu, w chwili gdy przychody, portfolio inwestycyjne i ego wezbrały w całym mieście, ale nigdzie mocniej niż w okolicy z naszym dopiero co zdobytym, elitarnym kodem pocztowym. Jeśli sądziliśmy, że to już koniec, że po przejściu tych szczególnie upokarzających rytuałów wreszcie będziemy mogli żyć swobodnie w naszym domu, że wreszcie będzie można choć trochę opuścić gardę i odpocząć, myliliśmy się.

Rany boskie! – uświadomiłam sobie pewnego popołudnia, gdy razem z synkiem siedzieliśmy na naszej nowej sofie w naszym nowym salonie, czytając książeczkę o nauczycielce i jej uczniach, którzy jadą zaczarowanym autobusem. – Kompletnie zapomniałam zapisać go do żłobka!

Rozdział drugi

Towarzyski parias

Geograficznie rzecz biorąc, Upper East Side leży zaledwie parę mil od West Village. Przeprowadziliśmy się więc z jednej części miasta do drugiej, co nie wydaje się niczym wielkim. Jednak społecznie, emocjonalnie i kulturowo był to inny świat. Zmianę dało się odczuć w szczegółach i w ogóle – na przykład musieliśmy przyzwyczać syna do nowego łóżka i do hałasów wydobywających się z odpływu wanny. Był też proces aklimatyzacji – wszyscy musieliśmy się odnaleźć w nowym otoczeniu. To miejsce z bliska wydawało się jeszcze bardziej sztywne i oficjalne, niż sobie wyobrażałam. Na początku, gdy szłam w jeansach i chodakach po zakupy do sklepu na rogu, czułam się strasznie źle ubrana. Kobiety wokół mnie były wystrojone, odstawione i wymalowane nawet o dziesiątej rano we wtorek. Wszystko, co się z nimi wiązało – skromne, lecz bardzo drogie buty, kaszmirowe dwurzędowe kurtki marynarskie z błyszczącymi guzikami, ich połyskujące wspaniałe torebki – wyglądało na oszałamiająco kosztowne i skrupulatnie pielęgnowane. Najwyraźniej w naszej nowej niszy ekologicznej cały świat był sceną, a każdy dzień okazją do zaprezentowania fantastycznego, uważnie skomponowanego stroju wraz ze staranną fryzurą i makijażem.

Nasz budynek także nie był już swobodny ani na luzie. Ani przyjazny. Zaraz po tym, jak się wprowadziliśmy, między lokatorami rozgorzała debata, czy mieszkańcy z małymi dziećmi w wózkach nie powinni korzystać tylko z windy towarowej, zwykle używanej do dostarczania zakupów czy wywozu śmieci. Winda pasażerska, jak najwyraźniej uważali niektórzy sąsiedzi, powinna być do użytku dla każdego, w tym dla psów, poza dziećmi. Psy przecież nosiły się tu elegancko – w kaszmirach i skórach, miały wysadzone szlachetnymi kamieniami smycze, które zwykle spoczywały w dłoniach starszych dam, zdecydowanie niepodobnych do babć i paradujących w gigantycznych brylantach.

– Czy to prawdziwe? – wyszeptalam raz do windziarza po tym, jak świetnie utrzymana starsza pani wysiadła z windy.

– Tak sądzę – odparł, unosząc brwi ze zdziwienia. – Ma takich kilka.

Każdego kolejnego dnia zdumiewał mnie wszechobecny dostatek. Nie chodziło tylko o to, że okolica i sąsiedzi byli zamożni. Patrząc antropologicznie, żyli oni w czymś, co można nazwać jedynie ekstremalną obfitością ekologiczną. Każda żyjąca istota jest uzależniona od środowiska, w którym funkcjonuje. Warunki środowiskowe – klimat, fauna i flora, drapieżniki – determinują zarówno

codzienność, jak i przebieg życia, a także ewolucję każdej populacji każdego gatunku. W przeważającej większości świata ludzie nadal zmagają się z drapieżnikami oraz chorobami i ciężko pracują, by zabezpieczyć siebie i swoją rodzinę w niezmiernie trudnym środowisku: na sawannie, w lasach deszczowych czy brazylijskich dzielnicach nędzy. Nie powiem nic nowego, jeśli stwierdzę, że dla bogaczy z uprzemysłowionego Zachodu, gdzie obiad przynosimy sobie ze sklepu, mamy szczepionki oraz – posługując się słowami prymatolożki Sarah Hrdy – za rogiem żłobka nie czają się pantery, sprawy mają się inaczej. Krótko mówiąc, wielu z nas żyje w nieograniczony warunkami środowiska sposób, na niespotykaną dotąd skalę. Doszłam też do wniosku – każdego dnia włócząc się to tu, to tam w poszukiwaniu szeleszczącej pościeli Frette, błyszczących garnków i rondli All-Clad albo idealnych kinkietów – że nigdzie nie ma aż tylu wszelakich zasobów jak tu, na Upper East Side. To kraina gigantycznych, zmysłowo czerwonych truskawek w Dean & DeLuca, dopasowanych kurtek Barbour, a także cudownych maleńkich ciasteczek w wyśmienitych cukierniach mieszczących się przy nieskazitelnym, spokojnym bocznym uliczkach. Wszystko było tu tak lukrowane pieniędzmi i nienagane, że czasami przyprawiało mnie o zawroty głowy.

Jednak moją uwagę przyciągała głównie obfitość przeuroczych sklepów dla dzieci. W promieniu paru przecznic od naszego nowego domu było ich niemal tuzin, a ich głównym asortymentem były pięknie wykonane ubranka dla maluchów, jakich nigdy nie widywało się na południu miasta – małe wełniane spodnie, podkolanówki, granatowe buciki na beżowej skórzanej podeszwie, białe bluzki z kołnierzykiem *à la* Piotruś Pan i lamówką z czerwonej ząbkowanej tasiemki, staroświeckie kardigany w romby dla miniaturowych mężczyzn. Wszystkie produkowane były we Włoszech albo we Francji. Oprócz piżam, które zawsze pochodziły z Portugalii. Moim ulubionym spośród tych ekskluzywnych butików był sklep o nazwie Prince & Princess. „Nie, proszę pani, nie mamy wyprzedaży, nigdy ich nie organizujemy. Ale możemy zaoferować idealny rozmiar” – odparła sprzedawczyni, gdy zapytałam ją, czy aby nie planują obniżki na malutki pudrowobłękotny kaszmirowy sweterek, który zapragnęłam kupić swojemu urwisowi. Życie w stanie obfitości ekologicznej, jak podejrzewałam, musi mieć wpływ na rodzicielstwo. Jednak co dokładnie oznaczało „być dzieckiem” albo „być mamą” w pełnym dóbr, egzotycznie bujnym i szczodrym Upper East Side poza finansowaniem wymyślnych i bezużytecznych rzeczy dla dziecka? Co się działo z matkami i dziećmi, które żyły w takim świecie, oraz co – zastanawiałam się z lękiem – stanie się z moim dzieckiem? I ze mną?

Nawet tutaj nie dla każdego sprawy układały się jak w raju – to już wiedziałam. Rajski ogród dzielił się bowiem na tych, którzy Mają, Mają Więcej i Mają Najwięcej. Dość łatwo było ich rozróżnić. Kobiety MN wyglądały tak, jakby były najlepiej skonstruowane i najładniej zrobione, i przeważnie miały

najwięcej dzieci. Za pierwszym razem, gdy zobaczyłam perfekcyjnie uczesaną, perfekcyjnie ubraną drobną brunetkę, która wraz z dwiema nianiami zapędzała stadko sześciorga dzieci do ekskluzywnego butików z odzieżą dla maluchów, nie dało się tego porównać z niczym, co już wcześniej widziałam – do tego stopnia, że ledwie potrafiłam to zrozumieć. Czy była macochą części tych dzieci? Zastanawiałam się, patrząc, jak maluchy wiją się i buntują, ubierane w kolejne kosztowne stroje, których ceny najprawdopodobniej idą w tysiące dolarów, a potem z nich rozbierane. Musiała być, prawda? Och, jednak nie, jak później powiedziała mi sprzedawczyni. Była panią domu, której mąż miał kilka biznesów, budynków i przedsiębiorstw. A ona nie była rzadkością w mojej niszy – bynajmniej!

Szybko przyzwyczaiałam się do wielodzietnych rodzin – były wszędzie. Trójka była teraz nową dwójką, czymś zupełnie naturalnym w tym środowisku. Czwórka była nową trójką – przedtem powodowała urywanie się rozmowy, ale teraz przestała być taka znów niezwykła. Piątka nie była już szaleństwem ani przejawem religijności – oznaczała po prostu, że jest się bogatym. Szóstka zaś najwyraźniej mówiła: cała kamienica w centrum. Albo prywatny odrzutowiec. Wojna kultur w naszym budynku między rodzinami z dziećmi (parami z małymi dziećmi, nalegającymi na wygospodarowanie bawialni w lobby) a starszymi lokatorami (czyli emerytowanymi damami – właścicielkami małych rozszczekanych piesków, które uważają, że dzieciom w wózkach przysługuje winda towarowa) odzwierciedlała silniejszy trend panujący w mieście. Rodzice z dziećmi zostawali w centrum, nie wynosili się już na przedmieścia, co było powszechną praktyką w poprzednim pokoleniu. Sytuacja ekonomiczna pozwalała na to, by bogacze – czy to świeżo wzbogaceni, którzy dobrze zainwestowali w fundusze hedgingowe, czy ci, którzy odziedziczyli fortunę – szybko kupowali kamienice albo kilka apartamentów naraz i łączyli je, aby stworzyć mieszkania o trzech, czterech czy sześciu sypialniach. Zyskiwali w ten sposób przestrzeń, jaką poprzednio można było zdobyć jedynie gdzieś w Westchester albo Wyoming.

Zmiana ta wpływała na dwa rynki: nieruchomości – na którym, o czym przekonałam się osobiście, popyt był zbyt wielki – oraz prywatne szkoły na Manhattanie. Wiedziałam, że jeśli kogoś było stać na prywatną edukację – a ceny wynosiły wówczas około 25 tysięcy dolarów rocznie za żłobek i 35 tysięcy lub więcej za „kontynuację” – jego dzieci mogły chodzić do prywatnej szkoły. Dostanie się do Brearley było więc tylko kwestią zamożności. Teraz jednak – jak czytałam w gazetach i słyszałam od mam, które szeptały do siebie przy kawie i w parku – gdy tak wiele rodzin postanowiło tu wieść życie i tak wiele z nich stać na prywatną szkołę, sprawy miały się inaczej.

Tak wiele dzieci. Tak wiele pieniędzy. I tylko tyle miejsc w szkołach. Okazało się więc, że w krainie obfitości są jednak rzeczy, które niezwykle trudno

zdobyć. Widmo porażki przy zapisywaniu dziecka do elitarnej szkoły – w zmienionej ekologii Upper East Side właśnie to było najbardziej przerażającym drapieżnikiem, którego trzeba było pokonać. To była nasza pantera.



„Zapomniała pani?” – powtórzyła nieco wyższym tonem niż poprzednio, pierwsze słowo nieco ostrzej niż drugie.

W jej głosie pobrzmiwały niedowierzanie, dezaprobata i odrobina wyniosłości, jak u kogoś, kto wie, że ma coś, czego bardzo pragnie ktoś inny. Byliśmy pewni, że nasz syn w końcu trafi do szkoły publicznej, więc nie czuliśmy przymusu szukania mu miejsca w żłobku, który zagwarantuje mu dostanie się do jakiejś prestiżowej prywatnej szkoły. Ale tutaj zapisanie dziecka do jakiegokolwiek żłobka – topowego czy nie – było zabójczym przedsięwzięciem. Obecność wszystkich tych rodziców, którzy zdecydowali się wychowywać swoje potomstwo w centrum miasta, spowodowała, że wszelkie punkty opieki przedtem uważane za miejsca drugiego wyboru teraz stały się nieosiągalne. Manhattan trzeszczał w szwach od dzieci i ich strasznie ambitnych rodziców. Żłobki nadal jeszcze nie odpowiedziały na zwiększony popyt. Większość z nich nie zrobiła nic, by przyjmować więcej dzieci. A „nowych” placówek nie przybywało.

Jednocześnie nieposłanie dziecka do żłobka po prostu nie wchodziło w grę. Panowała powszechna zgoda co do tego, że dzieci lepiej sobie radzą, gdy doświadczą zorganizowanego przygotowania i socjalizacji, zanim pójdą do przedszkola. Ta kobieta w słuchawce dopadła mnie więc dokładnie tam, gdzie się obecnie znajdowałam – na skrzyżowaniu ambicji i lęku o dobrostan mojego małego synka. Przelotnie pomyślałam o swoim ciśnieniu – miałam wrażenie, że serce biło mi tak, jakby chciało wyskoczyć oczami – wzięłam głęboki oddech, zanim zaczęłam się bronić. Znowu. To była trzecia taka rozmowa tego ranka. Tak, wiem, że to brzmi dziwnie, ale dopiero co przenieśliśmy się z innej części miasta, gdzie obyczaje są inne, a terminy zapisów późniejsze, więc byłabym naprawdę bardzo wdzięczna, gdyby tylko ta pani była tak miła i powiedziała, czy w ogóle warto prowadzić tę rozmowę. A jeśli warto i raczy dać mi szansę, natychmiast przybędę do niej po Kopertę – dużą, z brązowego papieru, zawierającą formularz aplikacyjny (esej do napisania przez rodzica), a także (czasem) formularze do wpisania rekomendacji. Tak bardzo jestem jej wdzięczna za poświęcony czas i przepraszam za kłopot.

Jednak tak naprawdę chciałam jej powiedzieć, im wszystkim zresztą: „Dlaczego jesteście takie nieprzyjemne?!”. W końcu rozmawialiśmy tylko o żłobku. Jasne – było zbyt dużo dzieci i za mało miejsc. Rozumiałam to. Ale przecież mówimy o krakersach pełnoziarnistych, malowaniu palcami i zabawach w kółeczku! Wesolej i miłej zabawie! Zdobywaniu kolegów i czytaniu bajeczek.

Czy bycie pomocną i uprzejmą to nie jej obowiązek jako łączniczki między szkołą a światem zewnętrznym, niezależnie od tego jak nieorientowana osoba dzwoni i jak naiwne pytania zadaje? Tutaj, na Upper East Side, dziecięce rozrywki były jednak śmiertelnie poważną sprawą. I wymagały sporo wysiłku. Trzeba było postępować w odpowiedni sposób – pisać podania, umawiać się na „zabawy” i tak dalej. Jeśli chodziło o szkołę, musiałam się jeszcze wiele nauczyć.

Kilka mam z zajęć muzycznych i moja szwagierka, tutejsza matka czworga nastolatków, kierowały moją edukacją i kształciły mnie w zakresie szkolnych procedur. Wyjaśniły mi, że dyrektorki pewnych żłobków mają związki z dyrektorami pewnych szkół, które z kolei mają swoje związki i dzięki temu mogą z większym lub mniejszym sukcesem zapewnić dziecku miejsce w „dobrym college’u” – co w przegęszczonym, nadambitnym środowisku nie oznaczało już Ligi Bluszczowej, lecz właściwie jakikolwiek amerykański college o przyzwoitym poziomie nauczania i dobrym zapleczu technicznym. Co więcej, duża część żłobków i szkół z kolejnych etapów edukacji prowadzi „politykę rodzeństwa” – jeśli ma się dziecko w jednej placówce, to zapisanie tam kolejnego dziecka jest w zasadzie formalnością. Biorąc pod uwagę wpływ żłobka na dalszą edukację dziecka, na to, w jakim college’u ono wyląduje, oraz dużą szansę, że jeśli teraz właściwie rozegra się tę partię, być może będzie to jedyna jego aplikacja podczas całego okresu dwunastu lat nauki, edukacja przedszkolna nabierała znaczenia większego, niż można się było spodziewać. A dyrektorki żłobków i przedszkoli były bardzo, ale to bardzo wpływowe. Owszem, nie mieliśmy wątpliwości, że okoliczna szkoła państwowa jest w sam raz dla naszego syna i naszej rodziny. Co jednak, gdybyśmy chcieli wysłać go do szkoły prywatnej? Co, jeśli przez liczebność klasy w państwowej szkole nie uczyłby się efektywnie? A co, jeśli poziom w szkole państwowej obniży się, gdy już będzie jej uczniem (słyszało się o takich przypadkach, na przykład gdy zmieniany był dyrektor szkoły) albo jeszcze zanim zacznie się tam uczyć? Co, jeśli „uczenie się do testu”, powodujące wypalenie zawodowe u nauczycieli, stresujące dla nich, dla dzieciaków i rodziców, nadal będzie praktykowane i przez to mój syn będzie miał problemy, tak jak ma je wiele dzieci ze szkół publicznych? Co, jeśli z jakiegoś powodu w pewnym momencie zapragniemy, by jednak chodził do szkoły prywatnej? Wszystko to oznaczało, że już teraz potrzebowaliśmy świetnego dyrektora przedszkola, takiego, jaki mógłby pociągać za sznurki później. Odrobiłam tę lekcję.

Westchnęłam do słuchawki. Znowu znalazłam się w pozycji osoby błagającej, lecz tym razem było jeszcze gorzej niż wtedy, gdy szukałam mieszkania, bo w przeciwieństwie do innych matek z Upper East Side najwyraźniej nie miałam o niczym pojęcia. Na przykład o zasadzie, która brzmi: Zawsze planuj z bardzo dużym wyprzedzeniem. Powoli uczyłam się od mam spotykanych w parku i na placu zabaw, że w tym plemieniu to, co było do zrobienia, robiło się

zawsze o wiele wcześniej, niż było to konieczne. Na przykład przed żłobkiem dwulatek powinien chodzić na zajęcia muzyczne do Diller-Quaile School of Music. Przedtem jeszcze dobrze jest chodzić na zajęcia grupowe dla niemowląt. Wydawało się, że wszystko wiąże się ze wszystkim, a wiedza ta, wymienianie się informacjami i wykorzystywanie ich w odpowiednim czasie, była czymś w rodzaju transakcji pomiędzy wtajemniczonymi. Potwierdzała przynależność do plemienia mam z Upper East Side.

Taki sposób życia, rodzicielstwa i bycia generował też lęk, bo oznaczał, że ani na chwilę nie można opuścić gardy i wyluzować w żadnej sprawie. Kiedy te mamy kręciły głowami na wieść, że mój syn „chodzi na muzykę” do zwykłego ośrodka Gymboree, automatycznie nasuwały mi się skojarzenia z matriarchalną szympanśią Flo badaną przez Jane Goodall – przedsiębiorczą głową stada, której przebiegłość, ambicja i umiejętne budowanie koalicji w imieniu własnych dzieci: Fifi, Figana i Fabena, katapultowały je na sam szczyt hierarchii w stadzie w Gombe w Tanzanii. To z kolei sprawiło, że panowanie tej rodziny stało się czymś bezprecedensowym – wydarzeniem międzypokoleniowym. Radzenie sobie tu, na szczycie, najwyraźniej wymagało więc takich cech, jakie miała Flo: samozaparcaria, sprytu, zapobiegliwości i strategicznego myślenia.

Kiedy indziej, gdy dzieliły się ze mną informacjami, wydawało się, że porastają ciemnymi piórami, mają ostre dzioby i bezlitosne lśniąco oczy ptaków – ptasich mam Davida Lacka, mówiąc konkretnie. Ten brytyjski ornitolog w prowadzonych po drugiej wojnie światowej badaniach zwyczajów lęgowych ptactwa z terenów wiejskich zburzył pielęgnowane przez nas poglądy na temat macierzyństwa i matczynej miłości. Zauważył, że jedne ptasie mamy są lepsze niż inne – chowają więcej piskląt, które potem same także mają więcej piskląt – i chciał poznać przyczynę tej różnicy. Zastanawiał się, dlaczego niektóre samiczki odnosiły sukces, a inne nie. Matki o ptasich mózdzkach, jak w końcu odkrył, to te, które za każdym razem szły na całość, składały tyle jaj, ile tylko mogły, i dbały o nie wszystkie. Gorliwie opiekowały się każdym pisklęciem w każdym sezonie rozrodczym, co doprowadzało je do wyniszczenia. Zmęczone, wyczerpane tymi staraniami, mając większe stadko do ochrony i wykarmienia, częściej były narażone na śmierć, a co za tym idzie, ich potomstwo także. „Nieegoistyczne” matki nawet w połowie nie uzyskiwały takich sukcesów jak bardziej „wyluzowane”, lepiej kalkulujące ptasie damy, które, zanim wpakowały się w znoszenie jaj i zapewnianie opieki, zastanawiały się nad opłacalnością tej decyzji. „Wygląda na to, że wiosna przyjdzie późno, będzie zimna i beznadziejna, pewnie nie znajdę wiele robaków. Powinnam wysiadywać jaja czy sobie odpuścić i znieść więcej w następnym sezonie, gdy warunki środowiskowe okażą się bardziej sprzyjające? A może wysiedzieć tylko parę jaj?” Lack odkrył też, że nawet po wykluciu się piskląt podejście to jest kontynuowane. Niezbyt mądra ptasia

mama będzie karmiła wszystkie młode. Mądrzejsza też może tak zrobić. Ale w zależności od warunków środowiska być może pozwoli, by największe pisklę wypchnęło z gniazda swoje rodzeństwo. Albo zadziobało je na śmierć. Albo sama opuści gniazdo, kombinując, że może następnym razem będzie lepiej, w przyszłym sezonie, obfitującym w samców i w pożywienie. Według Lacka by być dobrą matką, tego typu „ograniczenie opieki matczynej” jest równie ważne jak chęć opiekowania się i poświęcania. Mądre ptasie mamy szacowały zyski i straty, każdego dnia dokonując „macierzyńskich transakcji”. Nie trzeba było długo czekać, by ewolucjoniści i prymatolodzy, tacy jak Sarah Hrdy, doszli do wniosku, że naczelne – w tym ludzie – zachowują się dokładnie tak samo.

Rzecz jasna, dysponując metodami kontrolowania urodzeń, w środowisku nadmiaru i obfitości ekologicznej matki z Upper East Side różniły się od ptasich mam tym, że było je stać na każde dziecko i na to, by szcudrze obdarzać je jedzeniem, uwagą i ubraniami z Bonpoint. Nie oznaczało to jednak, że w tej grze brakuje strategii. Przykład: kwestia zajścia w ciążę. Podoba się wam pomysł opiekowania się noworodkiem w ciepłe, leniwe letnie dni, gdy tacie dziecka łatwiej wziąć urlop? Czy kusząco brzmi coroczne plenerowe przyjęcie urodzinowe i tort przy ogrodowym stoliku? Nie tutaj, siostró! Okazuje się, że letnie kinderbale to nic dobrego. Zwłaszcza jeśli się ma syna. Bo chłopcy, idąc tym tokiem rozumowania, są bardziej hałaśliwi, mniej posłuszni i wolniej rozwijają małą motorykę – muszą zatem być „starsi”, gdy pójdą do szkoły. Na południu kraju strategia ta zaczęła obowiązywać w sporcie, by chłopcy mogli być więksi. W Nowym Jorku chodziło o rozum i rozwój ogólny, a przede wszystkim o wybitne zdolności poznawcze. Szkoły wołały, żeby chłopcy zaczynający rok szkolny mieli urodziny nie później niż w sierpniu – tak mówiono. W tym układzie mój syn, urodzony w lipcu, ledwie się łapał. Ale tak naprawdę chodziło o maj, jak wyjaśniła mi szwagierka. A najbardziej podobają im się urodziny w październiku. Matki, które zaszły w ciążę w styczniu, lutym i marcu, dostają nagrodę imienia Flo, a także, jeśli wszystko inne poszło dobrze, pożądane miejsce w szkole. Reszta z nas miała dzieci, które szły przez życie i system prywatnych szkół na Manhattanie z piętnem czerwca, lipca i sierpnia. Znajoma nawet żartowała, że kliniki in vitro na Upper East Side powinny we wrześniu, październiku i listopadzie wywieszać ostrzeżenia: Pomiń ten cykl.

Docierało więc do mnie powoli, że nie dość, że byłam zapóźniona w kwestii zapisów do żłobka i przedszkola, to na dodatek w niewłaściwym czasie poczęłam dziecko niewłaściwej płci. „Och, jeszcze nie złożyłaś podań o przyjęcie, a w dodatku on jest źle urodzony?” – niezawodnie pytały mnie świeżo poznane matki proszone o radę. Jedna nawet powiedziała to na placu zabaw w obecności mojego syna, który od razu zaczął szlochać.

– Co jest złego w moich urodzinach, mamusiu?

– Nic, kotku – pocieszyłam go. Ale kłamałam. Sprowadziłam nas w miejsce, gdzie data urodzin naprawdę może być „zła”. No ale wróćmy do mojej rozmowy telefonicznej.

„Przykro mi” – odpowiedziała mi kobieta w słuchawce, choć wcale nie brzmiała, jakby się przejęła. „Nie ma już miejsc”. – Rozłączyła się bez słowa pożegnania, zanim zdążyłam jej podziękować. Najpewniej bardzo się spieszyła.

Powinniśmy ignorować ten nonsens, pomyślałam, rozłączając się tak spokojnie, jak tylko mogłam. To wszystko było stresujące i żenujące. Kogo interesowało, do jakiego przedszkola chodził mój syn i czy w ogóle do jakiegoś chodził? Dzieci na całym świecie radzą sobie doskonale bez przedszkola! Ja na przykład nie chodziłam – tłumaczyłam sobie – i nic mi nie jest! Jednak Upper East Side to nie Afryka Zachodnia ani dorzecze Amazonki czy Grand Rapids. Nie, nie mogłam się wypisać z tej gry, dopóki stawką była przyszłość mojego dziecka. Jaka by ze mnie była matka?

Tak oto zaczęła się więc moja dezorientująca droga od biernego widza do zaangażowanego uczestnika – z lękiem. Ogarnął mnie specyficzny kulturowo i jednocześnie kulturowo uniwersalny niepokój, że nie jestem wystarczająco dobrą mamą, że jestem mamą, która dla swoich dzieci nie robi tyle, ile trzeba.



Wydłużone dzieciństwo wyróżnia nas, ssaki naczelne. U innych ssaków rozwój od noworodka, przez dzieciństwo, do w pełni dojrzałego płciowo osobnika przebiega w zdumiewającym (dla nas) tempie, a my, ludzie i nasi najbliżsi krewni, nie spieszymy się. Prymatolożka i profesor nadzwyczajna Uniwersytetu Saint Louis Katherine C. MacKinnon zauważa, że „u większości gatunków ssaków okres niedojrzałości trwa około 25–35 procent długości życia”. Przywołuje przykład orangutanów, które klasyfikowane są jako „dzieci” do piątego roku życia, a potem jeszcze przez dziesięć do dwunastu lat jako „młodzież”. „Wydłużony okres dzieciństwa w stosunku do długości życia i rozmiaru ciała jest faktem dla wszystkich człękopształtnych i większości małp” – mówi.

To gradient, podkreśla. Jednak my rodzimy się najbardziej niesamodzielni spośród wszystkich naczelnych i pozostajemy tacy najdłużej. Począwszy od momentu, gdy przychodzimy na świat jako w zasadzie płody, niegotowe, neurologicznie niedokończone, nadzwyczaj wymagające opieki i zależne. W przeciwieństwie do pozostałych naczelnych po urodzeniu nie potrafimy nawet trzymać się matki, inni muszą nas nosić. A to zaledwie początek. „Gniazdowniki” czy bardzo zależne potomstwo i neotenia – utrzymywanie się cech młodzieńczych przez długi czas – wpływa na rodziców oraz na dzieci na wiele różnych sposobów, przez wiele lat. Jak zauważa antropolożka Meredith Small: „Ludzkie dzieciństwo sprawia, że ludzkie rodzicielstwo staje się dłuższe i bardziej skomplikowane”.

Jesteśmy fizycznie i psychologicznie spleceni z naszym potomstwem, a ono z nami, często nawet przez całe życie. Ubieramy, karmimy, płacimy za edukację naszych dzieci aż do dorosłości. Wówczas możemy sobie za koszty ich utrzymania opłacić polisę i przyczynić się emocjonalnie i finansowo do dobrostanu ich potomków. Czym możemy usprawiedliwić tę charakterystyczną dla naszego gatunku, kosztowną, niekończącą się inwestycję w dzieci?

Okazuje się, że przez wiele tysięcy lat nie mogliśmy. Nasi przodkowie najwyraźniej nie zwlekali, przeciągając okres od niemowlęctwa do niezależności, jak robimy to teraz, lecz przechodzili od razu do rzeczy i szybko osiąkali dojrzałość płciową. Następnie zaś, jak ujmuje to piszący o nauce Chip Walter: „około miliona lat temu, ewolucja dołożyła w życiorys naszego gatunku dodatkowe sześć lat pomiędzy niemowlęctwo a preadolescencję – dzieciństwo”. Po co? Przez dziesięciolecia eksperci sądzili, że zmiana ta nastąpiła, gdyż młode wczesne hominidy potrzebowały dodatkowego czasu, by nabyć takich umiejętności jak posługiwanie się językiem i narzędziami. Czas ten rozciągnął się zatem niczym guma, żebyśmy zdążyli pobrać niezbędne lekcje człowieczeństwa. Jako istoty wyjątkowe potrzebowaliśmy czegoś wyjątkowego – dzieciństwa.

W tej teorii nie brakowało jednak błędów. Selekcja naturalna nie wspierałaby wyłonienia się sielankowego etapu, tak uciążliwego dla rodziców i ryzykownego dla nich, a także dla zależnego od nich potomstwa i całych grup, tylko po to, żeby niektóre dzieci nauczyły się rozpalać ogień czy ładnie mówić. By więc odkryć prawdziwy powód pojawienia się dzieciństwa, naukowcy musieli odrzucić założenie, że zawsze wyglądało ono tak jak teraz. Może na początku wcale nie był to czas zabawy i nauki? Może dzieciństwo wyewoluowało nie dla dzieci, lecz dla dorosłych i to dla nich miało być korzystne? Według takich antropologów jak Barry Bogin, Kristen Hawkes czy Anne Zeller dzieciństwo w istocie wyłoniło się, by zdjąć ciężar reprodukcji z rozmnażających się rodziców, żeby mogli się dalej rozmnażać. Badacze ci sugerują, że dzieci były pomocnikami, opiekunami młodszego rodzeństwa, tym samym pozwalając na odpoczynek i posilenie się swym matkom, co w rezultacie pozwalało im lepiej zadbać o potomstwo i częściej rodzić. To dzieci, nie samce-partnerzy, odpowiadają za zjawisko „wspólnego wychowu”, pomagając nam prosperować, gdy inne *Homo* gryzą ziemię. W dzieciństwie chodziło więc o pracę, nie o zabawę.

Przyjrzyjmy się temu. W większości kultur dzieci przed siódmym rokiem życia wnoszą duży wkład w gospodarstwo domowe. Zajmują się żywym inwentarzem, sprzątają kuchnię, zbierają drewno na opał, gotują, piorą, sprzedają towary na targu. Przed wszystkim jednak opiekują się młodszym rodzeństwem, a czasem też kuzynostwem. W badaniu przeprowadzonym w 186 grupach społecznych na całym świecie przez antropologa z UCLA Thomasa Weisnera okazało się, że w większości to nie matki są głównymi opiekunami czy

towarzyszami młodszych dzieci. Są nimi starsze dzieci. Badacze zajmujący się dziećmi twierdzą, że są one zaprogramowane do pomocy, do spędzania czasu w zróżnicowanych wiekowo grupach innych dzieci oraz troszczenia się o siebie nawzajem, przyswajając i przekazując sobie umiejętności, których nabyły przez obserwowanie dorosłych i pracę u ich boku.

Taki porządek rzeczy wydaje się korzystny dla wszystkich, szczególnie w kontekście pracy niewymagającej dużych kompetencji, dla której dziecięcy wkład jest nader znaczący. W tradycyjnych wioskach Majów w Meksyku, na przykład, zazwyczaj to dzieci prowadzą dom i stragan na targu. Jak odkryła antropolożka Karen Kramer, są one bardzo pewne siebie – doskonale wiedzą, czego się od nich oczekuje, wykonują to świetnie i czują się ważne. A ich rodzice nie skarżą się na stres, depresję czy zmęczenie, jak wielu rodziców na uprzemysłowionym Zachodzie. W krajach zachodnioafrykańskich, gdzie dzieci zaczynają pomagać w domu już w wieku trzech lat, istnieje porzekadło: „Człowiek, który ma dzieci, nigdy nie będzie biedakiem”. Dzieci są tam majątkiem, są więc kochane i cenione. W tym sensie stają się źródłem dużej radości, bo wykonują ogromną pracę. Dzięki nim ich rodzice są bogaci.

Na uprzemysłowionym Zachodzie jednak postawiliśmy dzieciństwo na głowie. Nasze dzieci nigdy nic nie muszą. Opiekujemy się nimi i dbamy o nie. Zamiast przebywać w grupach zróżnicowanych pod względem umiejętności i poziomu sprawności językowej oraz wieku, wśród młodszego i starszego rodzeństwa lub kuzynów, od których mogą się nauczyć posługiwania językiem i dokładania swojej części do domowego budżetu, chodzą do szkoły – czasem nawet już w wieku dwóch lat. Tam są odseparowywane od reszty społeczeństwa i pozostają wśród rówieśników (to najbardziej efektywny sposób na tworzenie grup dziecięcych w czasach, gdy wskaźnik urodzin jest niski) oraz niespokrewnionych dorosłych zwanych nauczycielami, którzy mogą (ale nie muszą) mieć dobre intencje. Pozbawione starszych krewnych, dzięki którym mogą nabyć praktycznych umiejętności i którzy uczą mowy po prostu przez mówienie przy dziecku przez cały dzień, muszą się tego wszystkiego nauczyć w toku wzmożonej pracy w diadzie (Ta, ta, ta – mówimy w kółko, albo: ma, ma, ma). To tylko jeden przykład na to, że w naszym świecie dzieci stały się pracą, nasze życie jest podporządkowane ich potrzebom, a nie odwrotnie. Możecie tego doświadczyć za każdym razem, gdy ścielicie waszemu dziecku łóżko albo sprzątacie kuchnię po przyrządzeniu mu specjalnego, przeznaczonego dla dzieci posiłku. Albo gdy komuś za to płacicie.

Meredith Small kapitalnie zauważyła, że dzieci antropocenu, czyli obecnej epoki geologicznej, są „bezcenne i bezużyteczne”. Nadajemy im wartość na swój sposób, praktykując coś, co można by nazwać „kultem potomka”, tak jak inne kultury praktykują kult przodków. Jednocześnie narzekamy, że dzieci są strasznie

kosztowne i męczące – co jest prawdą, bo nie robią niemal nic, by zapracować na siebie. Takie odwrócenie ewolucyjnego porządku tworzy niespotykane dotąd ekologiczne, ekonomiczne i społeczne warunki dla matek. Jeśli idea, że dzieciństwo to beztroska idylla, jest wynalazkiem współczesnego Zachodu, wynikającym z dobrobytu, jest nim także przekonanie, że matki powinny być głównymi opiekunkami swoich dzieci, ich towarzyszkami, osobami w największej mierze (jeśli nie wyłącznie) odpowiedzialnymi nie tylko za ich przetrwanie w okresie niemowlęcym, lecz także za ich dobrostan w trakcie całego dzieciństwa, a nawet za sukces w późniejszym życiu. Zmieniając dzieciństwo, zmieniliśmy też macierzyństwo, które w niczym nie przypomina już tego, czym było dawniej, ani tego, czym jest gdzie indziej.

Nigdzie indziej ta zmiana postrzegania dzieciństwa i macierzyństwa nie jest tak ewidentna ani tak intensywna jak na Upper East Side, na Manhattanie. W niszy cechującej się ekstremalną obfitością ekologiczną, w skrajnie rywalizacyjnej kulturze potomstwo odnoszące sukcesy to oznaka statusu oraz zwierciadło. Promowanie dzieci, wytrwała praca w ich interesie to powołanie. Bycie mamą tutaj to morderczy zawód najwyższego ryzyka – stresujący i generujący lęki przede wszystkim dlatego, że porażka lub wygrana zależy tylko od nas, od nas zależy, czy nasze dziecko polegnie, czy odniesie sukces. A my wraz z nim. To obwód zamknięty – z którego, jak się dowiedziałam, nie da się uciec.

To wyjaśniało, dlaczego wszystkie matki z UES nosiły na szyi maleńkie medaliki z wygrawerowanymi inicjałami swoich dzieci. A na palcach komplety pierścionków, po jednym na każde dziecko. I dlaczego wpisują inne matki do książek adresowych pod imionami ich dzieci – tak więc u wielu moich nowych przyjaciółek w telefonach i w kontaktach mailowych widniałam nie jako „Wednesday Martin”, lecz „Eliot M/matka, Wednesday M”. Byłyśmy naszymi dziećmi, złane z nimi w jedną całość. Potwierdzało się to za każdym razem, gdy widziałam kobietę, która nosiła na sznurku na szyi szkolną plakietkę swojego dziecka: „XY, rodzic, szkoła taka i taka”. W mailach przedstawiałyśmy się albo podpisywały jako „mama Pierce’a” czy „mama Avery”. W rozmowie posługiwałyśmy się zwrotami: „pytałaś mamę Schuylera?”. Te kobiety stały się własnymi dziećmi i *vice versa*. Jak ujęła to moja przyjaciółka, pisarka Amy Fusselman: „Wydawało się, jakbym przed nimi nie miała życia ani tożsamości, jak gdyby to moje dzieci urodziły mnie”.

Tak czy inaczej, czy dzieci, których matki wcześniej złożyły podanie, były w czymś lepsze od mojego? Z niepokojem rozważałam nasze możliwości na froncie walki o przedszkole. Dni mijały, tymczasem my nadal nie złożyliśmy podania, a miejsc ubywało. Bardzo zależało mi, by tej gry nie przegrać. Czy inne dzieci były mądrzejsze albo słodsze od mojego? Czy ich rodzice byli miłsi niż ja i mój mąż? Wątpiłam w to. Złożę te podania, choćbym miała zdechnąć. Zadzwońię

do mojej szwagierki. I do mojej przewodniczki Ingi. I poproszę je o przysługę. Żadna z nich nie miała dzieci w wieku mojego syna. Ich przyjaciele także nie. Więc będą sobie mogły pozwolić na gest. Zaczynałam rozumieć, jak to się robi, albo całkowicie traciłam zdrowy rozsądek. Zależy, jak na to patrzeć.



Inga zgodziła się pomóc i miała mnóstwo znajomości. Znała dosłownie dziesiątki ludzi, których dzieci chodziły do elitarnych przedszkoli, a kontakty te zawdzięczała temu, że przed laty sprzedała im mieszkanie. Moja szwagierka też chciała pomóc. Był jednak pewien haczyk: Dylemat Pierwszego Wyboru. Na Manhattanie, po przejściu całego procesu aplikacyjnego, skalkulowaniu szans i skalibrowaniu własnych marzeń, wysyła się list albo idzie się na rozmowę do szkoły „pierwszego wyboru”. W takim liście lub podczas rozmowy używa się języka monogamii i zaangażowania, obiecując w zasadzie, że jeśli zaakceptują twoje dziecko, na pewno je tu pošlesz. Jeśli twoje dziecko dostanie się do szkoły dzięki rekomendacji znajomego, a potem jednak wybierze inną placówkę, postawimy znajomego w głupiej sytuacji. Most do szkoły zostaje nieodwracalnie spalony, zresztą wraz ze znajomością. Kiedy czwórka dzieci mojej szwagierki poszła do przedszkola, było to zwykłe przytulne przedszkole w okolicy. Teraz jednak, z powodu napływu nowego kapitału do miasta, a także świetnych wyników dyrektorki w umieszczaniu swoich podopiecznych w pożądanym szkołach, było to najbardziej prestiżowe przedszkole na Manhattanie. Niedawno nawet wybuchł pewien skandal, gdy jakiś typ, któremu się wydawało, że jest panem świata, usiłował załatwić miejsce dziecku swojego klienta za pomocą darowizny w wysokości miliona dolarów. Dziecko nie zostało przyjęte.

Zanim nam się udało zapisać gdzieś naszego syna, musieliśmy przebrnąć przez mnóstwo formularzy, rozmów kwalifikacyjnych dla rodziców, a także „umawianych zabaw” w danej placówce. Z formularzami poszło łatwo, mimo naszej opieszałości, w momencie gdy Inga i moja szwagierka podzwoniły po znajomych i poprosiły, by przynieśli je ze swoich szkół. Całymi dniami truchtałam więc potem wzdłuż i wszerz Upper East Side, odbierając od nich brązowe koperty, a potem siadłam do pisania esejów o tym, co sprawia, że moje dziecko jest wyjątkowe, jakie są jego mocne i słabe strony, jak przyswaja wiedzę. Bardzo mnie kusiło, żeby napisać: „Tak naprawdę to nie wiem, bo on ma dopiero dwa lata”. Zamiast tego waliłam głową w ścianę, póki nie wymyśliłam czegoś, co – miałam nadzieję – było dobrą odpowiedzią. Następne były próbne „umawiane zabawy”, które złośliwie nazywałam „przesłuchaniami”, bo było to uczciwsze określenie. Zwykle ustalane były w porze drzemki, co wydaje się niezrozumiałe, póki się nie pojmie, że szkoły w ten sposób próbują wyeliminować tyle „nierodzeństwa”, ile się da. Przemęczony maluch dostaje histerii podczas zabawy w kuchnię? Walnie kogoś

przy stoliku do prac ręcznych? Nie może się skupić w czasie czytania książeczki? Powodzenia na kolejnym przesłuchaniu w innej placówce. Nigdy nie zapomnę „zabawy”, podczas której dano dzieciom jedną wspaniałą, dużą zabawkę – zabawkową kuchenkę w żywych kolorach, z pokrętłami, guzikami i światełkami – oraz kilka mniejszych. To było jak zabawa w gorące krzesła, tyle że ustawiona przez przesłuchujących, którzy chcieli sprawdzić, w jaki sposób gromadka maluchów zareaguje na stres w konfrontacji z czymś, czemu na obecnym etapie rozwoju te dzieciaki nie są w stanie sprostać: z bawieniem się po kolei, odraczaniem gratyfikacji i radzeniem sobie z własną frustracją w niecodziennych okolicznościach. I to bez żadnej nagrody.

Mój syn czekał i czekał, aż widać było, że posmutniał. Inne dzieci odpychały się nawzajem i jego też. Próbną zabawą zamieniała się w chaos. Byłam zde gustowana i zła, więc kiedy mój synek wybuchnął płaczem, wstałam z podłogi, żeby go pocieszyć (nigdy nie mówi się rodzicowi, gdzie ma usiąść ani co robić w trakcie tych idiotycznych „zabaw”, bo obserwacja rodzica jest częścią ogólnej „oceny”). Miałam wówczas nadzieję – nadal ją mam – że dyrektorka tamtej placówki trafi do piekła, do specjalnego zakątka dla ludzi, którzy bez powodu narażają na stres dwuletnie dzieci wraz z ich ufnymi, spiętymi i bezbronnymi matkami.

Na każdej z tych nieszczęsnych sesji otaczały mnie matki pięknie ubrane, wystylizowane, niezwykle spięte, gotowe się rozplakać w chwili, gdy rozplacze się ich dziecko. Wszystkie podlegałyśmy testowi. I zdawałyśmy sobie z tego sprawę. Czasem można było odnieść wrażenie, że niektórzy czerpali przyjemność z tego, jak się wiłyśmy. Cieszyło ich, że względnie bogate, uprzywilejowane kobiety czuły się małe, oni zaś dzięki swemu kapitałowi kulturowemu mają władzę – mogą wybierać rodziny, przyjmować bądź odrzucać małe dzieci. Widok matki płaczącej na ulicy po tym, jak zapakowała swoje dziecko i wyszła z budynku, nie był niczym niezwykłym. Sama się rozplakałam, gdy mój synek „wtopił” na jednym przesłuchaniu i zeżarł garść piachu z piaskowego stolika, a potem wrzeszczał „ODDAWAJ!”, gdy jakiś dzieciak zabrał mu książeczkę. W innym zaś żłobku, takim przy kościele, wszedł i wypalił: „Do diabła!” – wiedziałam, poznałam to po spojrzeniu, że egzaminatorzy nie byli zachwyceni. Ten okrutny rytuał powtarzany był wciąż od nowa przez wiele tygodni. Uważałam, że to zinstytucjonalizowany sadyzm, i serdecznie tego nienawidziłam.

Ale cóż ja i inne matki mogłyśmy zrobić? Żłobki miały władzę. W wielu z tych miejsc sądzono – i dawano odczuć – że samo to, że mają nas u swych stóp, błagające o przyjęcie naszych dzieci, świadczy o ich wspaniałości. Tak naprawdę jednak żaden ze żłobków nie był aż tak znów wybitny. Chodziło raczej o coś innego. Po prostu nie było wystarczającej liczby placówek. A biorąc pod uwagę, że tam, gdzie chodzili siostrzeńcy i siostrzenice mojego męża, chciały się zapisać całe

hordy, wśród których wiele osób miało swoje koneksje i sznurki do pociągania, musieliśmy próbować dosłownie wszędzie. Chodziłam więc na przesłuchania i ciągnęłam na nie swojego synka. Pewnego dnia, gdy trzymając się za rękę, mieliśmy znów wejść do kolejnej „sali zabaw” pełnej dzieci, których nie znał, spojrzał na mnie i powiedział: „Mamusi, nie chcę”. A mnie się chciało wyć.

Postanowiliśmy, że najlepiej będzie, jeśli na przesłuchanie w modnej szkole siostrzeńców męża zabierze go właśnie on – spokojny i pozbierany facet. Powiedział mi, że ta konkretna dyrektorka była prawdopodobnie najbardziej ustosunkowaną osobą w mieście, a więc i na całym świecie. Trochę się z tego pośmiałyśmy, ale mąż nie do końca żartował. Po przesłuchaniu, czekając na telefon od niego, stukiałam paznokciami o blat biurka. Gdy usłyszałam dzwonek, niemal spadłam z krzesła.

– Zaraz rzucę się z okna – wyszeptał mój mąż. Serce mi zamarło i spadło w okolice nóg.

– Dlaczego? – zapytałam, starając się zamaskować histerię.

Okazało się, że dyrektorka była obecna podczas przesłuchania. Gdy rozmawiała, bawiła się ciastoliną i rysowała z moim synem oraz innymi dziećmi, ten bardzo pragnął jej uwagi. Kilka razy ją zawołał, ale gdy nie odpowiadała (w sali był hałas), szturchnął ją w ramię (lekko) i powiedział: „Ej, mówię do ciebie!”.

Nie mam bladego pojęcia, dlaczego syn został przyjęty. Nigdy o to nie pytałam. Uznaliśmy, że to wpływ szwagierki i tego, że szkoła, choć tak pożądana, była również głęboko plemienna. Jeśli było się spokrewnionym z kimś, kto już tam chodził, szczególnie jeśli był to ktoś, kto posłał tam czwórkę dzieci i ofiarował szkole sporą darowiznę, a na dodatek był miły w obejściu, miało się pewną przewagę. W ich oczach było się kimś sprawdzonym i godnym zaufania. Najwyraźniej nawet mimo tego, że twój syn szturcha dyrektorkę w ramię. Mieliśmy więc dziecko w „najlepszej” placówce w mieście. Uczylałam się, jak korzystać z przynależności plemiennej. Miałam się jednak również nauczyć, że istnieją wady takiego układu.



Byliśmy wniebowzięci, gdy nasz syn dostał się do „dobrego” żłobka. To było jak strzelenie gola z karnego, wielkie osiągnięcie, i chociaż wiedziałam, że lepiej o tym zbyt dużo nie mówić – bałam się własnego triumfalizmu. Rozkoszowałam się zazdrosnymi spojrzeniami innych matek, gdy odpowiadałam na pytanie, do którego żłobka posyłam synka. Tak jak własna kamienica, wielki brylant albo dom nad oceanem w Hamptons, miejsce w tym konkretnym żłobku, odzwierciedlające najwyraźniej czyjeś koneksje, wpływy i zwiększające szanse na dostanie się dziecka do topowej podstawówki, było rzeczą wysoce pożądaną na Manhattanie. Najważniejsze jednak, że dzięki temu czułam się „dobrą” matką. Jak

Flo.

Po raz kolejny niestety nasze wrażenie, że pokonaliśmy jakąś przeszkodę i dotarliśmy do mety, okazało się złudne. Ponieważ, może poza kurczącym się wodopojem w Serengeti w porze suchej, chyba nie ma miejsc tak pełnych desperacji, agresji, tak niebezpiecznych i niegościnnych jak korytarze ekskluzywnej prywatnej manhattańskiej szkoły o poranku, podczas przywożenia dzieci, i po południu, podczas ich odbierania. Te korytarze sprawiają, że sale konferencyjne w Goldmanie Sachsie (gdzie, jak zauważył znajomy bankowiec: „Nie zawracają sobie głowy, żeby wbić ci nóż w plecy, robią to od frontu i idą dalej, depcząc twoje zwłoki”) wydają się miłymi i przyjaznymi miejscami, w sam raz na spacer z cicią. Wylądowałam w najbardziej luksusowej placówce w najbardziej snobistycznej dzielnicy w najbogatszym mieście Ameryki, gdzie wszyscy żyją życiem swoich dzieci. Więc być może powinnam była to przewidzieć. Ale nie przewidziałam.

Mój syn zaczął chodzić do żłobka u szczytu boomu gospodarczego. W żyłach płynęła nam adrenalina, a w powietrzu czuć było nadzieję. Ludzie robili interesy. Kupowali drugie, trzecie albo czwarte domy. Wszyscy na Manhattanie wydawali się maniakalnie szczęśliwi. A ja każdego dnia po odwiezieniu syna do żłobka płakałam. Bynajmniej nie dlatego, że wzruszałam się, gdy wchodził do swojej sali. Nie dlatego, że puszczenie go tam było metaforą jego dorastania. Nie dlatego, że bycie matką jest czasem dojmujące i bolesne.

Nie. Płakałam, bo inne matki były dla mnie podłe. Mówiłam na nie „wredoty”, gdy opowiadałam o nich mężowi i przyjacielom z południa miasta.

Zbierały się na korytarzach, formując grupki i kliki, pochylały głowy i pomrukiwały, śmiały się i szeptały. Wszystkie sprawiały wrażenie, jakby znały się „z dawnych czasów”. Ich stroje informowały, że należą do jednego plemienia – identyczne płaszcze przeciwdeszczowe od Burberry w mokre dni, szykowne puchówki podczas chłódów. Baleriny Lanvin albo szpilki, które krzyczały „mam szofera”. Mogły unieść głowy, by odpowiedzieć na moje „cześć”, gdy je mijałam – ale to się prawie nigdy nie zdarzało.

Codziennie przyjeżdżałam do szkoły wcześniej, by uniknąć tej sytuacji – wrażenia, jakbym dryfowała w kosmosie, gdy omiały mnie niewidzącym wzrokiem. Skrępowana stałam obok ich grupki i gdy tylko otwierały się drzwi do sali mojego synka, wpychałam go tam, szybko się z nim żegnałam i uciekałam w popłochu. Po wyjściu, już na chodniku, czułam pustkę, a w gorsze dni także ucisk w żołądku. Bo bycie niewidzialną powodowało u mnie rozstrój. Podobnie jak to, że za nic nie byłam w stanie sprawić, by którakolwiek z tych kobiet zgodziła się na wspólną zabawę naszych dzieci.

Zasada była prosta: nasze dzieci proszą, żeby umówić je po lekcjach na spotkanie z innym dzieckiem ze szkoły, i my to robimy. Piszemy maila, esemesa

albo dzwoniły. Znałam tę zasadę od innych mam z innych szkół. Jednak moje esemesy, maile i telefony do matek kolegów z grupy mojego synka pozostawały bez odpowiedzi. Co gorsza, gdy usiłowałam dopytać o to osobiście, często mnie zbywały i zmieniały temat. Czasami, gdy pytałam, posyłały przyjaciółkom alarmujące spojrzenia, jakby chciały powiedzieć: „O Boże, czy ona naprawdę to robi? Czy można się być bardziej żenującą?”. Zdałam sobie sprawę, po tym jak wciąż unikały wzrokiem mnie i mojego syna, że w kwestii wspólnej zabawy jesteśmy pariasami. Byłam zrozpaczona jak nigdy wcześniej.

To, co działo się na placu zabaw, przywodziło na myśl sytuację nowych szympanc w stadzie. Odrzucenie to nic przyjemnego, nie takiego losu chciałam dla mojego dziecka. Owszem, te, które mnie ignorowały, były podłe i wstrętne. Owszem, chciałam kilka z nich zdzielić między oczy. Ale w pewnym sensie ich potrzebowałam, potrzebowałam się wpasować, a moje dziecko potrzebowało zabaw z rówieśnikami, potrzebowało przyjaciół. Ciąganie go na południe nie miało sensu, a i tak nasi znajomi stamtąd nie mieli dzieci w jego wieku, niektórzy nawet byli bezdzietni. Spontaniczne spotkania z dziećmi w parku lub na placu zabaw może i byłyby fajną opcją, ale w mieście, w którym dzieciaki mają szczerze wypełniony grafik od rana do nocy, wydawały się skrajnie nieprawdopodobne. Poza tym matki na placu zabaw za każdym razem, gdy usiłowałam nawiązać przyjazny kontakt, uważały mnie za natrętną, a w najlepszym razie za osobę nieumiejącą się zachować. Było jasne, że na Upper East Side mamy i ich maluchy wyznawały pewną hierarchię, kolejność ważności, a ich karneciki były wypełnione, zanim jeszcze ich maleństwa wyrosły z pieluch. Ja za to spóźniłam się na bal i czułam się z tym rozpaczliwie. Moje biedne dziecko. I biedna ja. Nie chciałam, żeby zawożenie i odbieranie ze żłobka tak wyglądało. Chciałam lubić mamy innych dzieci i być przez nie lubiana.

W tamtym czasie fizycznie nie czułam się dobrze: przez wiele dni towarzyszyło mi dziwne, ogłupiające, nierzeczywiste poczucie oderwania od własnego ciała i ludzi wokół mnie. Opisując je pewnego razu przy obiedzie mężowi, zdałam sobie sprawę, że to stan kliniczny, o którym wiele czytałam na studiach. Doświadczałam szoku kulturowego – zespołu wyobcowania i braku orientacji, który prześladowa antropologów, studentów wymiany zagranicznej i biedną młodzież, która poszła do elitarnych college'ów. Spędzałam już wcześniej wiele czasu w obcych mi kulturach i zawsze jakoś dawałam sobie radę. Przez krótki czas pracowałam dla ONZ – pisałam przemówienia i chodziłam na przyjęcia z dyplomatami z całego świata, wiedziałam więc, że moje umiejętności społeczne nie są całkiem kiepskie. Byłam względnie dobrze ubrana i przyjacielska. Czego jeszcze, do cholery, chciały ode mnie te kobiety? Usiłując pozbyć się wrażenia, że jestem oceniana i że za bardzo mi zależy, przysięgłam sobie, że dam sobie spokój i po prostu będę się temu przyglądać. Byłam walczącą o uznanie, niepewną siebie

matką, ale byłam również badaczką społeczną, więc zamierzałam się zachowywać, jak na nią przystało.

Obserwacja była bardzo prosta, bo i tak nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Najpierw zauważyłam, że przed szkołą czekają SUV-y escalade z szoferami, a mamy są zabójczo wystrojone, choć żadna z nich raczej nie ma pracy. Zmierzały do jakiegoś miejsca, o którym nie miałam pojęcia, a które dla nich, rzecz jasna, wiele znaczyło. Często te najbardziej wystrojone – drobiąc w tych swoich butach na platformie albo w niebotycznych szpilkach – wołały: „Do zobaczenia na miejscu!”, po tym, jak już pożegnały dzieci pod drzwiami do sali. „Na miejscu” musi być okropnie, myślałam wtedy. W windzie za to przeważnie panowało milczenie. Pewnego ranka, gdy miałam spotkanie służbowe, a więc porzuciłam jeansy, koszulkę termoaktywną i włosy spięte w kucyk na korzyść czegoś modniejszego, gładko zaczesanej fryzury i odrobiny makijażu, dwie perfekcyjnie zadbane kobiety patrzyły za mną, jak wychodziłam z windy. Jedna syknęła: „Kto to był?” – i aż zjeżyły mi się włosy na głowie. Cała rzeczywistość szkolna została wywrócona do góry nogami – wszystko koncentrowało się wokół matek. Matek, które cmokają się na odległość przy powitaniach, trzymają się pod łokcie, gawędząc ze sobą, a czasem wbijają sobie noże w plecy. Dzieciaki w tym przeorganizowanym świecie pełniły funkcję modnego dodatku, zdobiącego imponująco wypracowane ramiona swoich mam niczym ozdoby albo akcesoria. Macierzyństwo, pojęłam szybko, stało się kolejnym outfitem. Życzliwość i pogaduszki były czymś, czym obdarzano jedynie niektóre osoby.

Zauważyłam też, że przeważnie, jeśli jakaś mama raczyła się do mnie odezwać, rzuciła zdawkowe „cześć”, następnie teatralnie odwracała się do mnie plecami i zaczynała rozmowę z kimś innym. Szefowa komitetu rodzicielskiego, którą nazywałam Królową Królowych Pszczół, jako pierwsza zachowała się wobec mnie w ten sposób. Mylnie sądząc w pierwszych dniach szkoły, że znajduję się w świecie, w którym zasady przypominają z grubsza te panujące w pracy czy na przyjęciu koktajlowym, podeszłam do niej – a była przecież łączniczką między rodzicami a szkołą, tak więc w pewnym sensie ją reprezentowała – by się przedstawić. Spojrzała na mnie, jakbym witając się i wyciągając do niej dłoń, popełniła *faux pas* porównywalne do wypicia wody z miseczki do mycia rąk na eleganckiej kolacji, a potem rozebrała się do naga. Wydawało się, że mówi: „Ależ jesteś nieokrzesana i arogancka”, unosząc brwi. A potem po prostu obróciła się na pięcie, nie mówiąc ani słowa. Byłam w szoku. Szybko zdałam sobie sprawę, że to tylko ekstremalna wersja tego, jak zachowywała się niemal każda kobieta w szkole mojego syna. Rezerwowały swoje powitania dla kilku wybranych, pozostałym nie zostawiając nic.

Z taką odmową przywitania się i odwracaniem się plecami najczęściej miałam do czynienia, jeśli ta, z którą chciałam porozmawiać, była znana na

salonach, była kimś, kogo widywało się na łamach kolorowych czasopism, albo ewentualnie żoną bogacza o nazwisku kojarzonym z gazet czy z czasów pracy w reklamie. Tak, zrozumiałam to dość szybko – te kobiety nie rozmawiały ze sobą ot tak, one raczej walczyły o pozycję, w której rozmawia się z jedną, dwiema, góra trzema matkami. Miały precyzyjny radar – było to już dla mnie oczywiste – na coś, co nazwałam kobietami wysokiej rangi: te, które sprawiają wrażenie bogatszych, ładniejszych, odnoszących większe sukcesy, oraz – co najważniejsze – żony mężów odnoszących większe sukcesy niż inni, takich, którzy bardziej się liczą.

Często dzwoniłam do mojej bliskiej przyjaciółki Lily, najspokojniejszej matki i najwspanialszej gospodyni, jaką znałam, której córka była w wieku mojego synka, by opowiedzieć jej o najnowszych popisach, i za każdym razem odbierało jej mowę. „To nie może być prawda! Dlaczego wydaje im się, że mogą być takie wredne?!” – krzyczała do słuchawki. Samo wyobrażenie sobie, jak to mówi na południu miasta, w swoim studiu, gdzie pracowała jako projektantka, przypominało mi, że istnieje inny świat niż ten, do którego usiłowałam się dostać – świat, który rozumiałam. Był to świat, w którym kobiety pracowały, a oprócz par hetero istniały też pary gejowskie; gdzie nie starczało pieniędzy, żeby kupić sobie wszystko, czego się chciało, i nie każdy miał samochód czy szofera. „Nienawidzę ich” – powiedziała moja przyjaciółka Candace przy kawie. A potem przypomniała, co pisarka Wendy Wasserstein, której dzieci chodziły do tej samej szkoły co moje, powiedziała o swoich wrażeniach: „Tak wiele chudych kobiet, tak wiele gigantycznych torebek”. I obie się z tego śmiałyśmy. Pomagało mi to, ale nazajutrz znów przecież musiałam tam pójść.

Mój mąż był zdania, że wszystko to jakieś absurdalne babskie rozgrywki i że przesadzam.

– Daj spokój, nie może być aż tak źle – skomentował, gdy opowiedziałam mu o szczegółach kolejnego porannego dramatu.

Poprosiłam go więc, żeby następnego dnia sam odwiózł dziecko.

– Co, do cholery, jest z tymi babami nie tak? – zapytał po pierwszym niepowodzeniu. – Nawet nie odpowiedziały na moje „dzień dobry”!

– A nie mówiłam? – odparłam z triumfującym uśmiechem.

Zdumiewało nas, że według tych kobiet nawet tak podstawowe i powszechnie uznawane zasady umowy społecznej – witanie się – były dla plebsu. One zaś były ponad to.

Niedługo po przygodzie mojego męża nasz synek wrócił ze szkoły i entuzjastycznie obwieścił, że został zaproszony na „umówioną zabawę” przez swoją koleżankę Tessę – w prywatnym samolocie należącym do jej rodziny. Wydawało mi się to dziwnym i wymyślnym pomysłem, póki nasza niania Sarah nie powiedziała, że wszyscy w szkole mają prywatne samoloty. Kiedy dzieci rozmawiały o zaletach konkretnych modeli, a nasz syn powiedział, że my nie

mamy własnego, Tessie zrobiło się go żal, więc zaprosiła go, by pobawił się w jej samolocie. Zrobiło mi się słabo, ale przecież zawsze był to jakiś początek. Syn radził sobie lepiej ode mnie.



Gdy siedziałam na ławce, obserwując poranne przywożenie dzieci do szkoły i marząc o prawdziwym spotkaniu towarzyskim dla mojego syna i dla mnie, myślałam nie tylko o bezbronnych szympanscach i ich potomstwie. Przypomniało mi się także, czego dowiedziałam się przed laty na seminarium o zachowaniach społecznych ssaków naczelnych o *Papio anubis*, pawianie oliwkowym. Zwierzęta te żyją w stadach liczących nawet sto pięćdziesiąt osobników, z których samce odchodzą po osiągnięciu dojrzałości płciowej, tak więc stado składa się zwykle ze spokrewnionych ze sobą samic. Tworzą one ścisłą sieć opartą na współpracy i zasadniczo wszystkim rządzą. Stado jest ustrukturyzowane hierarchicznie w sztywny sposób, przy czym samice znajdujące się na szczycie mają dostęp do wszystkich zasobów – lepszego pożywienia, bezpieczniejszych miejsc do spania, lepszych samców jako „przyjaciół” i protektorów (samce muszą emigrować z innych stad i żeby zyskać akceptację, przechodzą próbę), wiele możliwości do kopulacji i większe szanse na sukces reprodukcyjny – co oznacza, że więcej ich potomstwa dotrwa do dorosłości i zacznie się rozmnażać.

Samice stojące niżej w hierarchii oczywiście też chcą dla siebie odrobiny tych luksusów. Jedną ze strategii, jaką mogą powziąć, by się „podciągnąć”, jest podejmowanie prób (często wielokrotnych) iskania samic alfa i dbania o ich młode. Samice wyższe rangą mogą wielokrotnie odtrącać te starania, odpychając lub uderzając potencjalne babysitterki, ale w którymś momencie mogą spełnić ich marzenia – pozwolić na zostanie „allomatką”, czyli dodatkową opiekunką potomstwa samicy alfa, na jakiś czas. Dla samicy o niższej pozycji to jak przepustka; dzięki niej w końcu jej szefowa jest w lepszej kondycji, ma więcej możliwości szukania pożywienia dla siebie oraz dla swoich dzieci i może to robić bez przeszkód. Prestiż wynikający z jej afiliacji z matką poprzez dziecko, którym się opiekuje, może zaś z czasem zapewnić jej więcej władzy i bezpieczeństwa w stadzie. Wpływowe samice pawianów oliwkowych mają więc wpływ na to, żeby te mniej wpływowe zyskały większy wpływ.

Daleko od sawanny, na korytarzach szkoły na Upper East Side w czasie ekonomicznego boomu byliśmy z mężem ssakami naczelnymi o niskiej pozycji w stadzie i rzucało się to w oczy. Najwyraźniej dzieci były przedłużeniem rodziców i jako takie wykorzystywano je do podnoszenia statusu społecznego rodziców. „Może jeśli będziemy mili dla Ariego, którego tata jest szefem funduszu hedgingowego, zaprzyjaźnimy się z nim, a wtedy mama Ariego szepnie tacie Ariego o start-upie mojego męża i...” W innych przypadkach wydawało się, że

matki o niższym statusie chciały się po prostu pławić w blasku niewiarygodnego bogactwa innych i grzać w nim swoje dzieci. My byliśmy nowymi graczami, a mój mąż nie był w stanie tak naprawdę pomóc nikomu w karierze, stanowiliśmy więc wielką niewiadomą i nie spieszo się, by nas ciepło przyjąć. Na Upper East Side istnieje przekonanie, że to, z kim bawi się twoje dziecko, może cię wywindować lub ściągnąć na dół hierarchii. Jesteś tak wspaniała, jak wspaniałe są dzieci, z którymi organizujesz spotkania swojej latorośli. Jeśli więc nie będziesz się liczył, nie będzie się liczyć twój cherubinek. Nauczyłam się, że ten niepewny i wywołujący lęk porządek rzeczy zmienia matki we wpływową dozorczynię... i pełne nadziei petentki.

Tak samo jak u innych poza ludźmi ssaków naczelnych, które dołączają do stada, utknęłam na samym dole w hierarchii dominacji, reagowano na mnie podejrzliwością, na przemian ignorowano lub dręczono. Czasami żałowałam, że nie jestem wyjcem – u nich bowiem nowe młode samice wskakują od razu na szczyt hierarchii, strącając z niego dotychczasowe rządzące. Niestety w tym wypadku byłam pawianem. W ich stadzie nie ma nikogo o niższym statusie niż nowo przybyła samica, a jeśli nie uda się jej stworzyć koalicji z którąś z samic z wyższego poziomu, konsekwencje dla niej i jej potomstwa mogą się okazać zgubne. To jedno wiedziałam: jeśli mój syn i ja zostaniemy wyalienowani, nie uda nam się już zmienić naszej sytuacji, dopóki się nie wyprowadzimy. Nie chciałam, żeby mój syn był tym dzieckiem, które nie ma w szkole żadnych znajomych. Nie chciałam, żeby go – albo mnie – odrzucano. Knułam więc i uśmiechałam się na szkolnym korytarzu, chociaż mnie to dobijało. I nawet pomimo wielu godzin obserwacji nie wiedziałam, co mam robić.

Rozwiązanie nadeszło niespodziewanie, ale gdybym lepiej pamiętała to, czego uczyłam się na studiach, mogłabym mieć nadzieję lub nawet sama spróbować zaaranżować sytuację tak, by mój los się odmienił. Odbyło się to – jak w przypadku wielu innych samic ssaków naczelnych w podobnym do mojego, żalonym położeniu – dzięki uwadze samca alfa. Podczas „klasowego przyjęcia” wyprawianego przez „mamę z naszej klasy” wdałam się w lekko flirciarską rozmowę z ojcem jednego chłopca z klasy mojego synka. Był miły, inteligentny i trochę zawadiacki – nietypowo dla sztywnych finansistów z Upper East Side, do których wciąż nie mogłam się przyzwyczaić. Łatwo się z nim rozmawiało, a jako że mój mąż został w domu z synkiem, a inne mamy zajęte były sobą w podgrupach, do których nie miałam szans dołączyć, zaczęliśmy pogawędkę. Później dowiedziałam się, że to potomek któregoś z manhattańskich imperiów bankowych, syn wpływowej i bogatej matki rodu, takiej jak Flo, tak więc zajmujący topową pozycję w naszej szkole i klasie. Nazajutrz rano zaproponował w obecności grupki mam, że nasi chłopcy powinni się razem pobawić. „Może w ten piątek?” – zapytał, a ja się zgodziłam.

– Jak to zrobiłaś? – wyszeptała ze zdziwieniem jedna z bardziej przyjaznych mam, gdy odszedł. – Od wielu tygodni usiłuję go do tego skłonić, ale on nie reaguje! Mimo że moi rodzice znali jego rodziców, gdy jeszcze mieszkali w Westchester.

Wzruszyłam ramionami i zasugerowałam, żeby następnym razem po prostu wypić z nim kieliszek wina.

Od tamtego piątku kwestia umawiania się na wspólną zabawę całkowicie się zmieniła. Mój syn bawił się z synem samca alfa regularnie, co tydzień, co utorowało drogę do spotkań z innymi dziećmi, przyjaciółmi syna alfa, których rodzice – bogaci i wpływowi – przyjaźnili się z samcem alfa. Kiedy zaś mamy zobaczyły mnie na korytarzu w trakcie swobodnej rozmowy z Tatą Alfa, najwyraźniej to odnotowały: mowa ciała oraz nieoczekiwane przyjazne uśmiechy oznaczały, że wiedzą, iż zostałam pozytywnie zweryfikowana i zatwierdzona. Mogły od teraz być spokojne, że odezwanie się do mnie nie obniży ich notowań ani nie będzie całkowitą stratą czasu. A im częściej odpowiadały na moje „dzień dobry” na korytarzu, tym trudniej było im ignorować moje maile z prośbą o wspólną zabawę naszych dzieci.

Kiedy już ochłonęłam, hierarchia obowiązująca w umawianiu zabaw uderzyła mnie jako dziwaczna i bardzo przykra. Bo pod spodem kryło się założenie, że niektórzy rodzice i niektóre dzieci były warte więcej niż inne. Straszne, ale prawdziwe. Jeśli jednak mój syn miał kolegów do zabawy i był zadowolony, ja byłam zadowolona. Czułam, że mam naprawdę wielki dług wobec Taty Alfa – nawet jeśli Candace i Lily uważały, że nie powinnam już na niego liczyć w żadnej sprawie. „Czy jego żoną nie jest jedna z tych okropnych bab? Czy sam nie mógłby być trochę sympatyczniejszy?” – pytały. Nie byłam pewna. Wiedziałam jedynie, że w tym stojącym na głowie świecie, w którym rodzice żyją zastępczo życiem swoich pociech, poczułam się znów jak nastolatka, która zdobyła względy rozgrywającego w szkolnej drużynie futbolowej. Jego niezobowiązująca życzliwość całkowicie odmieniła społeczne życie mojego dziecka i moją pozycję – które, jak sobie uświadomiłam, teraz były nierozdzielnie związane. Podobnie jak Candace i Lily nie wierzyłam, że taki stan potrwa wiecznie, i miałam rację. Tata Alfa poszedł dalej, jak to samce alfa. Wtedy jednak mój syn miał już to, czego potrzebował i czego ja również potrzebowałam. Może to wszystko nie było takie znów trudne?

Rozdział trzeci

Wtopić się w tłum – mamusia chce torby Birkin

Kiedy uczyłam się antropologii, fascynowały mnie opowieści badaczy, którzy „stawali się jak tubylcy” – stapiając się z kulturą, którą mieli badać, zmieniając się w jednego z tych, których mieli poznawać i analizować. U Bronisława Malinowskiego, o którym pisałam doktorat, był to proces stopniowy. Miał coraz bardziej dość swoich informatorów na Wyspach Trobrianda, którzy nie okazali się tak pomocni, jak by chciał, więc zaczął uprawiać seks z tamtejszymi kobietami. Innym razem znów znajomy profesor, znawca kultury Bliskiego Wschodu, powiedział, że „stał się tubylcem” podczas pewnej kolacji, kiedy witał gości, swoich absolwentów, ubrany w tradycyjny strój jemeński (włączając szable) – gdyż prowadził tam badania terenowe – i przez cały wieczór zachowywał się jak rdzenny członek plemienia z Jemenu. W *Refleksjach na temat badań terenowych w Maroku* Paul Rabinow stworzył całą opowieść o tym, jak wsiąkł w tamtejsze realia.

Obecnie wnikanie w badaną kulturę widziane jest przez antropologów jako równie nieuniknione, co pouczające, jako dynamiczny proces, który zachodzi, gdy badacze lepiej poznają obiekty swoich badań i zaczynają rozumieć, doceniać i internalizować pewne ich przekonania. Początkowo badacz może poczuć wyobcowanie, przytłoczenie obcością. Krok po kroku jednak odzyskuje równowagę i wreszcie, nie zauważając nawet kiedy, zaczyna „myśleć jak Samończyk” albo „jak Pigmej Aka”. Albo jak mieszkaniec Upper East Side.

Wśród naukowców „wtapianie się” długo było naznaczone wstydem. Po części dlatego, że antropologia od dawna usiłuje być „nauką” osobną i lepszą niż jej historyczne korzenie, czyli działalność misjonarzy, wiktoriańska „nauka fotelowa” czy stary, dobry imperializm. Zmiana ról z „badacza” na „jednego z tamtych” jest więc co najmniej kłopotliwa i nienaukowa. Z tego względu przez bardzo długi czas antropolodzy szczycili się swym „obiektywnym dystansem” wobec kultur, które badali i w których żyli, unikając „wtapiania się”, tak jak unika się chorego na malarię. Wtapianie się zawsze niosło ze sobą coś niestosownego – zagrażające i jednocześnie ekscytujące poczucie utraty samego siebie.

Jako samozwańcza obserwatorka uczestnicząca w uprzywilejowanej kulturze macierzyństwa na Upper East Side, intruz w plemienu matek, często czułam, jakbym była w konflikcie z otaczającymi mnie kobietami. Z jednej strony pragnęłam się do nich upodobnić, stać się jedną z nich, czułam też, że muszę to

zrobić (głównie ze względu na dobro mojego dziecka, a później dzieci). Próbowałam równocześnie zachować swoją osobność i indywidualność – choćby pozór analitycznego dystansu – gdy przyglądałam się temu, co się wokół mnie działo, a co nader często sprawiało wrażenie szaleństwa, lub brałam w tym udział. Odwracanie się plecami, dziesiątki nieprawidłowo zaparkowanych cadillaców escalade, z których jeden któregoś dnia niemal potracił mojego syna, gdy usiłowaliśmy złapać taksówkę. Kto, do cholery, chciałby żyć w takim samolubnym i roszczeniowym świecie? – zadawałam sobie pytanie.

W rezultacie jednak dramaty podczas odprowadzania synka do szkoły i bycie towarzyskim pariasem – przez co czułam się bezbronna, zdolowana i odrzucona – sprawiły, że zanurzyłam się głębiej w świat jego szkoły. Utwierdziły mnie tylko w przekonaniu, że muszę się zasymilować i zyskać akceptację. Nie miałam zamiaru nikomu pozwolić na odrzucanie mnie ani mojego dziecka. Pieprzyć ich. A gdy już zaczęliśmy być zapraszani na umawiane zabawy i zostaliśmy włączeni do szkolnego życia społecznego, te małe „zwycięstwa” zawiodły mnie jeszcze dalej w głąb obserwowanego przeze mnie świata, coraz bardziej pozbawiając oparcia w świecie zewnętrznym. Coraz rzadziej kontaktowałam się i widywałam ze znajomymi z południa, ze względu na rygor i wymagania związane z moją pracą oraz z trzymaniem ręki na pulsie i podtrzymywaniem przyjaźni dla mojego syna i dla mnie tu, na miejscu. Zanim zdążyłam się zorientować, całkowicie poddałam się temu nowemu światu, a stąd nie było już drogi powrotnej.

Ostatecznym tego symbolem był potężny talizman o niemal magicznych, a z pewnością hipnotyzujących mocach – torebka Birkin od Hermès.

Kiedy po raz pierwszy dotarło do mnie, co się dzieje, wracałam do domu po szybkich zakupach na pobliskim targu. Szłam z Madison w kierunku Park Avenue i byłam akurat na Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej, na ramieniu dyndała mi plastikowa siatka z bananami i mlekiem. Czułam się radosna i szczęśliwa. Świeciło słońce, a szeroki chodnik był mniej zatłoczony niż zwykle. Panował spokój – było już po porannych godzinach szczytu, a jeszcze przed lunchem – i w naszej przeważnie ruchliwej okolicy nie było prawie nikogo. Osobie pochodzącej ze Środkowego Zachodu, przyzwyczajonej do przestrzeni i ciszy, coś takiego od razu nasuwa skojarzenia z domem – tylko że z eleganckimi przedwojennymi budynkami i pełnymi energii portierami, którzy witają się z tobą, gdy ich mijasz. Mój syn chodził do dobrej szkoły. Miał tam kolegów, życie towarzyskie, a więc miałam je i ja. Pewnie, wołałabym, żeby mamy były dla mnie bardziej przyjazne, i nadal czułam się ciut obco, gdy odwoziłam i odbierałam małego ze szkoły. Ale byłam przecież wystarczająco dobrą matką jednego dziecka, z drugim w drodze. Wyglądało na to, że wreszcie odnajdowałam swoje miejsce na Upper East Side – tamtego dnia byłam bardzo zadowolona.

Pół przecznicy przede mną dostrzegłam samotną świetnie ubraną kobietę,

idącą prosto na mnie. Na Manhattanie chodzimy dość zwawo, więc w mgnieniu oka kobieta (mniej więcej po pięćdziesiątce) i ja (przed czterdziestką) zbliżyłyśmy się ku sobie. Przestrzegając manhattańskiej etykiety chodnikowej – obowiązującej niczym prawo drogowe – zachowałam się tak, jakbym jechała autem, czyli trzymałam się prawej strony. Dlaczego więc ta elegancka i zadbana pani z każdym krokiem zbaczała w swoje lewo, idąc wprost na mnie? Czyżbyśmy były w Anglii?

Przesuwałam się bardziej na prawo, by ustąpić jej więcej miejsca, ale ona nadal szła na mnie. Gdybym przesunęła się jeszcze bardziej na prawo, do czego w oczywisty sposób mnie zmuszała, weszłabym na pomarańczowy metalowy kosz na śmieci, który znajdował się zaledwie kilka kroków przede mną. To absurdałne, pomyślałam, lustrując całkowicie pusty szeroki chodnik, i zwolniłam. Zatrzymałam się ostro tuż przed koszem (Jaki miałam wybór? Odkoczyć na drugą stronę?) i spojrzałam na nią, oddaloną teraz ode mnie o jakieś dwadzieścia centymetrów, mimo że po swojej prawej stronie miała mnóstwo miejsca. Wytrzymała moje spojrzenie i z premedytacją, wcale nie lekko, szturchnęła mnie w lewe ramię swoją wspaniałą torebką. A potem uśmiechnęła się złośliwie – tak, złośliwie! – i energicznie poszła dalej. Odwróciłam się i bez tchu patrzyłam, jak się oddala. Byłam całkowicie zaskoczona tym, co właśnie zrobiła. Cokolwiek to było. No właśnie, co to było?!

Zostałam zaatakowana. A przynajmniej tak to odebrałam jako antropolożka, która na studiach oglądała godziny nagrań przedstawiających szympansy zaczepiające się agresywnie – kołyszące rękami, odsłaniające zęby i wydające skrzeczące gardłowe odgłosy. Rozpakowywałam zakupy, ale w myślach odtwarzałam to zdarzenie i czułam się nieswojo, a nawet byłam zła. Co tu się, do cholery, działo? W dodatku, kiedy to sobie przemyślałam, dotarło do mnie, że do tego typu sytuacji już dochodziło – na przykład gdy jedna kobieta najpierw taksowała mnie wzrokiem, a potem pchała się na mnie, ale nigdy nie było to tak ewidentne. Nadszedł czas, by zacząć wreszcie zwracać baczną uwagę, ale tak poważnie, na zachowania społeczne ssaków naczelnych z Upper East Side.

Jak się można było spodziewać, zaczęłam zauważać podobne starcia wokół mnie. Na przejściach dla pieszych, w luksusowych butikach, w poczekalniach słynnych dermatologów zobaczyłam, że – bardziej lub mniej subtelnie – wystrojone kobiety nie tylko mierzyły wzrokiem, ale też „atakowały” inne kobiety. Nader często tą inną kobietą byłam ja. Nieraz w takich sytuacjach musiałam zejść na krawężnik albo rozpląszczyć się na ścianie budynku, by usunąć się z drogi, tak nieugięte były i tak niechętnie zbaczały choćby o centymetr ze swego kursu – kursu, który był obrany jakby po to, żeby dać mi coś do zrozumienia... Zastanawiałam się, do czego atakująca chciała zmusić atakowaną.

Moje poprzednie terytorium, West Village, choć położone zaledwie parę mil dalej, wydawało się innym krajem, zwłaszcza w kwestii ubioru, obyczajów i wojen

toczonych między kobietami. Pewnie, od czasu do czasu można było się tam natknąć na nienaturalnie wysoką supermodelkę o pustym spojrzeniu, która kroczyła wąskim i wyboistym paskiem betonu, biegnącym wzdłuż Bleecker Street, jak po prywatnym wybiegu. Ale to normalne zachowanie zawodowych narcyzów. Wybierając się zaś na przechadzkę po Upper East Side, można się było niechętnie zaplątać w niezwykle wrogą i przeznaczoną dla jednej płci grę w cykora, w której jedna wysoko postawiona, drogo ubrana i sprawiająca wrażenie normalnej kobieta pyta drugą: Która się pierwsza wycofa?

Po kilku tygodniach takich obserwacji i spacerowania po ulicach z nastawieniem na wychwytywanie tego zjawiska jako piesza byłam ciągle czujna i gotowa na potyczki, za każdym razem gdy wychodziłam na spacer albo musiałam się przemieścić z jednego miejsca w drugie. Jednak jako badaczka potrzebowałam więcej danych. Pewnego ranka, po odstawieniu syna do szkoły kupiłam więc sobie kawę, usadowiłam się naprzeciwko wejścia do ekskluzywnego budynku w okolicy i patrzyłam. Przez kilka następnych dni stałam przed sklepem, a później blisko skrzyżowania chodników. Parokrotnie zbierałam dane wewnątrz miejsc często odwiedzanych przez kobiety, a raczej przy wejściu do nich, bo wchodzenie i wychodzenie najwyraźniej obfitowały w spięcia i to wtedy przeważnie dochodziło do ataków – w luksusowych sklepach, restauracjach znanych jako naturalny habitat całego przekroju (wiekowo) pań chodzących na lunche oraz w kilku hallach.

W rezultacie udało mi się zaobserwować blisko setkę konfrontacji podobnych do tej, z jaką zetknęłam się wówczas na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Moje badania były, rzecz jasna, nieoficjalne, ale i tak wyciągnęłam parę wniosków. Po pierwsze i najważniejsze, kobiety na Upper East Side, szczególnie trzydziestolatki i te, które kończą „wiek średni”, mają obsesję na punkcie władzy. W wielu, choć nie we wszystkich wypadkach to starsza kobieta „atakowała” młodszą, będąc na „kursie kolizyjnym”, póki nie dochodziło do pewnego rodzaju społecznego punktu kryzysowego, kiedy często w ostatniej sekundzie młodszą kobietą unikała zderzenia, szybko usuwając się na bok. Obie uczestniczki tej gry szły dalej, każda w swoją stronę, jakby nieświadome tego, co się między nimi (nie) wydarzyło. Wyglądało to tak, jakby obie strony w jakimś głębokim sensie były w to zamieszane – zgadzając się na udawanie, że do tego, co się właśnie stało, nie doszło.

Sytuacje te ciągle się powtarzały, aż zaczęło do mnie docierać wyjaśnienie zachowania kobiet i ich prób zdominowania innych kobiet. Miały prawo, o czym mówiły, atakując, powiększyć własną przestrzeń kosztem innych. Przekaz, który wynikał z obserwowanych przeze mnie konfrontacji, był jasny. Nie chodziło o proste „zejdź mi z drogi”, a raczej o coś ostrzejszego: „Nie widzę cię. Bo nie istniejesz”. Ich torebki – zapierające dech w piersiach, piękne i kosztowne, noszone na ukos, na ramieniu albo trzymane w dłoni, pikowane, farbowane, z węzowej,

cielęcej albo strusiej skóry, z zachodzącymi na siebie literami C albo F, z misternymi sprzączkami i zamkami – najwyraźniej miały z tym wiele wspólnego. Były jak zbroja, broń i porporzec, a nawet więcej: każda, która atakowała, zdawała się mieć fantastyczną torebkę i bawić się w szturchanie nią przeciwniczki. To był ostateczny cios.

Świętej pamięci Nora Ephron napisała, że ludzie z Los Angeles mają samochody, a my na Manhattanie mamy torebki, a dzięki moim obserwacjom analogia ta zyskała dla mnie nowe znaczenie. Jeśli rzeczywiście torebki są niczym samochody, jak sugerowała Ephron – jednocześnie funkcjonalne i symboliczne, są sposobem na przemieszczenie swoich rzeczy z punktu A do punktu B, a także na stworzenie takiego wizerunku, na jakim nam zależy – to według mnie na bogatych ulicach i chodnikach pełno było furiatów. Z foliową siatką z warzywniaka na ramieniu po prostu się o to prosiłam.

Pomyślałam także o okazywaniu dominacji przez Mike'a, szympansa w stadzie badanym przez Jane Goodall. Dla prymatologów i studentów antropologii Mike jest legendą, gdyż pokazał niezwykłą pomysłowość, która może przeorganizować świat, a przynajmniej wywrócić do góry nogami całą przyjętą strukturę społeczeństwa. Mały i zajmujący niską pozycję w stadzie Mike był stosunkowo nowym jego członkiem, gdy Goodall przyjechała do Gombo w 1960 roku. Zauważyła, że często zbiera cięgi od starszych i większych szympansov. Wiódł życie nieszczęsnego popychadła, obcego, który nieproszony pojawił się na przyjęciu.

I wtedy Mike sprawił sobie przepiękną torebkę.

Tak naprawdę odkrył kilka pustych, porzuconych metalowych kanistrów z uchwytami. I w przebłysku geniuszu stwierdził, że może je wykorzystać, by pokazać swoją przewagę. Okazywanie dominacji to zaplanowane przedstawienie, podczas którego samiec chce onieśmielić resztę członków stada i wyrzucić na nich wrażenie, nie robiąc im krzywdy. Zwykle szympansy gonią się albo porównują części ciała, potrząsają gałęziami, uderzają w podłoże i rzucają kamieniami, a wszystko to przy wtórze głośnego sapania i pohukiwania, a także ostrych wrzasków.

Prymatolodzy i fotografowie dzikiej przyrody często byli obiektami takich popisów i z ich relacji wynika, że zachowanie to jest zadziwiające, a nawet przerażające. Wyobraźcie sobie więc zaskoczenie członków stada w Gombe, gdy Mike podbiegł do nich, targając ze sobą wielkie, hałaśliwe i nieznanne im przedmioty, trzymając je za uchwyty, bębniąc w nie i wywijając nimi w trawie jak insygniami władzy. Następnie jeszcze ulepszył swój występ, stanął pośrodku grupy i uderzając tajemniczymi przedmiotami o siebie, tworzył straszliwy, niesłyszany wcześniej dźwięk, który wydawał się oznaczać „Teraz ja tu rządę!”. Ten przełomowy społeczny spektakl sprawił, że nawet Goliath, dotychczasowy samiec

alfa, uciekł w popłochu. U pozostałych szympansów Mike wzbudził zaś wielki podziw. Szybko więc zdetronizował Goliatha, mimo że popierał go poprzedni samiec alfa Dawid Siwobrody, i sam stał się samcem alfa. Na całe pięć lat. Bo taki jest okres półtrwania dobrej torebki.

Nie mogłam ich pokonać ani zmienić, a już na pewno nie chciałam dołączyć do Klubu Wrednych Mamusiek. A może jednak trochę chciałam... Z pewnością jednak potrzebowałam własnego kanistra na naftę. Owszem, było w tych aroganckich babach, które traktowały mnie jak popychadło albo jakbym nie istniała i nic nie znaczyła, coś, co sprawiało, że zapragnęłam mieć piękną i drogą torebkę. Wierzyłam, że niczym przedmiot totemiczny będzie mnie chronić przed tymi kobietami, które otaczały mnie w moim nowym habitacie i które mówiły tak wiele, nie wymawiając ani jednego słowa, tylko posługując się oczami, mimiką i – zawsze – torebką. Pomyślałam, że być może torebka tak ładna jak te należące do nich wyprowadzi je w pole, zaczaruje je i uwierzą, że nie powinny mnie wyzywać na chodnikowe pojedynki ani źle traktować. Uwierzą, że warto mi mówić „cześć”, gdy spotykamy się na przyjęciu, szkolnym korytarzu czy w restauracji, a nie obrzucać mnie pogardliwym spojrzeniem. Poza tym – kombinowałam – to je może rozzłościć. Mając wspaniałą torebkę, nie tylko uzbroiłabym się we własny miecz i tarczę. Miałabym coś, czego one nie mają, czego pragną, albo co już mają, ale nie chcą, by ktoś inny także to miał. Wyobrażałam sobie, jak Królowa Królowych Pszczół próbuje mnie trącić, przechodząc obok, i zatyka ją na widok mojej kanciastej torebki Birkin. No naprawdę, czegoś takiego nie da się wycenić.



Birkinę od Hermèsa zobaczyłam po raz pierwszy w Paryżu pod koniec lat osiemdziesiątych. Torebka ta w dłoniach kobiety ubranej w jeansy i kusy żakiet była Idealna. Miała kolor czerwony, ale nie przewidywalny szkarłat ani tandetny odcień z domieszką różu. Była w beztroskiej, pewnej siebie i niespotykanej ceglanej czerwieni, jak szminka, której się bezskutecznie szuka całymi latami i w nadziei na platoński ideał, na Tę Jedyńą, kupuje się ciągle nowe. Kształt również był taki jak trzeba – trochę inny niż to, do czego byłam przyzwyczajona, prowokacyjny w swej subtelnej odmienności od zwykłej torebki czy listonoszki. Miała ledwie widoczne z zewnątrz przegródki, które przywodziły na myśl świat pracy i piękna. Nawet trochę śledziłam tę kobietę przez kilka przecznic w Ósmej Dzielnicy (bo, rzecz jasna, działo się to w Ósmej, w okolicy skupiającej wszystko, co tak seksownie francuskie), usiłując się zorientować, co to za torebka.

Później zapalczywie naszkicowałam ją jednej przyjaciółce, która zapiszczała, gdy opisałam jej szczegóły zamka, i powiedziała: „Aha, masz na myśli birkinę! Birkinę od Hermèsa! No jasne, wszyscy chcą ją mieć!” – po czym wychwalała piękno tej torebki i rozplýwała się w zachwytach nad tym, jak swobodnie,

a jednocześnie nabożnie noszą ją Francuzki, często z zaczytanym *Guide Rouge* albo wystającą ze środka bagietką. Och, ta torebka była taka... francuska. „I bardzo droga”, dodała przyjaciółka. Westchnęłam, czując ból i objawy jet lagu, gdy przeliczyłam franki na dolary, przekonana, że z pewnością się pomyliłam. Byłam wtedy studentką i biorąc pod uwagę moje ówczesne możliwości finansowe, pragnienie posiadania birkiniki było tak samo racjonalne jak chęć zostania prezydentem Francji.

Torebka Birkin od Hermès'a owiana jest legendą, a legenda o jej pochodzeniu jest jak doczepiona do niej *clochette*, nierozzerwalnie związana z otaczającą ją aurą, jej birkinowatością, jej neodpartym urokiem. Historia głosi, że w 1981 roku angielska aktorka i piosenkarka Jane Birkin, wolny duch – ta która była w długim związku romantycznym i artystycznym z Serge'em Gainsbourg'em – weszła na pokład samolotu ze słomianą torbą weekendową, której zawartość rozsypała się po podłodze, gdy próbowała włożyć torbę do górnego schowka. Jean-Louis Dumas, wówczas dyrektor naczelny marki Hermès, przodującego w świecie producenta wyrobów skórzanych, niczym rycerz w lśniącej zbroi pomógł jej wszystko pozbiierać. Dziękując mu, Birkin wyjaśniła, że po prostu nie ma torebki, która sprawdziłaby się podczas jej częstych podróży między Londynem a Paryżem, co – jak mówi legenda – dało mu do myślenia. I najwyraźniej zainspirowało do projektowania.

W 1984 roku Hermès po raz pierwszy przedstawił czarną pojemną torbę ze skóry, wykonaną z niezwykłą starannością, kunsztem i wyczuciem, które potrafiły poruszyć czule struny także u bohemy. Pomniejszona wersja torby oryginalnie zaprojektowanej przed stu laty do przechowywania siodeł miała własną historię, dwa uchwyty i klapkę, którą można było przerzucić do tyłu albo zamknąć na kłódkę. Można było zahaczyć ją na przedramieniu albo nosić w ręce. A nawet zawiesić na ramieniu, bo uchwyty były wystarczająco długie (dwa przydawały jej młodego ducha, kojarzyła się z modną bywalczynią, która pracuje zawodowo, inaczej niż torebki z jednym uchwytem noszone przez bogate damy). Rozmiarowo była czymś między torebką podręczną a weekendową. Z wyglądu i w swej istocie była zaś sztywnie funkcjonalna. Stanowiła zaprzeczenie torebki Kelly, innej kultowej torebki zaprojektowanej przez Hermès'a specjalnie dla księżnej Grace, by pomóc jej zamaskować ciążę. Torebka Kelly to konwenans i stateczna, oblewająca się rumieńcem poprawność. Za to Birkin się nie tłumaczy, że zaszła w ciążę przed ślubem. Jest młodszą, dzikszą i bardziej rozrywkową siostrą Kelly.

Co nie czyni jej ani tanią, ani łatwą – *mais non!* Torebki Birkin od samego początku wykonywano w niezwykle ograniczonej liczbie egzemplarzy – jedynie 2500 sztuk rocznie. Po części dlatego, że wykonanie takiej torby od początku do końca wymaga ogromnych nakładów – to blisko pięćdziesiąt godzin żmudnej, precyzyjnej i wytężonej pracy. Torebki te wykonywane są niemal w całości ręcznie

przez pracowników, którzy muszą najpierw przez dwa lata terminować u mistrza kaletnictwa domu Hermès, by w ogóle mogli zacząć je robić. Torebki Birkin stają się wobec tego dziełami sztuki, a żeby dodatkowo wzmocnić ten pogląd, każda wykonywana jest przez jednego kaletnika, który „podpisuje” i datuje dzieło specjalnym stemplem z rokiem powstania torebki i własnymi inicjałami. Proporcje birkiniek są stałe – czy to wersja 25-, 30-, 35-, 40-, czy majestatyczna 50-centymetrowa, stosunek długości do szerokości i wysokości jest zawsze taki sam, a kształt nie do pomylenia z żadnym innym. Tylko Francuzi potrafili pożenić oświecenie i rewolucję seksualną, tak jak zrobił to Hermès, tworząc birkinę. To odpowiednik małej czarnej w świecie torebek.

Obecnie można kupić torebki Birkin w kolorze blue jean (nie, nie jest to kolor ciemnego jeansu, ani żadnego zresztą jeansu, tylko odcień błękitnego nieba latem). Albo w złotym. Według tych, którzy mają po kilka birkiniek, to „birkinia dla początkujących”. Wcale nie jest złota, lecz ma płowy odcień karmelu z białymi kontrastowymi przeszyciami, co kojarzy się z cukierkiem i wywołuje ślinotok. Kolorów zresztą są dziesiątki, a każdy jest tak żywy i nieoczekiwany, że nawet niewtajemniczeni zaczynają marzyć o tej torebce. („Co to za kolor?” – zawołała pewnego szarego zimowego dnia przyjaciółka artystka do zdumionej właścicielki birkiniki ze skóry strusia w kolorze fuksji. „W życiu nie widziałam takiego odcienia różu! Nigdy!”) Koszt podstawowego modelu – z cielęcej skóry, a nie z krokodylej czy strusiej, ze złotymi lub platynowymi okuciami, a nie z plaketką i zamkiem wysadzanymi diamentami – to około 8 tysięcy dolarów. Liczba rodzajów skór przyprawia o zawrót głowy: Togo to skóra cielęca, Clémence (najcięższa) to skóra młodego byka (*taurillion clemence*). Birkiniki robi się też ze skór jagnięcych i kozlich. Wersja ze skóry egzotycznej – jaszczurki, krokodyla lub strusia – albo model niestandardowy, na zamówienie, może osiągnąć cenę rzędu 150 tysięcy dolarów lub więcej. Lista chętnych, jak informuje się często zainteresowanych, jest tak długa, że na torebkę czeka się dwa albo trzy lata. W Hongkongu i Singapurze, gdzie dzięki rozwojowi ekonomicznemu birkinmania osiągnęła spore rozmiary, na czarnym rynku robi się niezły biznes, sprzedając nowe, oryginalne birkiniki świeżo kupione u Hermès. Za przywilej ominięcia kolejki płaci się czasem narzut w wysokości 50 albo i 100 procent. HERMÈS PARIS MADE IN FRANCE widnieje w trzech idealnie odmierzonych liniach, wytłoczone w srebrnej lub złotej plaketce nad zamkiem każdej torebki Birkin.

Mężczyźni mogą mieć swoje sportowe samochody, romanse, piwniczki mieszczące piętnaście tysięcy butelek wina albo co tam jeszcze jest pociechą w średnim wieku. Ale birkinia – skóra, okucia, kontrastowe szwy i miriady detali, które sprawiają, że to właśnie birkinia, wszystko, co czyni z tej torebki przedmiot pożądania, wliczając absolutną niemożność jej zdobycia (a może przede wszystkim to) – będzie moje. Za to wszystko, co straciłam i co jeszcze stracę (choć na

Manhattanie pewnie rzeczy traci się wolniej, bo bardzo staramy się wyglądać, jakbyśmy miały dwadzieścia albo trzydzieści parę lat, póki nie skończymy pięćdziesięciu) – jędrne uda, gładką skórę, płodność, zdolność do przeżywania ekstazy z powodu ostatniego numeru „Vogue’a” – będę miała tę prostokątną, kosztowną, seksowną, funkcjonalną torebkę. Postanowiłam, że koniec już z wielkimi torbami typu *tote* albo rozwiązań kompromisowych w stylu torebek linii Marc od Marca Jacobsa, tym bardziej odkąd zauważyłam, że na Upper East Side pomykają z nimi dwudziestolatki, a nawet nastolatki. Dojrzewałam do przekonania, że chcę czegoś lepszego, i czułam, że wreszcie mi się to należy. Byłam kobietą w średnim wieku, owszem – na samą myśl się krztusiłam. Wciąż jednak byłam wystarczająco młoda, ładna, blond i szczupła, by rozbłysnąć razem z birkiną. Byłam również wystarczająco stara, by było mnie na nią stać, a także miałam wystarczające koneksje – po latach mieszkania na Manhattanie – by ją zdobyć. Taki wiek, mój wiek, był najlepszy do nabycia birkiniki, tak więc ta torebka była z jednej strony moją nagrodą pocieszenia, a z drugiej – moim prawem.

Oczywiście nie można bez końca fantazjować o jej posiadaniu, trzeba wreszcie skonfrontować się z problemem, skąd ją wziąć. Jak ją zdobyć? Podobnie jak w przypadku wielu innych „zdobyczy” proszenie i bycie odrzucanym zaliczało się do tej gry. Tak samo jak czekanie, wpisywanie na listę kolejkową oraz dowiadywanie się, że lista kolejkowa jest już zamknięta – wszystko to znałam z relacji przyjaciółek pracujących w modzie albo od tych, które miały na tym punkcie obsesję. Czasem, gdy znało się kogoś u Hermèsa, tak słyszałam, można było dostać birkinę trochę wcześniej – na przykład w pół roku albo rok, a nie po trzech latach.

Matka mojej przyjaciółki JJ opowiadała nam kiedyś przy drinku, jak któregoś dnia była w sklepie Hermèsa, gdy wpadła do niego wystarczająco ładna i dobrze ubrana kobieta mniej więcej w tym samym wieku co ja i JJ i oznajmiła: „Chciałabym birkinę”. Szybko powiedziano jej, że niestety nie ma żadnej na sprzedaż, a lista z zapisami jest już pełna. „Nie dosłyszała mnie pani. Chciałabym kupić trzydziestopięciocentymetrową czarną torebkę ze złotymi okuciami” – nalegała, podnosząc głos, a kiedy ponownie jej odmówiono, a potem jeszcze raz, z irytacją wyciągnęła ręce do góry i warknęła: „W porządku. Nie chciałam tego robić, ale trudno, idę po męża!”. Parę sekund później weszła do sklepu w towarzystwie megasławnego męża komika i natychmiast poproszono ją do osobnego pomieszczenia na tyłach, gdzie najwyraźniej robiono birkinbiznesy. Zwycięstwo.

Zdecydowanie bardziej popularne są anegdoty o upokorzeniu i odmowach ze strony srogich i lodowato obojętnych strażników le Birkin. Jak ta o znajomej jednej znajomej, która rozplakała się na środku sklepu, gdy powiedziano jej oziębło, że lista oczekujących została zamknięta. Wracała do sklepu co tydzień przez wiele

miesiący – opowiadała swoim przyjaciółkom – za każdym razem kupując pasek albo apaszkę, których nie potrzebowała – przyjaciółki współczująco pomrukiwały, że to bardzo dużo apaszek i pasków – w nadziei, że pokaże sprzedawcom, ile w niej dobrej woli, i udowodni, że jest warta torby Birkin. Albo ta o kobiecie, która zmusiła męża w podróży służbowej, żeby wyrwał się do którejś azjatyckiej stolicy i kupił jej tam birkinę (celem delegacji były Niemcy). Albo o kobiecie, której zaoferowano torebki Kelly w każdym kolorze i rozmiarze, ale żadnej nie chciała, zdeterminowana, by zdobyć tylko birkin. Dowiedziała się później od znajomej redaktorki modowej, która usłyszała to od kogoś z obsługi, że dostała etykietkę „trudnej” i prawdopodobnie nigdy już nie wyprosi tej torebki.

Oczywiście usłyszenie, że lista oczekujących jest już zamknięta, było upokarzające i idiotyczne – jakby to był jakiś nocny klub, do którego nie można wejść, bo jest się za mało ważnym albo nie dość eleganckim. To absurd czekać przy aksamitnej linie na przywilej wydania lekką ręką co najmniej 10 tysięcy dolarów. Wiedziałam o tym. Ale te drobnostki nie były przeszkodą. Prawdziwa trudność, niemożliwość zdobycia tej torebki, była częścią jej istoty, tak samo jak jej historia i plakietka z datą.

Mimo wszystko warto. Wiedziałam o tym, tak samo jak wiedziałam, że birkin przychodzi w wielkim pomarańczowym pudle, przystrojonym brązowymi kokardami, a wewnątrz jest owinięta bibułą specjalna mała poduszeczka specyficznej grubości – nie żartuję – na której spoczywa torebka. Mieszkając na Manhattanie od dwudziestu paru lat, wiedziałam więc, że zabieram się do czegoś – szampowego, łatwego do obśmiania, szczyt bezsensu – co sprawi pewnie, że znienawidzę moje miasto bardziej niż kiedykolwiek. Za coś, co jest inną formą aplikowania do szkoły albo walki o lepszy stolik w restauracji. („Proszę, dajcie mi po prostu od razu dobry stolik i pomińmy etap, w którym ja narzekam, a wy mnie przesadzacie. Proszę” – zaczęłam mówić do szefów sali i osób przydzielających stoliki przy wejściu do restauracji. Robiłam to tak słodko, jak tylko potrafiłam, biorąc pod uwagę, że pod koniec drugiej ciąży moja cierpliwość wobec świata, także wobec sadystycznych rytuałów dotyczących sadowienia gości przy stolikach, była już mocno nadwerężona). Wiedziałam, że moja droga po birkin grozi tym, że skończę wyżęta i pełna urazy. A pewnie też rozczarowana, jeśli mi się poszczęściło i przeskoczywszy przez wszystkie wymagane obręcze, zdobyłabym to, czego tak pragnę.

Chociaż ostatecznie postanowiłam, że muszę mieć birkinę, czułam się zmęczona i pokonana samym zastanawianiem się nad tym. Zrobiłam się też wybuchowa i byłam gotowa mordować. Manhattan w taki śmieszny sposób przenicowuje twoje marzenia, że możesz zobaczyć ich szwy i to, z czego tak naprawdę są zrobione. Tu, na Upper East Side, jak się wciąż uczyłam, organizujemy nasze pragnienia i po części naszą tożsamość wokół szczególnych

dóbr trudnych, a nawet niemożliwych do zdobycia. Birkin symbolizuje wiele rzeczy, a jedną z nich jest wszechogarniająca melancholia wynikająca z niemożności jej posiadania, nawet (albo zwłaszcza) w świecie nadmiaru. Pewnie, birkin to coś, czego się pragnie, ale torebka ta jest także esencją doświadczenia samego pragnienia, wraz z odroczeniem gratyfikacji, rozczarowaniem, oczekiwaniem i nadzieją, przenikającymi każdy szew.



Kiedy zadasz sobie pytanie, dlaczego każdy na Manhattanie – łącznie z tobą – chce mieć birkinę i dlaczego panuje tu taki kult tej torebki, łatwo wpadniesz w błędne koło. Odpowiedź bowiem jest ewidentna: Bo tak. Istnieją też bardziej rozbudowane teorie. W mieście, w którym wartością są przywileje i sukces – tak właściwie ma się na tym punkcie obsesję – birkin jest dla kobiet symbolem megastatusu, być może nawet statusu ostatecznego. Nieprzypadkowo także dla mężczyzn, którzy są w stanie je dla nas pozyskać. „Żona z torebką Birkin jest idealnym narcystycznym przedłużeniem mężczyzny sukcesu” – zadumała się psycholożka kliniczna Stephanie Newman, gdy zapytałam ją, co o tym wszystkim myśli. „W ten sposób on udowadnia, jaki jest wpływowy i wyjątkowy – załatwił jej przecież kosztowną rzadką rzecz”. Raz na milion zdarza się kobieta, która twierdzi, że nie, nie, nie, absolutnie nie chce tej torebki. Ale dajmy jej jedną i zobaczmy, czy nie zacznie jej używać. Zbyt trudno będzie się oprzeć stylowi i społecznemu turbodoładowaniu, jakie ta torebka zapewnia. To tak, jakby z premedytacją wybierać hyundaia zamiast porsche, jeśli dają kluczyki do obu samochodów. Nieprawdopodobne, prawda? Chcesz jej, bo to coś odrobinę poza zasięgiem – trzeba się wysilić, ale nie jest to niemożliwe. Oraz dlatego, że jest piękna. I dlatego, że będziesz wzbudzać bardzo szczególny, pokręcony manhattański rodzaj szacunku, znany również pod nazwą „zazdrość innych kobiet posiadających birkinę” – innych wtajemniczonych, na których opinii ci zależy i których podziwu pragniesz.

Wiodąc życie na Upper East Side, uświadomiłam sobie, że to gra dla małej grupy kobiet – wzbudzać zazdrość u innych kobiet. Wiele napisano o męskim spojrzeniu – o tym, jak uprzedmiotawia, na nowo określa hierarchię między kobietami a mężczyznami, tworząc obserwatora i obserwowaną. Zaczęło jednak do mnie docierać, że na UES spojrzenia wymieniają między sobą (lub narzucają sobie) kobiety. Spojrzenie, które często jest wrogiem, porównujące, precyzyjne w swej intencji niczym laser. Spojrzenie to wciąga cię w grę, nawet jeśli nie masz na to ochoty. To rodzaj samoobrony albo poprawienia swojej pozycji. Nie patrz na mnie w ten sposób – mówisz swoim spojrzeniem – nieładnie! Bywa, że kobiety używają spojrzeń, by kosztem innej zyskać przewagę. Gdzie masz wadę? – pytają bez słów, taksując inne kobiety. Gdzie masz tę niedoskonałość – pasek, buty, ubiór, fryzura?

– która doda mi otuchy, sprawi, że poczuję, że nie jesteś taka znowu fajna, nie jesteś lepsza ode mnie? Torebki Birkin, pożądane i „deficytowe”, uwidaczniają kobiecą wrogość, fascynację podszywającą wiele interakcji i spojrzeń pomiędzy kobietami na Manhattanie, na chodnikach, na ulicach, w modnej restauracji, na imprezie charytatywnej – w hotelu Pierre czy Cipriani – kiedy lustrujemy buty i dodatki innej kobiety. Spojrzeń naładowanych znaczeniem: luksusową, połyskującą, łąpczywą i smakowitą treścią oznaczającą, że nasi mężowie i dzieci także są ślepi. Są spojrzenia ukradkowe i całkiem bezpośrednie, gdy czekamy na windę na szkolnym korytarzu, są spojrzenia, które od razu obejmują całą garderobę, kobieta połyka kobietę w całości niczym boa dusiciel, żeby ją przetrawić i później zająć się szczegółami: Kim ona jest? Dlaczego to ma? Czyją jest żoną? Czym się zajmuje? Dlaczego ona, a nie ja? Relacje między kobietami na Upper East Side są napięte jak nigdzie indziej w kraju czy na świecie, a torebki, podobnie jak samochody, pełnią wiele różnych funkcji jednocześnie. To komunikat o tym, gdzie kto stoi w nieuchronnej hierarchii Manhattanu, to barometr zamożności, ustosunkowania i wpływów w mieście, w którym pieniądze, znajomości i władza są wszystkim. To deklaracja moda. To kocyk bezpieczeństwa, sposób na ukojenie w wyjątkowo stresującym mieście.



Mąż nie będzie zaskoczony moją prośbą, tego byłam pewna, bo od lat paplałam o birkinach. Miałam nadzieję, że nie z tak śmiertelną powagą jak Inne Kobiety, ale jednak. „O, tutaj jest jedna!” – wołałam, pokazując mężowi palcem i rzucając ukradkowe spojrzenia, podekscytowana niczym przyrodnik, który wypatrzył rzadko spotykany gatunek południowoamerykańskiego ptaka zimną w Central Parku. Przy odrobinie szczęścia mogłam dokładnie ocenić torebkę wraz z właścicielką, wierząc, że dzięki temu zorientuję się, czy jest podróbką. Torebka, ma się rozumieć.

Moja obsesja dotycząca birkiniek w czasie ostatnich dwóch dekad bladła, zanikała i powracała, co jakiś czas aktywowana czynnikiem stresowym (na przykład napotkaniem birkiniki na ulicy) niczym uśpiony wirus. Nawet teraz, po dwudziestu latach od momentu, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy, gdy znajduję się na innym, zdecydowanie wygodniejszym finansowo etapie życia i prawie mogłabym usprawiedliwić tak szalony wydatek, zdobycie tej torebki wymagałoby trochę zachodu. I upomnienia się o zaległe przysługi. A nawet – horror nad horrorami dla społecznej pisarki – być może trzeba się będzie wkraść w czyjeś łaski. Najpierw jednak trzeba będzie trochę się pozadrzeć. Ale z tym dam sobie radę. Nie ma sprawy. Matki na Upper East Side są w tym świetne. Dręczą się terroryzmem lub szukając letniego obozu, informacji o wysypkach dziecięcych czy rozwoju grafomotorycznym albo o tym, że trzeba zmienić M-9 na coś mniejszego,

żeby móc kupić coś w Aspen, bez pozbywania się domu w Hamptons. Dręczymy się i dręczymy, marnując mnóstwo czasu na poszukiwania w internecie, które wzmacniają tylko i karmią nasze fiksacje. Na laptopach i iPadach śnimy na jawie o idealnych wakacjach albo tropimy buty, które całkowicie odmienią naszą garderobę i poprawią jakość życia. Moja przyjaciółka Candace zapisała w zakładkach siedemnaście stron o nieruchomościach w poszukiwaniu miejsca w Bronxville, do którego – jak sama przyznaje – pewnie nigdy się nie przeprowadzi. „To mi po prostu poprawia nastrój” – mówi, wzruszając ramionami.

Moje obsesyjne poszukiwania doprowadziły mnie do takich stron jak bagsnobs.com czy iwantabirkin.com. Kładłam synka spać i spędzałam kolejne noce na eBayu, tropiąc birkiniki – ich ceny, okucia, szczegóły odróżniające Prawdziwe Torby od podróbek. Pewnego razu, gdy wsiąkałam tam na dobrych kilka godzin, mąż wszedł do mojego „biura” – przerobionego pomieszczenia dla pokojówki przy kuchni – a ja, zakłopotana, szybko zamknęłam stronę.

– Co to było? – dopytywał się, gdy ekran komputera połknął wizerunek trzydziestopięciocentymetrowej blue jean birkin. – Co oglądałaś?

Odpowiedziałam szczerze:

– Przepraszam, pornografię. – Co tylko wzbudziło jego zainteresowanie, póki sobie nie uzmysłowił, że miałam na myśli torebkowe porno.

– A niby czemu nie? – któregoś słonecznego dnia zapytała Lily, gdy nasze dzieci bawiły się w parku. – Te birkiniki są jak czołgi. Naprawdę nie robi się już torebek w taki sposób. – Z jej punktu widzenia pomysł kupienia sobie birkiniki wydawał się rozsądny.

Podczas lunchu rozmawiałam z Candace i zgodziłyśmy się, kiwając głowami i przeliczając, że birkin kosztuje tyle co chesne za kwartał w szkole prywatnej albo zimowy urlop w ciepłych krajach. Tyle co koszt dwu- lub nawet trzymiesięcznego życia. Dwukrotnie więcej niż stolik na imprezie charytatywnej Nutcracker.

– No, jeśli tak na to spojrzeć – powiedziała Candace, powoli gmerając w swojej sałatce, zamyślona, gdy nagle jej mina się zmieniła – nie jest to takie znowu złe... jeśli będziesz ją miała na zawsze, a tak przecież będzie, i jeśli będziesz jej cały czas używać i przestaniesz kupować inne torebki, to jak to wszystko przekalkulujesz...

Matka mojej przyjaciółki JJ, która opowiedziała nam kiedyś anegdotę o żonie celebryty, miała pięć birkiniek i co najmniej tyle samo torebek Kelly, zasugerowała, że może mnie przedstawić komuś od sprzedaży w Hermèsie. „Po prostu sobie ją kup” – powiedziała. Nawet jeśli nie płacą nam wiele za to, co robimy; nawet jeśli jest ci ona potrzebna jak cekinowe buty w dżungli; nawet jeśli to całkowicie i głupio niepraktyczne. Nie stój tak, marząc o niej, zdawały się mówić Lily, Candace i JJ. Zrób coś. To była najdziwniejsza zachęta do działania i pofolgowania sobie, z jaką się spotkałam.



Kiedy powiedziałam o tym mężowi, ten wydał z siebie coś w rodzaju jęku. Naprawdę, prośby o coś tak drogiego nie były w moim stylu. Zawsze czułam niesmak, gdy kobiety zachowywały się, jak gdyby ich finanse i ich bezpieczeństwo finansowe nie miały nic wspólnego z pieniędzmi męża, jak gdyby te ich ozdóbki nie miały wpływu na budżet rodziny. Mój mąż wiedział, że pod tym względem jestem w zasadzie nieugięta. Kiedy po narodzinach starszego syna zapytał, co chcę na zwyczajowy prezent porodowy, zażyczyłam sobie, żeby przelał trochę pieniędzy na moje konto emerytalne, ku przerażeniu moich znajomych, które prosiły o diamenty. Więc tym razem moja prośba coś znaczyła.

– Myślę, że powinnam mieć torebkę Birkin – wyjaśniłam. – Naprawdę bardzo tego chcę.

Mąż się zgodził. W jakim kolorze? Kupi ją jutro. Roześmiałam się – głośnym, końskim, smutnym, nieuprzejmym śmiechem, który go zaniepokoił. A potem westchnęłam, wyjaśniając, że tak się nie da. Wręczyłam mu listę kontaktów rozpoczynającą się od nazwiska matki JJ i jej numeru telefonu.

– Co to jest? – spytał, mrużąc oczy.

– To twoja dilerka – odparłam. – Albo twoja paserka. Albo jeszcze coś innego. Proszę, bądź dla niej miły. Naprawdę zależy mi na tej torebce.

Mąż musiałby zadzwonić do matki JJ – nazwijmy ją Myra – która zadzwoniłaby do sprzedawczyni u Hermèsa – nazwijmy ją Deirdre – która z kolei obsługiwałaby mojego męża, gdy przyszedłby do sklepu. Ale najpierw Myra, niech będzie błogosławiona, odbyła serdeczną pogawędkę z Deirdre. JJ zadzwoniła potem do mnie i radośnie mi obwieściła, że jej matka powiedziała Deirdre, że jestem znaną pisarką („Ach, tak, kojarzę” – powiedziała na to Deirdre – kwiczałyśmy ze śmiechu z JJ na sam pomysł, że ktoś jest tak uprzejmy, by udawać, że zna kogoś takiego jak ja, czyli nikogo) i że będę świetną klientką, i że zasługuję na birkinę, i że chcę czarną trzydziestopięciocentymetrową wersję ze złotymi okuciami. Choć Myra uznała to za duży błąd, bo powinnam wziąć okucia z palladu, które opierają się trendom.

Po tej rozmowie i wybadaniu terenu mój mąż został poinformowany przez Myrę, że może spotkać się z Deirdre, co też uczynił, a Deirdre słodko przekazała mu, że zamierza zrobić, co w jej mocy, zadzwoni do Paryża i bardzo postara się zdobyć torebkę. Być może nie zdąży przed moimi urodzinami, które przecież już się zbliżały, ale przecież i tak omija listę oczekujących, która – w zależności od tego, z kim się rozmawiało – była długa na trzy lata, była całkowitą bzdurą albo była zamknięta. W nocy, po tym, jak mąż mi wszystko opowiedział, leżałam w łóżku do drugiej nad ranem, bo uświadomiłam sobie, że nie wiem nawet, ile dokładnie ta torebka będzie kosztować. „Wiesz, ja je kupuję w Paryżu albo

Rzymie, więc po przeliczeniu z obcej waluty nawet nie wiem, ile to wynosi. Nie wiem, po ile są w Nowym Jorku” – oznajmiła Myra, gdy przez telefon nieśmiało spytałam ją o koszty. „Tutaj kupowałam tylko swoje kelly”.



Mój przyjaciel Jeff Nunokawa jest profesorem literatury angielskiej. Specjalizuje się w powieści wiktoriańskiej i często pisze lub wykląda o tym, jak Dickens, Eliot i inni powieściopisarze wiktoriańscy prezentują kobiety – nie tylko jako entuzjastyczne konsumentki towarów luksusowych, ale też jako towary luksusowe. Byłam ciekawa, co powie o bardziej współczesnym konsumowaniu dóbr przez kobiety na przykładzie Birkingate, a także o wrogości i rywalizacji pomiędzy kobietami na chodnikach w epoce po Baudelairze. Najpierw jednak musiałam mu wszystko wyjaśnić. Jeff nie zalicza się do tej grupy moich przyjaciół, z którymi połączyła nas miłość do mody, i początkowo sądził, że mówię o birkenstockach. „Jestem przekonany, że to naprawdę ładna torebka” – zaczął ochoczo, gdy mu wyjaśniłam, że mówimy o torebkach, a nie sandałach, a potem opowiedziałam, czym jest Birkin, czym jest Hermès, i naświetliłam szaleństwo związane z zakupem torebki na Manhattanie około roku 2010. Dodał więc dyplomatycznie: „Rozumiem, że ludziom zależy na takich rzeczach”. Zamilkł na moment, zbierając myśli, i zapytał tonem jednocześnie autorytatywnym i żartobliwym: „Ale dlaczego akurat kobiety?”.

Lubienie „ładnych” rzeczy, pożądanie ich, ustawianie się po nie w kolejce, zapisywanie się na listy, poddawanie się najróżniejszym upokorzeniom, by je zdobyć, pragnienie ich ze względu na ich rzekomą niedostępność, deficytowość – łatwo to zbagatelizować jako kobiece kaprysy, fałszywą świadomość, jako bycie frajerką „otumanioną przez modę” – zgrabnie podsumował Nunokawa. Ale zasugerował też, że jesteśmy w błędzie. Pewnie – to szalone, i jasne, że żyjąc w Nowym Jorku, niejako tracimy to poczucie i zaczyna się ono wydawać dość normalne. Po prostu: kobiety chcą mieć torebki Birkin. A ten absurdalny proces przymilania się sprzedawcom, by jedną zdobyć, popadania w obsesję i używania wpływów, mamienia się nadzieją i czekania, który wydaje się najgłupszym i najbardziej bezsensownym postępowaniem... cóż. Dlaczego? Dlaczego kobiety? Tutaj Nunokawa posłużył się przykładem postaci fikcyjnej z innej epoki, bohaterką książki Edith Wharton – Lily Bart, którą uznał za „tak rzeczywistą, jak to tylko możliwe w jednej kwestii: w jej relacji do pięknych i kosztownych przedmiotów”. W miarę jak zamążpójście Lily wydaje się coraz pilniejsze, posuwając opowieść do przodu i grając z naszymi własnymi nadziejami, zdajemy sobie sprawę, że Lily nie tylko pragnie rzeczy, lecz pragnie ich spektakularnie i desperacko, bo sama także chce – potrzebuje – być upragniona.

Tak samo jest z kobietami na Manhattanie i ich pogonią za birkinami,

stwierdził Nunokawa. „Nie chodzi tylko o to, że kobiety, te ze szczególnej klasy czy warstwy społecznej, współczesne Lily Bart, kochają modne towary” – wyjaśnił. „Raczej o to, że same są takim towarem”. Polujące na birkiniki to nie chore z urojenia wariatki, nie są też głupie – kontynuował. Dążą do czegoś więcej niż wypchnięcie kogoś z kolejki po torebkę. Polując na birkiniki, nie stajemy się jedynie łowczyniami torebek. „Te kobiety przypominają mężczyznom, społeczeństwu i samym sobie, że posiadają uprzywilejowaną relację z tą torebką, utożsamiają się z nią”. Dążąc do czegoś, starając się o coś drogiego i rzadkiego, usiłujemy zarazem odmłodzić własną wyjątkowość, odświeżyć poczucie naszej wartości w społeczeństwie. Bliskość wystawnych przedmiotów, na przykład torebki Birkin, jest egocentryczna, lekkomyślna... i bardzo skuteczna – skonkludował Nunokawa.

To wszystko nieważne. I tak zamierzałam wepchać się do kolejki.



Ostatecznie wszystko potoczyło się tak: mój mąż służbowo wybrał się do Azji, a Deirdre zasugerowała, że być może łatwiej byłoby nabyć torebkę właśnie tam i że podzwoni, gdzie trzeba. W Hongkongu wciskali mu jednak śpiewkę o trzyletniej liście oczekujących. W Pekinie powiedziano mu to samo (w ten sposób dowiedziałam się, zanim wpadli na to światowi ekonomiści, że Chiny prześcignęły Japonię i stały się drugą pod względem wielkości gospodarką światową). Wtedy nagle, pod koniec podróży, zadzwonił późną nocą, ja akurat odebrałam, a on zapytał: „A podobają ci się złote?”. Okazało się, że zastraszył sprzedawcę w jakimś tokijskim sklepie Hermès, a ten pokazał mu nie jedną, lecz trzy birkiniki do wyboru. Wybrałam złotą z okuciami z palladu, wiedząc, że Myra będzie ze mnie zadowolona.

Koniec sprawy zatem. Mimo to wierciłam się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Dręczyła mnie myśl, że Myra obrazi się na mnie za to, że naraziłam jej znajomość z Deirdre, bo nie posłuchałam jej i nie kupiłam torebki w Nowym Jorku. Cały czas miałam przed oczami następującą przerażającą wizję: JJ wkurza się na mnie, bo tak nieumiejętnie zajęłam się tą sprawą i doprowadziłam do sytuacji, w której ona jest między młotem a kowadłem, jeśli jej matka poczuje, że złamałam niepisaną, lecz ważną zasadę etykiety nabywania birkin. Albo coś w tym stylu. Następnego dnia obudziłam się wykończona, ale rozmyślałam o tym w kółko jeszcze przez cały dzień i przesłoniło mi to inne sprawy. Tego dnia wieczorem mój mąż wrócił z delegacji, z jet lagiem, ubraniami do wyprania i wielgachnym pomarańczowym pudełkiem. „NIE DOTYKAJ TEGO” – warknęłam na syna, który zbliżył się do paczki zaciekawiony. Pod wstążkami, w pudełku, pod bibułką, na specjalnej poduszeczce, w beżowym pokrowcu znajdowała się torebka. Plakietka pokryta była brudnobiałym filcem, żeby się nie zadrapała. Ostrożnie go zdjęłam, jak chirurg, by

urzyć połyskującą srebrną sprzączkę i zamek. Wewnątrz tego przedmiotu kultu znajdowało się więcej przedmiotów kultu: pękata harmonijkowa wkładka z plastiku, która utrzymywała kształt torebki, a także mała kłódka i kluczyki w skórkowym etui. I pokrowiec na deszcz. Tak, torebki Birkin miały własne okrycie przeciwdeszczowe. Była lżejsza, niż się spodziewałam. Była prosta i piękna, miała mistrzowskie kontrastujące przeszycia. Mierzyła trzydzieści pięć centymetrów szerokości i była czystą poezją. Mąż zaczął się śmiać, gdy wzięłam latarkę, by obejrzeć ją dokładnie od środka. Następnie podbiegłam do telefonu zamówić kwiaty i liścik z podziękowaniem dla Myry. Za jej pomoc i fatygę.

Można by pomyśleć, że powinnam od tego momentu być po prostu szczęśliwa, że znalazłam Świętego Graala torebek. Zamiast tego jednak przeniosłam swoje niepokoje i lęki, czy aby nie obraziłam Myry, JJ i Deirdre tym, w jaki sposób zdobyłam torebkę, na samą torebkę. Całymi dniami zamartwiałam się, że – choć kupiona w autoryzowanym sklepie – może być podróbką. Szukałam informacji o umieszczaniu podpisu kaletnika, szwach i każdym elemencie konstrukcji. Co, jeśli nie jest oryginalna? Och, dzięki Bogu, na szczęście jest! JJ – która się wcale nie obraziła i której matka się nie obraziła, tylko cieszyła się razem ze mną tak, jak tylko czyjaś matka z obsesją na punkcie birkiniek może się cieszyć – krzychała mi w słuchawkę: „Nie potrafisz się po prostu pogodzić z tym, że to koniec poszukiwań. Boisz się, że skoro zdobyłaś, co chciałaś, poczujesz teraz pustkę! Czujesz się trochę jak oszustka. Myślisz, że na nią nie zasługujesz. Ale zasługujesz!”

Docierało do mnie, że jeśli zamierza się mieszkać na Upper East Side, dobrze mieć przyjaciółkę, która jest psychoanalityczką.



Wszędzie chodziłam z moją torebką, chyba że padało. Wtedy zostawiałam ją w domu z obawy, że... się zniszczy. Pewnego dnia, gdy zostało mi trochę czasu przed odebraniem synka ze szkoły, weszłam do sklepu po drugiej stronie ulicy. Rzadko się zdarzało, że robiłam zakupy dla siebie, a nie dla dzieci albo że robiłam zakupy, a nie pracowałam lub zamartwiałam się pracą, czułam się więc luksusowo. Przywitała mnie młoda sprzedawczyni, a po chwili zaproponowała, że odłoży ubrania, które sobie wybrałam, do przymierzalni. „Może pani zostawić torebkę na tej ławce. Popilnuję jej” – powiedziała z uśmiechem. „I obiecuję, że jej sobie nie wezmę, choć bardzo chciałabym taką mieć”. Roześmiałyśmy się, a ona dalej przyglądała się mojej torebce, więc jej ją podałam i zaproponowałam, żeby sobie przymierzyła. Tak zrobiła, oglądając się pod każdym możliwym kątem w licznych sklepowych lustrach. Dziwnie było mieć coś, czego ona pragnęła, czułam się z tym nieswojo. Żeby nieco zmniejszyć dyskomfort, na pytanie, czy uwielbiam moją birkinę, odparłam, że owszem, uwielbiam, że jest bardzo praktyczna i śliczna, ale

że to tylko torebka. I że cały ten zgiełk wokół birkiniek jest uderzający i przesadzony. Uśmiechnęła się i przechyliła głowę w bok tak, że nasze spojrzenia spotkały się w lustrze. „Parę dni temu przyszła tu pani z dwukolorową wersją z krokodylej skóry – powiedziała słodko – i była to chyba najszykowniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam”. – Zamilkła na chwilę, a potem dodała: „Po tamtej trudno się już ekscytować takimi torebkami jak ta”. Wyciągając rękę, oddała mi moją birkinę.

To się dobrze składa, pomyślałam, bo musiałabyś sprzedać całe mnóstwo kaszmirowych swetrów, żeby zapłacić za birkinę, nawet takiego jak mój. Jeślibyś w ogóle przekonała kogoś u Hermèsa, żeby ci cokolwiek sprzedał. W co wątpię. Oczywiście nie powiedziałam tego głośno. Rozmyślałam o tym, płacąc za ubrania, na które było mnie stać, a jej nie, i zastanawiałam się nad tym, że na Upper East Side istnieje wiele, bardzo wiele sposobów, by zepchnąć drugą kobietę z chodnika.

Rozdział czwarty

Gejsza z Manhattanu

Zapiski z badań terenowych

Samce wielu gatunków walczą, popisują się, wydają odgłosy albo w inny sposób rywalizują o możliwość kopulacji z dostępnymi samicami. Wyjaśnia to zasada Batemana, która głosi, że płęć, która większość czasu i energii inwestuje w produkowanie, zaopatrywanie i ochronę potomstwa, staje się zasobem limitowanym, o który rywalizują przedstawiciele płci przeciwnej. W większości populacji zwierzęcych liczebność obu płci jest równa. Ponieważ jednak część samic jest regularnie usuwana ze zbioru potencjalnych partnerek z powodu rozmnażania i intensywnej opieki nad młodymi (ciąża i karmienie piersią w przypadku ssaków), stają się one często „płcią limitowaną”.

Dane ze spisu powszechnego prowadzonego pośród ssaków naczelnych wyższego rzędu na Upper East Side pokazują, że istnieje tam dramatyczna nierównowaga liczebności obu płci. Głównie ze względu na migracje z obszarów zewnętrznych (transfer ze stad urodzenia) samice w wieku reprodukcyjnym przewyższają liczbą samców w stosunku dwa do jednego. Ta niezwykła w przyrodzie okoliczność zmieniła relacje między płciami i relacje między samicami w niespotykany i dostrzegalny sposób.

Na Upper East Side to samce stały się tym, czym w innych środowiskach są samice: wybrednymi i cichymi obserwatorami przygotowanych dla nich popisów. Tymczasem skrajne sposoby ozdabiania i rozbudowane praktyki upiększania – nierzadko obejmujące także fizyczne okaleczanie i dostosowywanie ciała i twarzy do bardziej „zadowolającego” wzorca przez różnorodnych „szamanów ciała i twarzy” – są w centrum zainteresowania omawianych tu samic w wieku reprodukcyjnym, a nawet postreprodukcyjnym.

Podobnie jak codzienne, wysoce rywalizacyjne, szczegółowo obmyślane i wyczerpujące grupowe rytuały wytrzymałości. Wierzy się, że nie tylko oczyszczają i pozytywnie wpływają na ciała samic, lecz także magicznie odwracają fizyczne aspekty upływu czasu, a nawet odwlekają śmiertelność. Samice wykonują te rytuały w swoim środowisku naturalnym, ale w czasie letnich migracji na obszary oddalone około stu mil na wschód przybierają one skrajne formy.



Wkrótce po tym, jak starszy synek poszedł do żłobka, doczekaliśmy się drugiego dziecka, także chłopca. Wówczas byłam już zdecydowanie bardziej świadoma, że standardy dotyczące kobiet w ciąży i młodych matek na Manhattanie, a szczególnie na Upper East Side, są zadziwiające. Na pewno i tu, i na południu miasta ciąża była dziewięciomiesięcznym zmuszającym do rywalizacji maratonem o wysoką stawkę. Nie ulegało jednak kwestii, że kobiety z UES zasługiwały na nagrody za ich absolutny, podobny sportom ekstremalnym wysiłek związany z noszeniem ciąży. Dookoła mnie kobiety w trzecim trymestrze pomykały na szpilkach, do północy bywały na kolacjach, w modnych restauracjach i na imprezach charytatywnych. Nosiły fantastycznie dopasowane ubrania ciążowe od projektantów i były niezwykle precyzyjnie i zdumiewająco zadbane. Ubierały się i prowadziły życie towarzyskie, jak gdyby nic się nie zmieniło, nadal biegały dookoła sztucznego jeziora i rzeźbiły mięśnie brzucha na fitnessie. Ciąża na UES najwyraźniej miała być możliwie najlepszą, najatrakcyjniejszą, najelegantszą ciążą – czyli taką, podczas której udaje się, że wcale nie jest się w ciąży. Oczekiwania co do wyglądu – trzeba być olśniewającą i zachwycającą – były sztywne, rygorystyczne i niekończące się.

W porównaniu z moimi ciężarnymi rówieśniczkami byłam straszliwym leniem. Po prostu nie byłam w stanie nadażyć. Miałam wzdęcia i wszystko mnie swędziało, dostałam trądziku. Byłam zmęczona, zanim jeszcze wstałam z łóżka. W kwestii zaś dbania o siebie kompletnie nie trzymałam się społecznego skryptu o wielkowiejskiej ciąży. Przy pierwszej ciąży chodziłam na jogę dla kobiet w ciąży i pilates dla kobiet w ciąży, i wszystko, co było dla kobiet w ciąży, za to tym razem nie wykonałam nawet pół ćwiczenia, jeśli nie liczyć biegania po mieście, by pozalać różne sprawy (czy może raczej dreptania jak kaczka), albo wychodzenia do biura, gdzie zamierzałam pisać, ale głównie drzemałam. Jedzenie mnie nie zajmowało, może poza obmyślaniami, jak utrzymać w żołądku odżywcze napoje, które zalecił mi pić mój ginekolog, bo ze względu na silne poranne mdłości traciłam na wadze. Miałam wiecznie zaczerwienione oczy – naczynka pękały z powodu wielokrotnych codziennych wymiotów. Według mojego męża wyglądałam jak patyk z piłką do kosza na wysokości brzucha. Powoli zdałam sobie sprawę, że właśnie to uczyniło mnie piorunochronem dla otaczających mnie kobiet, testem projekcyjnym dla ich poglądów na ich własne ciało oraz sposób odżywiania. „Ty franco!” – powiedziała jedna z nich. „Ja też chcę mieć poranne mdłości!” A inna zachwycała się: „Boże, wyglądasz fantastycznie!” – całkowicie ignorując moją poszarzałą, pryszczatą cerę, koncentrując się za to wyłącznie na patykowatych rękach i nogach.

Mój kilkulatek także okazał się czymś w rodzaju testu Rorschacha dla kobiet, z którymi spędzałam wówczas dni. „Rety, jest taki szczupły i ma takie długie nogi!” – komentowały ciągle, gdy siedziałyśmy na placu zabaw, patrząc na

nasze bawiące się dzieci. Coś w tonie ich głosu pozwalało sądzić, że jego budowę uważają za moją lub jego zasługę. Nigdy wcześniej nie widziałam dorosłych kobiet tak intensywnie skupiających się na ciele dziecka i przypisujących mu tyle znaczeń. W gruncie rzeczy tęskniłam za pulchnymi łapkami i pysiami mojego syna, dzięki którym był takim słodkim maluchem. Ale mogłabym przysiąc, że niektóre matki zazdrościły mi chudego dziecka.

Wiele ich przekonań czy kodów kulturowych uważałam za dziwne, ale poza tym byłam do nich podobna. Ich zaabsorbowanie i normy postępowania, jak potrzeba posiadania birkinki, stawały się moimi. Taki mniej lub bardziej świadomy proces dopasowywania się to habituacja, najprostsza forma uczenia się, która polega na tym, że zwierzę po długotrwałej ekspozycji na bodziec przestaje na niego reagować i zaczyna się do niego przystosowywać. Niezwykle płochliwe i czujne pieski preriowe, które żyją w pobliżu człowieka, w pewnym momencie nie podnoszą alarmu, gdy się obok nich przechodzi, zaczynamy być dla nich czymś w rodzaju białego szumu. Jelenie przyzwyczyły się do tego, jak brzydko pachniemy (w Michigan dowiedziałam się, że często, zanim jeszcze dostrzeże się jelenia, słyhać jego głośnie prychnięcie, chrząknięcie odrazy z powodu wstrętnego odoru człowieka, jeśli się akurat stoi pod wiatr), i podchodzą blisko, żeby paść się w naszych ogródkach. Tak więc otoczona ludźmi ubranymi w stylu, który zaledwie kilka miesięcy wcześniej opisałabym jako deprymująco obcy, teraz sama ubierałam się nieco bardziej zachowawczo, nieco drożej i nieco staranniej. Miałam wrażenie, że to ostateczna kapitulacja mojego dawnego ja. Kiedy jednak poddałam się habituacji, sam proces przestał być nieprzyjemny. W wielu kwestiach moje życie stało się prostsze, byłam jak piesek preriowy, który przestał zwracać uwagę na wszystko, albo jak jelen, który stwierdził, że niepokojący zapach nie jest w gruncie rzeczy taki znów niepokojący. Tamta ja, tamten sposób reagowania i bycia, tamta młoda mama z południa Manhattanu, z poczochną fryzurą i wielkimi planami... zniknęła. Okazało się, że pragnę coraz jaśniejszych blond włosów, birkinki, kurtki od Barbour i frymuśnych, szmaragdowych welurowych balerin z kocią mordką. I poddałam się temu. Gdy zatem pewnego pięknego jesiennego dnia zaczęłam rodzić, postanowiłam się odważyć i poszłam jeszcze do fryzjera ułożyć włosy.

Najpierw zadzwoniłam do Lily. Sama właśnie urodziła dziecko – śliczną dziewczynkę o imieniu Flora, która przestawała kwilić w momencie, gdy mój mąż brał ją na ręce. Rozmawiałyśmy o tym, czy moje ostatnie skurcze, które odczuwałam mniej więcej od tygodnia, to fałszywy alarm zapowiadający nadejście wielkiego dnia. Lily była zdania, że nie. Ale jako matka czworga dzieci była spokojna o wybór właściwego momentu. „To nie jest twoje trzecie dziecko. Te zawsze się rodzą do nogawki albo w taksówce. To dopiero drugie, więc może po prostu pójdz na spacer i zobaczysz, co się wydarzy”.

Poszłam prosto do salonu fryzjerskiego, gdzie umyto mi i ułożono włosy.

Stwierdziłam, że zdążę jeszcze zrobić manicure i pedicure. Następnie rozważałam pielęgnację okolic poniżej pasa, ale skurcze miałam już co minutę, więc zadzwoniłam po męża.

„Co?! Musimy jechać!” – wrzasnął. Gdy jechaliśmy do szpitala, kierowca zbyt wielkiego i zbyt drogiego SUV-a, który nas wiozł, błagał: „Proszę pani, niech pani nie rodzi w moim aucie! Niech się pani wstrzyma!”.

Parę minut później z nogami w strzemionach fotela porodowego przeproszałam mojego ginekologa, że jestem tam na dole taka zapuszczona. Zauważył, gdy mojemu synkowi wychodziła główka, że wiele jego pacjentek tuż przed porodem decydowało się na depilację brazylijską, czego zupełnie nie potrafił zrozumieć. Wspomniał też, że niesłychanie wzrosła liczba cesarek na życzenie, wykonywanych, by „nic się tam na dole nie rozciągnęło”. Wiele jego pacjentek od razu także dzwoniło do chirurgów plastycznych, by zaraz po narodzinach dziecka poprawiać sobie brzuch. To wariactwo, pomyślałam, prąc. Lecz nawet kiedy położono mi na piersi mojego synka – był taki duży! miał jasne włoski i był prześliczny! – żałowałam, że przed porodem nie usunęłam owłosienia z ud. I mimo że prawie urodziłam w cadillacu escalade, do czego się przyznaję, gdy patrzę na zdjęcia, na których zaraz po porodzie trzymam w ramionach swoje dziecko, cieszę się, że poszłam ułożyć sobie włosy.



Niemal wszystkie bogate młode matki z Zachodu poddawane są fizycznemu i emocjonalnemu rygorowi „odzyskania ciała sprzed ciąży”. Ta pozytywna zwyczajowa nazwa jest jednak fałszywa i okrutna, gdyż sugeruje, że taka mrzonka jest w ogóle możliwa do osiągnięcia. Pierworódki i wieloródki (czyli te, które mają jedno lub więcej dzieci) nie są przecież nieródkami. Nie da się odzyskać ciała sprzed ciąży, ponieważ nie da się znowu być kobietą, która nie nosiła ciąży. Bo właśnie urodziłaś dziecko. Następstwem presji, by zachowywać się tak, jakby ciąża nie była w niczym przeszkodą, jest udawanie, że to wszystko – cały ten bałagan z brzuchem, pochwą, piersiami i żebrami, nadwreżonymi tak, że lepiej o tym nie myśleć – nigdy się nie wydarzyło. Nie mamy obwisłych piersi ani tłuszczu na brzuchu! W dodatku, jakby samo to nie było wystarczająco nierealistyczne, oczekuje się od nas, że „wrócimy do normalności” w absurdalnie krótkim czasie.

Po narodzinach każdego z moich dzieci z utęsknieniem wspominałam chiński obyczaj, który nakazuje kobiecie w połogu przez miesiąc leżeć w łóżku i wstrzymać się od pracy w polu lub innej przez następne kilka miesięcy. Otaczają ją opieką krewne i nie wolno się jej męczyć, więc może skupić się wyłącznie na noworodku i wracaniu do formy. Tutaj za to szpital wypisuje nową matkę w ciągu dwudziestu czterech lub czterdziestu ośmiu godzin od porodu (za czasów mojej mamy był to tydzień). Rodzicom z nieuprzedzonym, niezachodniego świata

takie zwyczaje wydają się kompletnie barbarzyńskie.

Przestrzegając więc naszego skryptu społecznego, wraz z dzieckiem szybko znalazłam się w domu. W przeciwieństwie jednak do wielu przedstawicielek mojego gatunku, które stawiały na sztuczne mleko, gdyż, jak twierdziły, nie chciały ciekających piersi ani pogryzionych sutków, ja wybrałam karmienie piersią, tak jak w przypadku pierwszego syna, i szybko zyskałam wprawę w opiece nad maluchem. Miałam szczęście, że karmienie piersią ani dla mnie, ani dla moich synków nie okazało się trudne. Wiedziałam, że ma to długofalowy korzystny wpływ na dziecko, ale – tak jak większości manhattańskich mam – karmienie piersią podobało mi się także dlatego, że słyszałam, iż pomagało szybciej „wrócić do figury sprzed ciąży”. Znajome mówiły, że karmiąc, spalałam jakieś sześćset albo siedemset kalorii dziennie. Pod koniec ciąży mdłości nieco ustąpiły, więc przybrałam przepisowe kilogramy. Teraz zaś karmiłam nie tylko ze względu na dziecko, lecz także na obwód w pasie. Kiedy synek miał jakieś pięć miesięcy, stwierdziłam, że czas już wrócić do regularnych ćwiczeń.

Chociaż mój ginekolog mądrze pouczał, że urodzenie dziecka i dojście do siebie to „dziewięć miesięcy pod górę i dziewięć miesięcy z góry”, podobnie jak koleżanki nie uważałam, że mam aż tyle czasu. Spieszyło mi się, by znów być dawną, jędrną sobą, i drżałam z obawy, że mi się to nie uda. Lęk ten dopada matki w całym kraju, a czasopisma takie jak „Fit Pregnancy” (Cięża Fit), „New Mommy Workout” (Trening Młodej Mamy), rygorystyczne ćwiczenia pociążowe na DVD albo treningi online podtrzymują tylko tę zbiorową trwozę. Tu jednak, na Upper East Side, lęki i presja są jeszcze większe. Kobiety z Nebraski albo Michigan mogą sobie w wolnej chwili wskoczyć na bieżnię stojącą w piwnicy, nie jeść pączków i nie spieszyć się ze zrzucaniem ostatnich paru kilo, a nawet z nimi zostać. Matki z mojego plemienia to zupełnie inna historia. Tak jak musimy być wyjątkowo piękne przez całą ciążę, musimy też być najbardziej atrakcyjnymi matkami noworodków, niemowląt, małych dzieci, jak tylko się da.

Jako że chodziło o Upper East Side, trzeba było pilnować priorytetów, więc gdy postanowiłam ćwiczyć, trzeba było się udać na zakupy. Wybór padł na Lululemon – które przyćmiło markę Athleta i do czasu, gdy byłam gotowa do ćwiczeń, stało się nieodłącznym i wszechobecnym elementem strojów matek z Upper East Side. Obcisły, lecz grubszy niż inne spandex, wstrząsająco wygodny, z uroczymi detalami (oraz mnóstwem zabawnych nadruków) i sprytnymi rozwiązaniami ułatwiającymi życie kobiety, odpowiadającymi na jej potrzeby i pragnienia (na przykład kieszonki w takich miejscach, w których nie wygląda to grubo) – Lululemon stało się nieodłączną częścią mojego otoczenia. Oznaczało: „Mam czas, by ćwiczyć, i widać tego rezultaty”. Gdy po raz pierwszy założyłam spodnie i dopasowaną bluzę, zrozumiałam, że ich urok polega częściowo na tym, że nie są to po prostu niezwykle obcisłe i formujące sylwetkę ubrania. Nie są to

tylko ubrania – służą także jako pas wyszczuplający albo egzoskielet spłaszczający wypukłości, zasłaniający i trzymający do kupy, mimo że wydawał się pokazywać wszystko. Przez pierwszy rok lub dwa lata po tym, jak marka podbiła ulice, kobiety nosiły luluspodnie do dłuższych lulutunik albo lulubluz, by zakryć okolice pupy i krocza. Albo wiązały lulubluzki z długimi rękawami wokół pasa. Wtedy nagle nadeszła chwila, kiedy kobiety zbiorowo zadeklarowały: „Mamy krocza i tyłki. Zaakceptujcie to!”. Habituacja była natychmiastowa. To, co początkowo wydawało się ekshibicjonizmem – pokazywanie brzusznej i grzbietowej części ciała samicy *Homo sapiens* między jej talią a łonem – przestało zwracać czyjąkolwiek uwagę. Cóż mieli zrobić mężczyźni, jeśli nie wykształcić w sobie niewrażliwość na zalew odzianych w lululemon dolnych partii – prawie nieustanną, nieuniknioną ekspozycję?

Stawałam się więc właścicielką coraz większej liczby ubrań od Lululemon. Kupiłam dopasowaną lulubluzę i luluspodnie, dopasowane lulutopy z krótkim rękawem i głębokim dekoltem, jaskrawe dopasowane koszulki na ramiączkach. Kupiłam biustonosze zaprojektowane specjalnie, by pasowały pod topy i koszulki. Mieli nawet specjalne lulustringi i „niewidzialną” bieliznę z mikrofibry – jej krawędzie niemal rozmywały się w nicość, żeby uniknąć WLM (Widocznej Linii Majtek). W Lululemon była też fitterka, która stawiała cię na podeście otoczonym trzema lustrami jak prawdziwy krawiec i z powagą opowiadała, jakie buty powinnaś nosić, jakiej długości powinnaś mieć spodnie i z jakim obszyciem – jakby to były prawdziwe spodnie, a ty byłabyś biznesmenem w Brooks Brothers. Cóż, to był biznes. I to w dodatku bardzo poważny.

Ubrana od stóp do głów rozważałam różne opcje treningów i szybko zorientowałam się, że odkąd urodziłam dzieci, ogromna zmiana dokonała się nie tylko w sportowej garderobie, ale i w sposobie ćwiczenia. Podczas gdy ja jak głupia ćwiczyłam pilates i jogę oraz od czasu do czasu biegałam po parku, dokoła mnie członkinie plemienia, które badałam, dzieliły się na podplemiona, przysięgając lojalność jednemu z dwóch niesamowicie popularnych kultów: zajęciom przy drążku baletowym zwanym Physique 57 albo szybkiej jeździe na rowerze zwanej SoulCycle. Co za bzdura, pomyślałam, kiedy koleżanka podesłała mi filmik z YouTube’a, na którym kobiety w SoulCycle, siedząc na rowerkach stacjonarnych, od pasa w dół pedałowwały z prędkością światła, a powyżej pasa wykonywały najróżniejsze figury z jogi. Wyobraziłam sobie konsternację archeologów z przyszłości („Poruszają się, a jednak się nie przemieszczają”). Dajcie spokój, westchnęłam w myślach, gdy w kawiarni inna koleżanka opowiadała o swoich zajęciach w Physique 57, gorąco przekonując, że odmieniły one jej ciało w zaledwie sześć 57-minutowych sesji. Brzmiała jak żywa reklama. Następnie podniosła koszulkę i pokazała mi swoje mięśnie brzucha, a ja prawie poplułam się zieloną herbatą. Były jak wyrzeźbione. Po zaledwie sześciu

godzinach. Od razu poczułam motywację.

Przejrzałam ich stronę internetową i dowiedziałam się, że mają supernowoczesne sale z lustrami, w prestiżowych lokalizacjach i specjalne wyposażenie: bariery do baletu na różnych wysokościach, piłki do ściskania i wzmacniania mięśni, gumowe taśmy do stretchingu i wyrabiania brzucha, maty i poduchy, wykładziny, które ułatwiały ćwiczenia na podłodze. Przeczytałam „historię” Physique 57: firma została założona przez dwie adeptki metody Lotte Berk, po tym jak bardzo popularny, oparty na balecie klub fitness zamknął swoje podwoje w Hamptons. Obejrzałam filmiki, w których osoby czczące świątynię Physique 57 dawały świadectwo – kobiety, która pokonała drogę od załamania do fit. Wiele z nich niemal płakało, opisując swoje doświadczenia. Obiecywano, że dostrzegę zmiany w ciele już w ciągu ośmiu sesji, trwających mniej niż godzinę każda, oszczędzając sobie tym samym każdorazowo 180 sekund.

Odziana w lululemon pewnego wiosennego poranka zawitałam więc do pobliskiego studia. Pomieszczenia były przestronne i czyste, wysokie sufity, białe ściany, w niektórych salach drewniane podłogi, w innych niebieskie wykładziny. Ładna kobieta w rejestracji zanotowała, że to moje pierwsze zajęcia, i dała mi do podpisu umowę. A potem zaszczębiotała: „Czy ma pani własne skarpety?”. Co? Chodziło jej o skarpety antypoślizgowe, jak się dowiedziałam, czarne lub szare stopki z wyhaftowaną z tyłu małą 57 i z podeszwą w jasnoniebieskie gumowane kropeczki, dzięki którym miałam się nie ślizgać po podłodze. Natychmiast kupiłam parę, a zakładając je, myślałam o członkach sekty, którzy w latach dziewięćdziesiątych popełnili grupowe samobójstwo i wszyscy mieli na sobie identyczne najki. „Będzie pani pewnie potrzebowała też wody” – przyszła z pomocą recepcjonistka, wręczając mi butelkę, i powiedziała, że dopisała ją do mojego rachunku. Miałam asystentkę jak w prywatnym klubie.

Z ulgą dostrzegłam swoją znajomą, wybitnie wysportowaną Monicę, twardą szefową funduszu hedgingowego i matkę trojga dzieci, rozciągającą się przed lustrem. „Nie wiedziałam, że chodzisz do Physique!” – wykrzyknęła z entuzjazmem, gdy się witałyśmy. „Daj mi to”. – Ustawiła moją wodę pod barierką przy lustrzanej ścianie. A potem wzięła dwa pięcioletowe ciężarki dla mnie i ustawiła je obok swoich na wykładzinie. „Musisz sobie zająć miejsce, zanim przyjdzie reszta” – wyjaśniła. Super, miałam przewodniczkę. Gdy rozmawiałyśmy, sala się wypełniała. Kobiety ustawiły się ciasno, dziwnie ciche i poważne, i rozciągając się, przyglądały się swoim odbiciom w lustrze. Każda, bez wyjątku, miała na sobie czarne legginsy Lululemon, długie lub trzy czwarte, czarne topy z bokierskim dekoltem oraz czarne skarpety antypoślizgowe Physique 57. Większość wyglądała na niezwykle wysportowane: miały wyrobione tricepsy, płaskie brzuchy, małe pupy, które wydawały się zaprzeczać grawitacji. Na zajęciach nie było żadnych mężczyzn, poza wysokim instruktorem, umięśnionym

i gładkim, w słuchawkach z mikrofonem. „Witam wszystkie panie” – zamruczał. „Podnieśmy sobie tętno!” Jego głos ryknął ze strategicznie umieszczonych w rogach sali głośników i natychmiast stanęłyśmy na baczność.

Rozległ się kawałek Beyoncé, a nam kazano robić wykrok, wykrok, unieść kolano do przeciwnego ramienia, skręt, skręt. W ten sposób rozpoczął się trening tak rygorystyczny, trudny, wyczerpujący i bolesny, że parę razy obawiałam się, że zwymiotuję. Pracowałyśmy nad każdym możliwym mięśniem w ramionach, z ciężarkami, jednocześnie wykonując przysiady, wypady nogami do przodu i skłony. Robiłyśmy pompkę za pompką. „Kiedy poczujecie zmęczenie, chcę, żebyście je zwalczyły” – zaintonował trener, jakby to był nasz własny ruch obrony praw człowieka. A była to jedynie dziesięciominutowa rozgrzewka. Teraz mogłyśmy odłożyć ciężarki do metalowych koszyków znajdujących się na półkach w kącie. Byłam zdumiona agresywnością, z którą kobiety – przeważnie trzydziesto- i czterdziestolatki – porzucały je, a także szybkością, z jaką powracały na swoje miejsca przy barierce. Jakimś cudem każda wiedziała, która z wielu identycznych butelek wody i który z identycznych białych ręczników należały do niej. Ale jak? „Chodź tutaj” – szepnęła Monica, więc szybko zajęłam miejsce obok niej.

Ku mojemu zdziwieniu instruktor kazał „przyjąć wyprostowaną pozycję V i trzymając się drążka, rytmicznie się obniżać”. Naśladowałam swoją koleżankę i wydawało mi się, że rozumiem – robiłyśmy *miniplié*, jak w balecie. Nie ma problemu, ćwiczyłam to przez całe dzieciństwo. Jednak po stu powtórzeniach myślałam, że mi nogi odpadną. A dopiero zaczynałyśmy. Podnosiłyśmy najpierw jedną, potem drugą nogę, w precyzyjnej sekwencji ruchów, dzięki której każdy mięsień był doprowadzany do granicy wyczerpania i nieopisanego palącego bólu. Rozejrzałam się dokoła, próbując napotkać spojrzenie innych, tak jak się szuka sojusznika w trudnej sytuacji, a wtedy ktoś inny z reguły mruga okiem albo posyła uśmiech, który ma oznaczać „Nie jesteś sama!”.

Nic. Nikt się nie uśmiechnął. Żadna nie powiedziała ani słowa. Odwracały wzrok, pozostając w swych odrębnych, zatimizowanych prywatnych strefach osiągnięć i katuszy. Gdzie ja, do cholery, byłam, w metrze? Nigdy wcześniej nie byłam na treningu tak wyczerpującym, w dodatku w miejscu tak pozbawionym żartobliwej, koleżeńskiej atmosfery. Ani tak cichym. Nie było słyhać żadnych sapnięć ani jęków, żadnych „Boże, nie dam już rady”. Było tu podobnie jak na korytarzach w szkole mojego synka – można było pomyśleć, że się nie istnieje, taka tu panowała wroga obcość, a wrażenie wyobcowania dominowało w zatłoczonej sali. Czasem trener rzucał jakąś zabawną uwagę o którejś z nas, żeby przełamać lody, albo mówił coś motywującego czy proponował pomoc. Najwyraźniej komunikował się w imieniu wszystkich i jako jedyny w tej sali posiadał osobowość.

Podczas gdy ja musiałam co chwilę robić przerwy, moja koleżanka nie opuściła ani jednego taktu, *plié* ani przysiadu. To był trening dla najambitniejszych. Uświadomiłam sobie, obserwując ją kątem oka, że jest tak skupiona jak w pracy przy którymś ze swoich kontraktów albo jak wtedy, gdy szukała dziecku dobrej szkoły. Niczym maszyna – była uważna, dokładna i opanowana. Tymczasem dokoła wszystkie kobiety, ubrane w identyczne stroje, wykonywały identyczne ruchy w doskonale zsynchronizowanej harmonii. Ramiona w górę. Ramiona w dół. Wykop. Przyciągnięcie. Kolejne, jeszcze dziwniejsze komendy padały w języku, który rozumiały kobiety wokół mnie.

„Unieść się! Macie na sobie czólenka” – krzyknął trener. A potem: „Założcie swoje najwyższe szpilki!” i „Włóżcie ołówkową spódnicę i usiądźcie przy swym biurku na krześle obrotowym” – co oznaczało, że należy zgiąć kolana i obrócić się twarzą do drążka. Następnie padła komenda „narty wodne”, czyli polecenie, które najwidoczniej oznaczało „podejść do drążka i trzymając go mocno nadwerężonymi, bojącymi rękami, odchył się całym ciężarem ciała, a potem wypychaj miednicę w stronę sufitu”. Powtarzałyśmy to w nieskończoność, póki nogi nie zaczęły się trząść i póki nie zapomnialiśmy, że to ćwiczenie nie mogło być już bardziej seksualne ani bardziej bolesne. Po tym, jak ćwiczenia na uda i pupę się skończyły – a skończyły się? dzięki Bogu, bo w życiu mnie tak tyłek nie piekł – nadszedł czas na trening brzucha. Mogłoby się to też, o wiele trafniej, nazywać wystawą kroczy. Usiadłyśmy plecami do ściany, uniosłyśmy nogi ponad głowy, dłońmi chwyciłyśmy drążek i podciągałyśmy do niego nogi, ułożone w kształt diamentu. Cieszyłam się, że na zajęciach nie ma mężczyzn, bo sama bardzo się starałam nie przyglądać tuzinom kroczy podkreślonych przez spandeksowe legginsy Lululemon. Sądziłam, że innym też to się musi wydawać dziwne, ale ponownie nie zauważyłam ani jednego uśmiechu, nie było kontaktu wzrokowego ani żadnej innej interakcji. Pracowałyśmy nad każdym mięśniem brzucha, jaki można sobie było wyobrazić, ciągnąc ku niebu, robiąc rowerek, póki kolana nie zaczęły się zginać w drugą stronę, aż miałam ochotę zawyć z bólu.

Następnie położyłyśmy się na plecach na swoich matach i dysząc, unosiłyśmy miednice w górę, do wtóru *Let's Get It On* Marvinie Gaye'a. Myślałam, że zemdleję – z powodu fizycznego bólu, ale też niedającej się opisać dziwności tego nieskładnego doświadczenia grupowego seksu. Gdy było już po wszystkim, wysapałam koleżance słowa pożegnania i pokuśtykałam do domu. Zrobiłam sobie gorącą kąpiel z solami, nakarmiłam dziecko i zasnęłam z nim w łóżku. Przez trzy kolejne dni nie byłam w stanie chodzić po schodach ani w ogóle chodzić bez sporego bólu. Lecz gdy poczułam się lepiej, od razu wróciłam na zajęcia. Czułam wewnętrzny przymus – by doskonalić ruchy, by uzyskać idealne ciało w 57 minut, by oczyścić umysł, by zapomnieć o świecie. Połknęłam haczyk. Stałam się wyznawczynią.

Przez jakiś czas chodziłam tam co drugi dzień. Potem zwiększyłam częstotliwość i chodziłam codziennie, wtedy właśnie zauważyłam, że niektóre kobiety pytały się nawzajem: „Zostajesz na następne zajęcia?”. One ćwiczyły dwa razy dziennie. Wyczerpująca pogoń za ciałem idealnym, olśniło mnie, była testem wytrzymałości. Każdy trening był miniobrzędem inicjacyjnym, skróconą codzienną wersją Tańca Wschodzącego Słońca – wykonywanego raz w życiu rytuału inicjacyjnego dziewcząt z plemienia Apaczów, symbolizującego ich przejście w kobiecość. Przez całe cztery dni, bez ustanku, menstruująca dziewczyna tańczy według specyficznej, skomplikowanej choreografii. Ma na sobie specjalny strój i malunki podkreślające świętość i wyjątkowość tego etapu w jej życiu. W ten sposób pokazuje oddanie swojemu ludowi, swojemu plemieniu i swojej płci. Pod koniec rytuału jest wykończona – ale przeszła inicjację. Po takim tańcu dokonuje się w niej całkowita przemiana, dziewczyna zostaje przyjęta jako kobieta Apaczka. A kobiety w Physique? Każdym treningiem udowadniają, że mają siłę, czas, zasoby i energię, które mogą poświęcić na własną transformację.

Są, w rzeczy samej, rozpoznawalnym plemieniem. Większość z nich ma charakterystyczny twardy typ ciała, łatwą do rozpoznania (dla wtajemniczonych) postawę tancerki i szczególnie staranny sposób chodzenia, a także inne cechy fizyczne, które kojarzyły mi się ze znajomymi balerini. Rzeczywiście, często łapałam się na tym, że podczas treningu stoję obok profesjonalnych balerin. Były wysokie i zadziwiająco gibkie i czasem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, usiłowałam je naśladować – kopnąć tak wysoko jak one, sięgnąć tak daleko, wykonać obrót z taką samą gracją. Poprzeczka była bardzo wysoko. Chciałyśmy robić wszystko jak profesjonalistki, bo nasza tożsamość fizyczna, tak jak bycie matką, została sprofesjonalizowana. Poza tożsamością było to również powołaniem, czymś, w czym można przodować.

Moje ciało rzeczywiście uległo szybkiej i widocznej zmianie. Pewnie, nadal popuszczałam w majtki, gdy kichałam. Ale z zewnątrz byłam odmieniona, i to – według manhattańskich standardów – na lepsze. Miałam muskularne i wyrzeźbione ramiona – kiedyś podczas lunchu, gdy miałam na sobie bluzkę bez rękawów, przyjaciel gej zauważył: „niezłe bicki!”. Mój brzuch nie tylko stał się płaski – był twardy, z zarysem sześciopaku. Po raz pierwszy w życiu nie martwiłam się udami. A tyłek, cóż, znów odzyskał jędrność.

Mąż był zaskoczony, ale i zadowolony. Zawsze byłam względnie szczupła i szczęśliwie miałam dobry metabolizm, więc nie musiałam się przejmować figurą. Ale teraz w ciągu dnia miałam więcej energii, w nocy zaś lepiej spałam. W rezultacie miałam lepszy nastrój i byłam lepszą partnerką niż w czasie połogu. Stałam się więc gorliwą neofitką, próbującą nawrócić, kogo tylko mogłam, co nie było takie trudne, gdy widzieli korzyści, jakie odniosłam, i słyszeli o nich. W towarzystwie kilku uśmiechniętych i zadowolonych koleżanek, dzięki którym

znikała wroga atmosfera na treningu, ćwiczenia warte trzydzieści pięć dolarów za sesję były zaś dla mnie idealne.



Postanowiliśmy wynająć na lato dom za miastem, w Hamptons. Miałam pojechać tam z dziećmi na całe wakacje i pisać, dzięki opiekunce, która codziennie przychodziłaby pomagać. Mąż zaś miał w tygodniu pracować w mieście, a weekendy spędzać z nami. Hamptons to miejsce pełne plaż, położone na dalekim wschodnim krańcu Long Island. Jest to także miejsce mityczne, a dla wielu – marzenie. Normalnie mieszka tam lub przyjeżdża mnóstwo zupełnie zwykłych ludzi, ale na East Endzie panuje taki przesyt wszystkiego, że normy bogactwa są całkowicie wypaczone. Warte dwadzieścia milionów dolarów (co najmniej) domy z widokiem na morze, z prywatnymi salami kinowymi, piwniczkami na pięć tysięcy butelek wina, lądowiskiem dla helikopterów, garażami na sześć samochodów, prywatnymi salami do pilatesu, a nawet z synagogą to nic niezwykłego. Sporo kolegów ze szkoły mojego starszego synka miało takie właśnie weekendowo-wakacyjne domki. W porównaniu z nimi nasz wynajęty dom był do bólu skromny: trzy sypialnie, basen, cienisty ogród na tyłach, położony w zielonej podmiejskiej enklawie z dostępem do publicznej plaży. Nie mogłabym być bardziej szczęśliwa niż wtedy, pierwszego dnia, gdy starszy syn jechał na rowerku spokojną uliczką, a ja szłam za nim z wózkiem, z którego maleństwo wyciągało szyję i rozglądało się z rozdziawioną buzią. Po raz pierwszy słyszało ptaki. Do tego, by rozpoczynające się lato okazało się jeszcze bardziej idylliczne, wystarczyła mi też wiedza, że niedaleko stąd znajduje się studio Physique 57. Doszłam do wniosku, że jeżdżenie, a nie chodzenie na treningi będzie sympatyczną odmianą.

Następnego ranka udałam się więc na ćwiczenia, podczas których przeżyłam szok. Dojechałam na miejsce dobry kwadrans wcześniej, ale na parkingu i tak nie było już miejsc. Kiedy toczyłam się żwirowym wzgórzem w poszukiwaniu wolnej przestrzeni, zza rogu wyjechała kobieta w czarnym maserati, zajeżdżając drogę tak, że prawie wbiła mi się w bok. Jednocześnie wcisnęłyśmy hamulce, a potem ona pokazała mi środkowy palec, wcisnęła gaz i z rykiem silnika pojechała dalej. Blondynka z czarnego range rovera za mną zezłościła się na to, że się na ułamek sekundy się zatrzymałam, i docisnęła klakson, krzycząc: „No dalej, ruchy!”. Inna, w jaskrawo fioletowym topie i w czerwonym kabriolecie porsche 911, uniosła rękę w geście rozdrażnienia i potrząsała nimi, po czym jej twarz zastygła w grymasie, gdy już parkowałam – kto wie, o co jej szło?

Zaszokowana, spiesząc się, wpadłam do studia i zajęłam sobie miejsce. Szybko otoczyły mnie: kobieta z czarnego maserati, z czarnego range rovera i z czerwonego porsche. Zastanawiałam się, co, do cholery, sprawiało, że uważały, że mogą się zachowywać tak wrogo wobec innych, obok których najprawdopodobniej

będą zaraz ćwiczyć przez godzinę. Być może, podejrzewałam, skoro już tu dotarły, były tak zaabsorbowane sobą, tak skoncentrowane na udoskonalaniu swojego ciała, że inni dosłownie dla nich nie istnieli. Po chwili zaś, gdy sapałyśmy i dyszałyśmy, udając, że nikogo innego nie ma, zauważyłam, że otaczają mnie wielkie, sztuczne piersi. I wyjątkowo wyraziste kości policzkowe. I duże okrągłe twarze, naciągnięte od wypełniaczy. Widocznie Hamptons było centrum dla hiperambitnych, hiperkonkurujących w zakresie pokazywania ciała i wiecznie młodych twarzy. Kobiety z Upper East Side chciały być wysportowane, ale te, które przyjeżdżały do Hamptons, chciały móc się tym pochwalić w bikini i w otoczeniu dwudziestokilkuletnich modelek lub instruktorek fitnessu, zjeżdżających tu każdego lata, by szukać imprez i bogatych chłopaków. Tym razem poprzeczka była tak wysoko, że nie tyle jej nie dosięgałam, ile nawet jej nie widziałam. Jednak moje rówieśniczki nie poddawały się tak łatwo. Starzenie się, jak nieudane urodziny, było zaledwie awarią – czymś, co należy przezwyciężyć wysiłkiem, zaangażowaniem i gorliwością.

Kolejną kwestią, która przykuła moją uwagę w tutejszym Physique 57, była lokalizacja studia. Znajdowało się ono w tym samym budynku co SoulCycle. Oba kluby mieściły się w przerobionej stodole na Butter Lane w Bridgehampton. A skoro walczyłam z nimi o wolne miejsca parkingowe, miałam okazję, by lepiej się przyjrzeć tej frakcji plemienia. Na pierwszy rzut oka wydawały się takie jak my, jeśli chodzi o intensywność wysiłków, zaangażowanie i silną identyfikację klanową. Wszystkie też nosiłyśmy takie same obcisłe spodnie, czasem z liniami przecinającymi tylną część i zwracającymi uwagę na nasze tyłki, co kojarzyło mi się z jaskraworóżowymi oznakami rui u innych niż ludzie prymatów. „Popatrzcie na mnie! Mam ruję!” – wydawały się krzyczeć nasze opięte spandeksem, podkreślone pupy. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. SoulCyclerki były przede wszystkim bardziej wykluczające, jeśli to w ogóle możliwe, gdyż były bardziej spoufalone – z sobą. Ale z nikim innym. Doświadczylam tego na własnej skórze, gdy powiedziałam „hej” do grupki matek SoulCyclerek, które, jak mi się wydawało, znałam z miasta – zostałam bezceremonialnie zignorowana.

Ich lojalność plemienna obejmowała także uniformizację, która tworzyła więź między nimi i jednocześnie podkreślała odmienność od nas. My byłyśmy aspirującymi balerinkami, a one motocyklistkami, bogatymi mamuškami, które, choć trudno w to uwierzyć, nosiły się jak gangsterzy. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam kobietę w chustce złożonej i zawiązanej na głowie w stylu gangów z LA oraz w obcisłych spodniach z pionowym napisem POSSE na nogawce, miałam ochotę podejść i szepnąć do niej: „W zeszłym miesiącu widziałam cię na bat micwie córki Margie Levine w synagodze Emanu-El. Nie jesteś tak naprawdę w żadnym gangu!”.

Różniły nas nie tylko strój czy sposób zachowania. Przede wszystkich

chodziło o to, co robią. Za mniej więcej osiem tysięcy dolarów rocznie wykupowały rower w pierwszym rzędzie w którymś z klubów. Na treningach ryczały, jęczały i krzyczały beztrosko, pedałując w rytm ogłuszającej, rytmicznej muzyki. Pociły się. Przeklinały. I z tego, co mi wiadomo, także pierdziały. Miały wszystko w nosie, gdy tak łączyły się ze swą ekstatyczną wewnętrzną wspaniałą gangsterską ujeżdżaczką rowerka stacjonarnego. Pewna kobieta, która chodziła na oba treningi, wyjaśniła mi, że SoulCycle to mieszanka parnego klubu nocnego i hot jogi (wyłączają światło w sali treningowej i pedałują przy świecach), a Physique 57 to sztywna szkoła dla dziewcząt.

Opinię, że one są bardziej dzikie, zabawowe i zdecydowanie bardziej cool, że są jak birkinys w porównaniu z naszymi Kelly, dobrze obrazuje powszechnie znana opowieść o SoulCycle. Otóż legenda głosi, że matka jednego z dzieci z ekskluzywnej szkoły mojego syna, żona finansisty miliardera i osławionego babiarza, odkryła swoje prawdziwe ja w SoulCycle. Mówią, że ta nieszczęśliwa w małżeństwie kobieta zaczęła jeździć na rowerze, zakochała się w instruktorce, odeszła od męża i odtąd jeździła długo i szczęśliwie w pierwszym rzędzie, tuż obok swojej wybranki w studiu na East Side. W tej opowieści jest wszystko. Ich kobiety są dzikie i zuchwałe, nie boją się eksperymentów. A my jesteśmy zasadnicze i unikamy ryzyka. One ryzyko podejmują, są swobodne, podczas gdy my ostrożnie popijamy wodę z naszych butelek wolnych od bisfenolu. One były lesbijkami, my hetero. Albo raczej one były twardzielkami na stacjonarnych harleyach, a my kobietkami w czółenkach.

Nie będę kłamać – uważałam, że SoulCyclerki są zbyt... zbyt. Królowa Królowych Pszczół też była SoulCyclerką, więc choćby to mnie od nich odrzucało. Mieszkając jednak od lat w centrum miasta, przyznaję, podśmiewałam się trochę, gdyż odnosiłam wrażenie (które, oczywiście, mogło być całkowicie błędne), że wiele matek z SoulCycle wierzy, że ćwiczenia nie tylko poprawią ich kondycję, lecz także dzięki nim staną się one ostre i cool. Bez przesady! – myślałam, gdy pohukiwały niczym początkujący raperzy i mówiły na siebie per „bicza”. Przypominały nastolatki z przedmieścia, które w skórzanych kurtkach wsiadały w pociąg i jechały spędzić wieczór w mieście, udając, że są twardsze i bardziej buntownicze niż w rzeczywistości. Wolę już wyjść na nadętą matronę – pomyślałam, gdy po raz pierwszy zobaczyłam, jak po zajęciach przybijają żółwika – niż tak przeginać. Więc, proszę, możecie mnie nie rozumieć i nie doceniać. To prawda: w kwestii lojalności wobec Physique 57 przekroczyłam wszelkie granice.

Niezależnie jednak od tego, jak postrzegasz Physique 57 i SoulCycle – dwie tak odmienne wersje ćwiczeń i „kobiecości”, dostępne w płemieniu, które badałam – oba te treningi wymagają wiele wysiłku. I oba tworzą tożsamość, budują iluzję, że obecność na zajęciach nie tylko podnosi ci tętno i poprawia kondycję, lecz tak naprawdę zmienia to, kim jesteś. Tamtego lata nie mogłam przestać myśleć

o dziewczętach, które w przedwojennej Japonii uczyły się, by zostać gejszą. Odizolowane, podlegające ścisłej hierarchii i surowym wymaganiom. *Oki-ya*, gdzie były uczone przez starsze gejsze, stanowiło osobny świat, w którym panowały inne zasady, przekonania, a także kodeksy piękna i zachowania. Trzeba było lat ciężkiej pracy i gorliwości, sumiennej nauki, by osiągnąć mistrzostwo w pozornie łatwych, lecz szczegółowo zaplanowanych rytuałach gejsz, by nauczyć się bycia piękną „na sposób gejsz”. Po ukończeniu tego procesu każda z dziewcząt przestawała być kimś zwykłym i stawała się „kwiatem”. Stawała się czymś, czego mężczyźni pragnęli najbardziej, nieskazitelną gospodynią, doskonałą towarzyszką, uosobieniem najbardziej wysławianego kulturowego ideału kobiecości. W ten sposób zdobywała podziw całej społeczności.

Wszystkie te ćwiczenia, fanatyzm i ofiarność w dążeniu do bycia pewnym szczególnym rodzajem wspaniałej, wysportowanej i szykownej manhattańskiej gejszy posiadającej dzieci, cała ta tożsamość i ambicja związane z treningami dla pokolenia mojej matki i dla niej samej byłyby nie do pomyślenia. Ona bowiem, tak jak jej rówieśniczki, bywała na diecie. Po urodzeniu dzieci przez kilka tygodni lub miesiące kobiety z jej pokolenia wytrzymywały na czarnej kawie, płatkach śniadaniowych z chudym mlekiem, melonie, tostach i chudym białym serze. W późniejszym wieku uprawiały spacer marszem albo próbowały joggingu. Ale przede wszystkim pilnowały wagi, uważając na to, co jedzą. W tamtym pokoleniu po trzydziestce nie było się już na topie. Dostawały – i same sobie dawały – przyzwolenie, by w pewnym momencie trochę sobie poluzować. Pewnie, wychodziły wieczorami i bawiły się. Ale bywały zmęczone, bo zwykle – ze względu na koszty i ówczesne standardy – nie miały pełnoetatowych niań ani nawet opiekunek na parę godzin dziennie. Po wielu było to widać. Około trzydziestego piątego roku życia mogły już nawet zacząć siwieć.

Dla plemienia, w którym żyłam i które badałam, nie było chyba nic bardziej dziwnego. Poddawanie się nie było dla nich. Przenigdy. Nie dla nich leniwe i bierne ograniczanie jedzenia. Dla nich zaś aktywna, zaangażowana pogoń za szczupłością, do której zobowiązywano się na zawsze. Tak jak gejsze, które uczyły się żmudnej ceremonii parzenia herbaty czy zasad prowadzenia wyrefinowanej konwersacji, kobiety dokoła mnie były skłonne niemal się zabić, byle wyglądać, jakby ot tak, po prostu, miały doskonałe, pełne gracji ciało dwudziestoparoletniej kobiety, która nigdy nie rodziła. Jeśli zaś chodzi o jedzenie, to takie bez tłuszczu lub z jego niską zawartością było całkowicie passé. Teraz musiało ono być organiczne, biodynamiczne, detoksykujące oraz bogate w antyoksydanty. Musiało równie ciężko pracować na korzyść ich ciała, jak one same, w przeciwnym razie odmawiały jedzenia. Nikt lepiej nie poznał, co znaczy odmowa, niż kelner roznoszący kanapki na przyjęciu koktajlowym na Upper East Side lub na East Endzie. Jego życie składa się z „Nie. Nie, dziękuję. To nie dla mnie. Nie. Nie,

dzięki”.

Dlaczego? Jaki był cel tego wszystkiego? Tej niekończącej się walki, bezustannych prób, ograniczania się i przede wszystkim całej tej pracy nad sobą? Przecież koniec końców faceci na Upper East Side czy na East Endzie nieszczególnie zawracali sobie głowę flirtowaniem, otwieraniem drzwi czy posyłaniem spojrzeń, tak jak robią to mężczyźni w Rzymie, Paryżu czy gdziekolwiek indziej. Tak naprawdę mężczyźni sukcesu z UES czy Hamptons zawsze sprawiali wrażenie rozkojarzonych, a wręcz znudzonych – i tacy byli – otaczającym ich nieustannie wianuszkami olśniewających kobiet, strojących się i wyfiokowanych tylko dla nich. Kilka moich znajomych z Europy zwróciło mi uwagę, że tutejsi mężczyźni zawsze sprawiają wrażenie, jakby patrzyli ponad ciebie, jakby sprawdzali, czy nie ma gdzieś w pobliżu kobiety lepszej, ładniejszej albo ważniejszej. Prawdopodobnie między innymi dlatego tak mocno się starałyśmy. Zaburzenie proporcji płci, przesylenie pięknymi młodymi kobietami lub wyglądającymi młodo-jak-na-swój-wiek wpłynęło na relacje mężczyzn i kobiet w moim świecie. Coraz częstsze podkreślanie cielesności, ponowne zaloty wobec mężów oraz skupianie uwagi innych mężczyzn było, najwyraźniej, próbą przedarcia się przez masy i wywarcia wrażenia na mężczyznach tak przyzwyczajonych do fizycznego piękna.

Jednak takie wyjaśnienie nie sprawdzało się w tej niepospolitej letniej rzeczywistości społecznej na East Endzie. Tak jak w Physique 57 i SoulCycle całe to miejsce było niezwykle i całkowicie posegregowane płciowo. Kobiety przyjeżdżały w czerwcu, zaraz po zakończeniu szkoły, z dziećmi i nianiami. Mężowie jeździli tam i z powrotem, wracając do nich na weekendy, ale w tygodniu to kobiety grały główną rolę. Gdzie nie spojrzeć, w całym Hamptons, jak okiem sięgnąć, były kobiety, kobiety, same kobiety. Nawet jeśli pojawiali się mężczyźni, kobiety z mojego plemienia często rezygnowały z ich towarzystwa, wybierając wyjście z koleżankami, wieczorny pokaz ubrań z nowej kolekcji czy nocną aukcję charytatywną, podczas której zbiera się fundusze na szkołę lub schronisko dla ofiar przemocy. Na proszonych obiadach, na których bywałam, nie było niczym dziwnym, że kobiety i mężczyźni siedzieli przy osobnych stolikach, a nawet w osobnych pomieszczeniach. Mimo wielu ponętnych ciał wyeksponowanych z takim znanstwem nie było seksownej atmosfery. Wręcz przeciwnie, zauważało się całkowity jej brak. „Oby ktoś ze mną poflirtował” – mawiałam do męża, gdy wychodziliśmy na imprezę na Manhattanie czy w Hamptons. Zadziwiał mnie brak rozrywkowych interakcji między mężczyznami a kobietami. Zastanawiałam się, jaki jest sens takiego życia i po co mieć ciało, nad którym pracujesz jak głupia, jeśli nie bawisz się flirtem. W przeciwieństwie do gejsz kobiety, które badałam, sprawiały wrażenie, jakby były ponad coś takiego jak flirt. Za to jak w przypadku gejsz kompletnie nie interesował ich seks. Oczywiście miały dzieci, więc wiadomo

było, że kiedyś seks uprawiały. Ale ich ciała, poddane tak rygorystycznym wymaganiom, tak pieczołowicie zadbane, tak elegancko ubrane, były czyste i nieprzeznaczone do ziemskich przyjemności.

Wydawało się wręcz, że ćwiczenia i uwaga poświęcana strojom zajęła miejsce seksu w pewien fundamentalny sposób. Kobiety były bowiem zbyt zmęczone, zbyt zestresowane i zbyt poirytowane, żeby uprawiać seks na Manhattanie – wszystkie się zgadzały, gdy omawiałyśmy tę kwestię przy obiedzie czy przy drinku. Za to kiedy przyjeżdżają tutaj, pozbawione miejskich stresorów, odgradzone od nich plażą i cudowną pogodą, gdy dzieci bawią się całymi dniami lub wyjeżdżają na kilkutygodniowe obozy, wypoczęte i względnie szczęśliwe, nie mają mężczyzn. Przypomniały mi się od razu namioty menstruacyjne, bo tak naprawdę my, kobiety, spędzałyśmy ze sobą w lecie tyle czasu, że często synchronizowały nam się cykle. Z każdym treningiem, z każdym wypadem na sok po treningu, z każdym eleganckim lunchem tylko dla kobiet i z każdym wieczornym „wydarzeniem” moja identyfikacja z plemieniem pogłębiała się. Pod koniec lata w porównaniu z naszymi przyjaciółkami mężowie byli nam obcy.

Zrozumiałam, że taki był ich kodeks. Staraly się być piękne zarówno dla mężczyzn, których nie było, jak i dla kobiet, które były. Robiły to, by wzmocnić więź z innymi członkiniami plemienia, ale też by mierzyć się i porównywać z innymi – dzień po dniu, każdego wieczoru, podczas każdego spotkania, na każdym treningu. Były jak olśniewające samce kardynała szkarłatnego albo zapierające dech w piersiach samce pawia, prezentujące upierzenie, zawsze gotowe, by się pokazać. Piękne, beztłuszczowe ciało i wiecznie młoda twarz stanowiły wyznaczniki prestiżu, to na pewno. Były też jednak niezbędnym uniformem, cielesną wersją antypoślizgowych skarpetek albo bandanek wiązanych na głowie, noszonych przez kobiety na treningach, albo jak deski surfingowe, wożonych w bagażnikach range roverów. Moje ciało nie było wyłącznie moje, dotarło do mnie pod koniec lata. Należało także do plemienia. Służyło temu, by nad nim pracować, by je ulepszać, bez ustanku, niestrudzenie, nieprzerwanie, jak tylko można, tak długo, jak będę to w stanie wytrzymać.

Rozdział piąty

Babski wieczór

Zapiski z badań terenowych

Tubylcy chyba mnie zaakceptowali. Po wielomiesięcznych obserwacjach ich plemiennych obyczajów, niezliczonych próbach naśladowania ich oraz uczestniczenia w ich rytuałach, wielokrotnym zabieganiu o ich względy wydawało się, że proces otrzęsin dobiegł końca. Byłam zapraszana na zgromadzenia samic zajmujących wysoką pozycję w hierarchii odbywające się w chacie bogatego i wpływowego wodza oraz jego żony.

Większość plemiennych ceremonii podlega segregacji płciowej. Spotkania wewnątrz lub na zewnątrz czyjejs chaty stanowią dla samic okazję do budowania więzi, tworzenia koalicji przez społeczną inkluzję bądź wykluczenie oraz plotkę, a także do utrwalenia pozycji własnej oraz innych w hierarchii dominacji. W tym rozumieniu autoprezentacja – w której zawiera się przyozdabianie ciała specjalnymi materiałami i malowanie twarzy specjalnymi barwnikami czy jej poprawianie – ma ogromne znaczenie.



Zaproszenie nadeszło mailem. „Nie wiem, czy odsłuchałaś moją wiadomość na poczcie głosowej – napisała mama jednego z kolegów syna ze szkoły – bo nie dostałam od ciebie odpowiedzi. Bardzo chciałabym, żebyś przyszła do mnie w najbliższy czwartek. Będzie jeszcze kilka dziewczyn. DMZ, Rebecca”.

Ojej. Nie, nie odsłuchałam jej wiadomości; wszyscy moi znajomi wiedzą, że nie używam komórki do innych celów niż wysyłanie esemesów czy pisanie maili. Ale gdy usiłowałam rozgryźć, co może oznaczać skrót DMZ, i tak poczułam niepokój, jakbym coś zaniedbała – jakbym już okazała się złym gościem. (Koleżanka mi później wyjaśniła, że DMZ oznacza Daj Mi Znać, i dziwiła się, że tego nie Z). Oddzwoniłam do Rebekki. Nagrałam się jej, przepaszając za brak wcześniejszej odpowiedzi, i powiedziałam, że bardzo chętnie przyjdę. Wysłałam jej także maila. Zastanawiałam się, jak go podpisać. „Uściski”? Nie, Rebecca tak nie zrobiła, więc nie będę się wychylać.

Nie po raz pierwszy wysyłałam maila do Rebekki, pięknej, ciemnowłosej matki czworga dzieci, której mąż był jednym z odnoszących największe sukcesy finansistów w tym mieście. Ale po raz pierwszy maila dostałam. Dotychczasowa

korespondencja z nią była dość... jednostronna: na prośbę mojego synka napisałam do niej parokrotnie z propozycją wspólnej zabawy naszych dzieci, ale nigdy nie dostałam odpowiedzi. Czasami udawało mi się ją zatrzymać na szkolnym korytarzu, by ustalić coś w związku z dziećmi, szczególnie po tym, jak widziała, że rozmawiam z Tatą Alfa, która to rozmowa wydatnie podniosła mój status, a co za tym idzie, także status mojego syna. Po tym więc, jak parę razy wpadłam na Rebeccę na treningu, w restauracji U Michaela – którą uważałam za symboliczne ognisko badanego przeze mnie plemienia – czy w paru innych sytuacjach towarzyskich, które sugerowały, że mamy coś wspólnego (tego samego dnia kupowałyśmy torebki u Bergdorfa Goodmana, bo szłyśmy na to samo przyjęcie, albo spotykałyśmy się na tych samych imprezach charytatywnych), Rebecca zaczęła być wobec mnie sympatyczniejsza.

Kiedy zaś rozeszło się, że pracuję nad książką („Badam, jak to jest być matką na Upper East Side” – wyjaśniałam każdemu, kto o to pytał), Rebecca i parę innych matek stały się zdecydowanie bardziej otwarte i zainteresowane witaniem się czy pogaduszkami. Niektóre nawet proponowały wspólny lunch lub wyjście na kawę, by przybliżyć mi swoje poglądy na życie i macierzyństwo. Nie wszystkie były przyjazne i ciepłe – prawdopodobnie niektóre mi nie ufały mimo moich zapewnień, że nie piszę skandalizujących zwierzeń ani satyry, tylko opisuję zwykłe przeżycia, własne doświadczenia i trochę okraszam to socjologią, antropologią i poczuciem humoru – ale wiele mi sprzyjało. Chciały poruszać tematy inne niż te zajmujące nasze zwykłe pogaduszki na szkolnym korytarzu: jakie mamy ubrania, gdzie pojechać na wakacje. Niektóre opowiedziały mi historie o swoich trudnościach małżeńskich, o tym, jak dorastały w biedzie, albo o poczuciu wyobcowania („Pochodzę z San Francisco. Dla wielu ludzi to tak, jakbym przyleciała z Marsa. Nigdy mnie nie zaakceptują”). Miałam z nimi o wiele więcej wspólnego, niż początkowo sądziłam. Z dala od szkoły, odświeżonych lunchów i gal były dostępne i bardziej swobodne. Ktoś mi powiedział: „Wydaje mi się, że wiele z tych odnoszących sukcesy, niezwykle ambitnych matek i ojców w kontakcie sam na sam potrafi być miłymi ludźmi, ale jest coś w dynamice grupy, co sprawia, że stają się okropni”.

Miło było spotykać co rano parę nowych przyjaznych twarzy, bo mimo wzrostu notowań, jaki zafundował mi Tata Alfa, szkolne korytarze wypełnione matkami alfa o stalowym spojrzeniu i na wysokich obcasach nadal były zniechęcające. Moje związki z południem miasta powoli zanikały, bo coraz więcej energii poświęcałam opiece nad dziećmi i pracy, więc relacje z kobietami ze szkoły starszego syna i klubu malucha młodszego oraz życie towarzyskie, jakie im towarzyszyło, wydawały się zarówno wystarczające, jak i niezbędne. Co więcej, w tym plemieniu – tak skupionym na hierarchii i statusie społecznym – to, że Rebecca zaprosiła mnie do swojego domu, było czymś w rodzaju rekomendacji,

doroślą wersją tego, jak w szkole popularne dziewczyny pozwalają ci usiąść ze sobą w stołówce. Część mnie wiedziała, że to absurd, ale inna część – ta, która włożyła tyle wysiłku w zrozumienie tej grupy kobiet, w pozyskanie kolegów do wspólnej zabawy z moimi dziećmi i zdobycie jednej lub dwóch koleżanek – poczuła się doceniona zaproszeniem od kogoś tak wpływowego jak Rebecca. Jeśli więc te kobiety chciały mi przybliżyć swój świat, a spodziewałam się, że także przyjdą do Rebekki, tym lepiej dla mnie. Modliłam się tylko, żeby nie było Królowej Królowych Pszczół. Miałam pewne granice wytrzymałości.

– W co się ubierzesz? – zapytała Candace podczas lunchu kilka dni później. Znakomicie tłumaczyła mi kody kulturowe naszego miasta. – Mam potem wizytę u lekarza, to dlatego się odstawiłam – wyjaśniła, gdy dostrzegła, że zauważyłam jej żakiet od Chanel i sprężystą fryzurę.

– Nie mam pojęcia – przyznałam się, dodając, że nie mogę przecież spytać znajomych mam, bo nie wiem, która z nich także dostała zaproszenie do Rebekki, a która nie. Candace zgodziła się ze mną skinieniem głowy, pijąc mrożoną herbatę i dumając o delikatnej naturze problemu. – Ubierz się tak, żeby się wpasować, a nie wyróżniać – zasugerowała. – Chcesz przecież, żeby to gospodyni błyszczała, prawda? Jak na weselu.

– Wiesz, tak w ogóle to ma być domówka dla mam – zamyśliłam się. – Bez mężów. Więc pewnie będzie trochę bardziej swobodnie.

Na twarzy Candace odmalowało się zwątpienie. Od wielu miesięcy sumiennie i ze współczuciem wysłuchiwała moich opowieści o niezwyklej przesadzie w sposobie ubierania się i zachowania mojego plemienia. Sama była bywalczynią salonów – „ale w cudzysłowie”, jak zawsze dodawała – znała więc takie kobiety i ich styl bycia z pierwszej ręki, z imprez charytatywnych, restauracji i dobroczynnych lunchów. Dorastała w Kalifornii i wyszła za mąż za rdzennego nowojorczyka, którego rodzice byli istotną częścią tutejszego życia towarzyskiego, patrzyła więc na świat, który badałam, z ironią i humorem, była outsiderką i insiderką jednocześnie oraz – podobnie jak ja – antropolożką.

– Nie będzie swobodnie – oświadczyła stanowczo.

Zrozumiałam, że miała rację. W tym świecie nie było czegoś takiego jak „swoboda”. Idealne ciała doskonałe godzinami w Physique 57 czy SoulCycle zostaną dopełnione garderobą wielkiego kalibru, twarzami jak po obróbce w Photoshopie oraz nienagannymi fryzurami, niezależnie od obecności mężczyzn. Wydawało się, że każdy tu jest gotowy do zdjęć na zbliżeniu, do spontanicznej sesji zdjęciowej, bez jednej zmarszczki czy niesfornego kosmyka włosów. Takie bycie „zawsze piękną” różniło się od naturalnego piękna – było wręcz przeciwnym biegunem prawdziwego, niewymuszonego piękna. Znane mi kobiety z Upper East Side ciężko pracowały nad tym, by wyglądać równie nieskazitelnie na placu zabaw, co na uroczystym lunchu dobroczynnym, i nie ukrywały tego. Takie

zaangażowanie, niezachwiana determinacja, by niczego, co dotyczy twarzy, stroju, wystudiowania, nie pozostawiać przypadkowi, była taką samą częścią codziennego uniformu jak drogie baleriny i torebki noszone na ramieniu. W istocie bywały tak odstawione, że czasem brakowało tylko ścianki, na której tle mogłyby przystawać jak prawdziwe celebrytki i pozwalać się fotografować – w klubach malucha, szkołach, okolicznych kawiarniach, na urodzinowych przyjęciach dla pięciolatków w cenie 5 tysięcy dolarów i wszędzie indziej, gdzie zbierało się to plemię.

Wyglądanie na kogoś bezustannie gotowego na sesję fotograficzną kosztowało sporo czasu i niemało lęku. Wiedziałam o tym z własnego doświadczenia, gdy rano usiłowałam się ogarnąć, bo zdałam sobie sprawę, że jako jedyna odwożę syna do szkoły we frotce na włosach i ze śladami poduszki odciśniętymi na twarzy. Zaczęłam chodzić raz w tygodniu na układanie włosów, dodałam filtr przeciwsłoneczny do tonującego kremu nawilżającego i dorzuciłam trochę różowawego balsamu do ust. Nawet strój do joggingu musiał być ładny i korzystny oraz, oczywiście, modny. W te dni, kiedy nie mogłam wskoczyć w ciuchy do biegania, bo po szkole miałam jakieś spotkanie, złapałam się na tym, że deliberuję nad właściwą stylizacją, złościąc się na męża, że nie mam czasu przygotować syna do szkoły – przecież sama muszę siebie zrobić na bóstwo. W momencie wypowiedzania tych słów słyszałam już ich absurdalność, ale i tak dawałam się ponieść kulturowej fali wielkich oczekiwań, obliczom bez skazy i codziennym popisom, które były zauważalne wszędzie dokoła. I to przed dziewiątą rano.

Codziennie zadanie wybrania stroju stało się ciut łatwiejsze, gdy odkryłam, że te kobiety mają w zasadzie kilka „uniformów”. Do podrzucenia do szkoły albo do zabawy z maluchami wystarczało lululemon, poza tym leksykon ubioru na Upper East Side był znacząco spójny, z niewielkimi, bardzo subtelnymi wariacjami, o ile w ogóle. Zacznijmy od torebek. Do ulubionych marek i typów zaliczały się: Céline (Luggage, Nano Luggage albo Trapeze), Chanel (duży Boy), Hermès (Evelyn, mała Jypsière, albo Kelly zakładana na ukos; wiosną i wczesną jesienią Garden Party Tote; Święty Graal, czyli trzydziesto- albo trzydziestopięciocentymetrowa birkinka w wersji czarnej, blue jean albo złotej). Torba Valentino Rockstud jest piękna i modna, jednak w badanym plemieniu nikt takiej nie nosił. Nie było to niestosowne, ale nikt tak nie robił.

Baleriny były popularne w miesiącach o skąpych opadach atmosferycznych – Lanvin, Chanel, Chloé należały do ulubionych marek, szczególnie wysokich kobiet. Platformy Lanvin albo sneakersy na koturnie od Isabel Marant były częstym wyborem w „mniej oficjalne” dni, kiedy mamy nie musiały się nigdzie spieszyć po podrzuceniu dzieci do szkoły. Z moich obserwacji wynikało, że te kobiety zawsze szukały przewagi wzrostowej, żeby się dosłownie podsadzić wyżej. Niebotycznie wysokie platformy albo szpilki z lakierowaną na czerwono podeszwą

oznaczały „wybieram się dokądś i nie jadę tam metrem”. Jesienią, zimą i aż do wiosny nosiło się oczywiście kozaki – wysokie, chwiejne czarne kozaki z najmniejszej skóry lub zamszu od Manolo Blahnika, Christiana Louboutina i Jimmy’ego Choo, niektóre bez palców albo obszyte futrem motocyklówki od Brunella Cucinello. W mniej oficjalne dni popularne były obcisłe jeansy i skórzane legginsy. Gdy padał deszcz, nosiło się klasyczne trencze, zawsze jednak z jakimś unowocześnieniem, które sprawiały, że wciąż trzeba było kupować nowe, na przykład ze skórkowymi rękawami albo laserowo wycinanym koronkowym obrąbkiem. Do tego kalosze w najdziwniejszych kolorach, od Pucci albo Chanel, te z charakterystycznym kwiatem kamelii. Zimą zaś lukrecjowoczarne puchowe kurtki Moncler. Wśród bogatych mam futrzane kamizelki były tak popularne, że koleżanka kiedyś zażartowała, że w szkolnych newsletterach powinien powstać o nich fotoreportaż. W najmroźniejsze dni pojawiała się jeszcze więcej futer – pełne przepychu futra z bobra, połyskujące futra z soboli, nieopisanie miękkie (wiem, bo dotknęłam kiedyś takiego futra w zatłoczonej windzie) futra z szynszyli. Lśniące i robiące ogromne wrażenie, kosztowały więcej niż zaliczka za moją pierwszą książkę – nie miałam wątpliwości – lecz noszone były z nonszalancją i zwykle łączone z jeansową kurtką.

W te zaś dni, gdy odbywały się jakieś imprezy charytatywne albo spotkania z cyklu „Mama i ja”, organizowano pokaz mody pełną gębą. Były proste, lecz olśniewające skórzane sukienki z długim rękawem od The Row i wesołe kolorowe żakiety Chanel z postrzępionymi brzegami zestawione z sukienkami tej samej marki, kwieciste komplety od Givenchy zestawione z misternie zawiązywanymi butami na wysokim obcasie i dopasowane na górze, rozszerzane ku dołowi sukienki od Alexandra McQueena, eksponujące szczupłe nogi i płaskie brzuchy. Były legginsy w węzowy wzór, żakiety ze skóry cieńszej niż papier i przesłiczne kremowe grzeczne bluzki z jedwabiu dla przeciwwagi. Wszystko było strojne i zdobne. Oszołomiona wysadzaną kamieniami kurtką w kolorze ostrej fuksji, w której zobaczyłam wysoką blondynkę, matkę trojga dzieci, gdy przemknęła pewnego dnia po szkolnym korytarzu, wygooglowałam ją później w biurze. I dowiedziałam się, że kosztuje ponad 7 tysięcy dolarów.

Jednak tu nie chodziło wyłącznie o to, czy kogoś stać. Wśród pewnej wybranej grupki mam na i tak już elitarnym Upper East Side liczyło się bycie pierwszą. Zrozumiałam to, gdy pewnego lutowego poranka w szkole pojawiła się bardzo modna mama dwójki w białej bawełnianej sukience z czymś, co przypominało złoty liść, i w nabijanych ćwiekami neonowo zielonych szpilkach bez pięty. Cała się trzęsła, ale dobiegła do mety przed wszystkimi. Reszta z nas, gdybyśmy kiedykolwiek miały założyć taką sukienkę, tylko by ją naśladowała. Działo się to też wczesną jesienią – panie stroiły się jesiennie w delikatne wełny, nowe kozaki i żakiety Chanel z najnowszej kolekcji, mimo że nadal było bardzo

ciepło. Wiele kobiet na Manhattanie kocha modę. Ale tu chodziło o coś innego, o pokazanie się innym jako pierwsza, o ponury wyścig, by zdobyć coś, zanim zdobędą to inne, i jak najlepiej to wyeksponować.



Rywalizacja wewnątrzpłciowa – konkurowanie z innymi przedstawicielami własnej płci – to powszechnie obserwowany ewolucyjny mechanizm selekcji. Przez całe lata prymatolodzy i biolodzy koncentrowali się niemal wyłącznie na rywalizacji wśród samców, prawdopodobnie dlatego, że bardziej rzucała się w oczy. Większy rozmiar ciała, uzbrojenie, zrytualizowane popisywanie się agresją, spektakularne ornamentowanie i zachowanie podczas zalotów – wszystko to łatwo dostrzec i łatwo zinterpretować. Pozwala to facetowi danego gatunku zyskać dostęp do samicy, albo nawet do kilku samic, w okresie rozrodczym, co jest ostatecznym celem ewolucyjnym wszystkich osobników męskich, niezależnie od upierzenia, umaszczenia czy rozmiaru buta.

Ostatnio jednak naukowcy zaczęli przenosić swoją uwagę na o wiele subtelniejszą rywalizację samic. Z reguły samice ssaków – czy to myszy, szympany czy *Homo sapiens* – konkurują ze sobą, jeśli muszą, o możliwość rozmnożenia się i zwrócenie uwagi wybranych partnerów seksualnych, podobnie jak czynią to samce. Jednak u samic okazywanie agresji mocno wiąże się z kontekstem sytuacyjnym i od niego zależy. Jeśli samica myszy domowej (*Mus musculus domesticus*) żyje w otoczeniu, w którym nie ma wielu innych samic, za to jest wiele samców, jej ciało nie będzie wydzielalo specjalnych białek (MUP – główne białka moczowe), które sprawiają, że jej mocz ma charakterystyczny zapach oznaczający dla innych samic „trzymaj się z daleka!”. W otoczeniu samic jej mocz ulega zaś wyraźnej zmianie, by mogła przekazać im komunikat „to mój rejon, drogie panie!”. Taka elastyczność mogła zaistnieć w procesie ewolucji, bo ciągle wysyłanie znaków o rywalizacji jest bardzo kosztowne. Trzeba dużo czasu i energii, by wyprodukować te białka – czasu i energii, które mogłyby zostać spożytkowane na dobre odżywianie, optymalizowanie płodności, poszukiwanie materiałów do wyściełania gniazda, bycie w ciąży, laktację i opiekę nad młodymi.

Ze względu na to, że agresja jest potencjalnie niebezpieczna, a sygnalizowanie rywalizacji wymaga sporo wysiłku, uważa się, że samice ssaków, także naczelnych, nauczyły się konkurować ze sobą w sposób niezauważalny. Stosują raczej społeczną niż fizyczną przemoc, przez wchodzenie w koalicje, subtelne oznaki i nieuchwytną agresję. Kiedy samice szympanów wykluczają, ignorują i dręczą nową samicę w stadzie, dopinają swego – mówią „jesteś szczebel niżej niż my” – bez narażania siebie i swojego potomstwa na fizyczne zagrożenie, jakie niosłaby ze sobą bezpośrednia napaść. U ludzkich samic odmowa współpracy z kimś, zniszczenie czyjejś reputacji (by inni także nie chcieli współpracować z tą

osobą), plotka, wykluczenie społeczne stanowią skuteczne metody niszczenia potencjalnej konkurentki. A ponieważ są one stosowane często „naokoło”, w skomplikowany sposób, jednocześnie przez kilka osób z grupy, nie ma jak się przed nimi bronić. Wrogie spojrzenia i świętoszkowatość w wykonaniu Królowej Królowych Pszczół i jej pomocnic nie mogły być skonfrontowane, gdyż były subtelne w porównaniu z ciosem w splot słoneczny. Choć skutki miały podobne.

Naukowcy zauważyli, że w ustalonych grupach samice ssaków naczelnych, świadome tego, że samce kusi nowość, mogą być niezwykle podejrzliwe, a wręcz wrogie wobec nowych samic. Szczególnie gdy liczebność płciowa jest zachwiana na korzyść samic, jak na Upper East Side, gdzie na każdego samca przypadają dwie samice w wieku reprodukcyjnym. Badacze zajmujący się agresją u samic twierdzą, że jej wzrost jest obserwowany wyłącznie w sytuacjach ogromnej rywalizacji, które przynoszą nagrodę w postaci reprodukcji, albo w sytuacjach wymagających obrony (choćby tylko pozornie) własnego statusu partnerki seksualnej i własnego potomstwa. Agresja ta, jak widzieliśmy na przykładzie myszy, jest „plastyczna”, to znaczy dopasowuje się do konkretnego środowiska, warunków ekologicznych i zasobów. To dlatego pewna mama na treningu piłki nożnej nawet się nie odwróciła i udawała, że mnie nie dostrzega, mimo że siedząc tuż za nią, trzykrotnie powtórzyłam, że mój syn chętnie dołączy do organizowanej przez nią letniej grupy zabawowej dla dzieci. To dlatego, gdy inna mama interweniowała, mówiąc: „i jeszcze synek Wednesday”, ta kobieta – nadal tyłem do mnie – powiedziała: „Niech będzie. Caroline, Nancy, Sarah, Pamela, Daniela, Julia i ona”. To dlatego, gdy patrzyłam na wiszącą w mojej szafie białą bawełnianą sukienkę, taką samą jak ta, którą owa modna mama założyła już w lutym, czułam się, jakby mi na nią nasikała.



Wyobrażałam sobie, że nawet jeśli taka ukryta agresja jest w biologicznym sensie mniej kosztowna, i tak musi być ogromnie droga. No bo przecież co należało zrobić – zastanawiałam się głośno przy Candace, gdy na stół wjechały nasze sałatki z kurczakiem – żeby w tym świecie być wystarczająco piękną kobietą i matką dzieciom? I ile to musi kosztować w przeliczeniu na prawdziwe dolary? Orzechowe oczy Candace, wolne od kurzych łapek, co zawdzięczała dobremu genom, właściwemu odżywianiu i ostatniemu strategicznie wstrzykniętemu botoksowi, zaśniły. „Policzmy to!” – zaproponowała. Czemu nie pomyślałyśmy o tym wcześniej? Szybko zapomnieliśmy o sałatkach, miałyśmy coś fajniejszego niż jedzenie. Gdy skończyłyśmy, kalkulacje dotyczące tego, co według nas Manhattańska Gejsza z plemienia na Upper East Side robiła i ile wydawała na swoje utrzymanie – na podstawie rozmów, obserwacji oraz naszych własnych doświadczeń – kształtowały się następująco:

Całościowa (od stóp do głów) analiza rocznego kosztu utrzymania dla kobiety z UES plasującej się na wyższej średniej lub wyższej pozycji i posiadającej dzieci w prywatnej szkole

Głowa

strzyżenie i farbowanie (5 × w roku po 500 \$) 2 500 \$ plus mycie i układanie (co tydzień po 70 \$ z napiwkami) 3 500 \$ – w sumie 6 000 \$

stylista fryzur i makijażystka na wyjścia (10 × w roku po 150 \$) – w sumie 1500 \$

konsultacje i poprawki u specjalisty, bez możliwości refundacji kosztów wizyty, w sprawie wypadania włosów z powodu farbowania, stresu, hormonów i/lub problemów autoimmunologicznych wywoływanych stresem i hormonami – 2 000 \$

Twarz

co kwartał botoks, restylane i wypełniacze (1 000 \$ × 4) – 4 000 \$

co miesiąc peeling (300 \$ × 12) – 3 600 \$

co miesiąc zabiegi na twarz (250 \$ × 12) – 3 000 \$

co miesiąc regulacja brwi: woskowanie, depilacja, cukrowanie lub nitkowanie (50 \$ × 12) – 600 \$

laser (na przebarwienia po słońcu, stymulacja kolagenu etc.) – 2 500 \$

kosmetyki do pielęgnacji twarzy (mycie, nawilżanie, serum, filtry, kremy pod oczy) – 1 500 \$

makijaż – 1 000 \$

Ciało

ćwiczenia – 3 500 \$

trener osobisty – 7 500 \$

dietetyczka – 1 500 \$

detoksy sokami – 3 500 \$ (jeśli co tydzień)

mani/pedi – 2 000 \$

masaże – 9 000 \$ (jeśli co tydzień); 4 500 \$ (jeśli co dwa tygodnie)

opalanie natryskowe – 500 \$

wyjazdy do spa – 8 000 \$ (jeśli co pół roku)

operacje plastyczne, w tym powiększanie piersi, odsysanie tłuszczu – nie wiadomo

Garderoba

Ubrania

sezonowe jesień/zima – 3 000–20 000 \$

sezonowe wiosna/lato – 3 000–20 000 \$

na wielkie wyjścia – 5 000–20 000 \$

wakacyjne Hamptons – 5 000 \$ Palm Beach – 5 000 \$ Aspen (spodnie narciarskie, kurtka, czapka(-i), rękawiczki) – 2 500 \$

Inne

obuwie – 5 000–8 000 \$

torebki – 5 000–10 000 \$

„Niesamowite!” – powiedziała Candace, gdy podsumowałyśmy liczby i wyciągnęłyśmy na stół karty kredytowe. Około 95 tysięcy dolarów, skromnie licząc, tylko po to, by być wystarczająco piękną i wystarczająco dobrze ubraną i obutą, po prostu wystarczająco zadbaną, by pozostawać w grze. „Ale nie mówmy o tym naszym mężom” – dodała poważnym tonem, gdy żegnałyśmy się na ulicy. Choć może nie byłby to głupi pomysł, biorąc pod uwagę, że w porównaniu ze znanymi nam kobietami my akurat zaliczałyśmy się do tych tańszych w utrzymaniu. „Hej!” – krzyknęła jeszcze parę sekund później z okna taksówki. „Nawet nie liczyłyśmy kosztu szoferów ani dojazdów Uberem do tych wszystkich sklepów i innych miejsc!” Miała rację. Przeszła mi jednak ochota na ponowne liczenie. Kręciło mi się w głowie. Mimo to musiałam przecież wybrać jakiś strój i pójść na zakupy.



Znów się zastanawiałam, co założyć na babskie spotkanie. Wiedziałam, że wiele kobiet, z którymi spędzałam teraz czas, wynajmowało stylistę fryzur i makijażystkę, czasem nawet tylko przed lunchem z przyjaciółkami w Rotisserie Georgette, a także osobistych stylistów, którzy zajmowali się ich garderobą – przed przyjęciami i różnymi wydarzeniami, lecz także, co dziwne, na okazję odwożenia i odbierania dzieci ze szkoły. Handel detaliczny na Manhattanie to bizantyjski, dwupoziomowy system, który musi być rozpracowany przez znawcę od środka, jeśli się chce dostać jedyny w całym mieście rozmiar 0. Każdy może sobie pójść do Prady. Dlatego właśnie oprócz stylisty „trzeba” jeszcze mieć w wybranym sklepie (lub sklepach) umówioną sprzedawczynię. Taką, która będzie wysyłać zdjęcia produktów z nowej dostawy, które mogłyby ci się spodobać, a kiedy się pojawisz w sklepie, przydzielili ci największą przebieralnię, przyniesie wodę i szampana, gdy ty przymierzasz ciuchy. Nie masz czasu przyjść do sklepu? Może ci wysłać posłańca z rzeczami prosto do domu – z możliwością zwrotu. Wiele kobiet nosi, a potem zwraca ubrania. Pod koniec sezonu twoja sprzedawczyni dzwoni do ciebie i szepcze: „Kiedy mogę pani zrobić przedwyprzedaż?”. Tłumaczenie: „Kiedy możesz przyjść, żebym ci mogła jako pierwszej pokazać rzeczy, które za miesiąc

zostaną przecenione, a ja już teraz mogę ci je sprzedać po niższej cenie?”. Kobiety z tego plemienia z pewnością wymagały specjalnego traktowania i mnóstwa prywatności, jeśli w grę wchodziło kupowanie. Często w ekskluzywnych butikach były organizowane imprezy charytatywne, podczas których można było z przyjaciółkami buszować w ubraniach, z drinkiem w dłoni, a jakaś część każdego wydanego przez ciebie dolara szła na zbożny cel: Muzeum Guggenheima, pomoc dzieciom, Dziecięce Muzeum na East Endzie – wszyscy organizowali nocne zakupy dobroczynne u Chanel, Lanvina, Dolce & Gabbana czy u Diora.

Dzięki takim imprezom mogłam teraz wybrać z mojej szafy, przebierając pośród koszulek i spodni, parę jasnoróżowych, obcisłych elastycznych spodni w węzowy wzór, prosty, biały pudełkowy top z wyhaftowanym na przodzie czerwono-czarnym kwiatkiem i jasnozielony żakiet w stylu Chanel, postrzępiony na mankietach i przy zapięciu. Byłam pewna, że żaden element tego zestawu nie wyda się przesadzony kobietom u Rebekki.

Teraz musiałam jeszcze zdecydować, jakie wybrać buty. W większości domów, w których byłam, panowała polityka zdejmowania butów. Manhattańscy rodzice przyjęli obyczaj niewnoszenia na podszewkach brudu z ulicy. Jednak podejrzewałam, że podczas tego spotkania będzie nam wolno pozostać w obuwiu. Gdyby te kobiety miały się rzec poczucia bezpieczeństwa wynikającego z bycia ciut wyższą i ciut szczuplejszą, stałyby się bezbronne. Przez bose stopy byłyby odsłonięte, jakby niedokończone. Rebecca z pewnością o tym wiedziała. Wyciągając z szafy buty bez pięty, które zawsze zakładałam na tego typu okazje, spostrzegłam, że mają zarysowany obcas. Nie miałam już czasu oddać ich do naprawy w Leather Spa, a zbyt wielu innych do wyboru w szafie też nie miałam. Trafiłam więc przed jeden z dwóch ołtarzy mojego plemienia – do Barneysa. Tego na Madison, oczywiście.



„Wszystkie pantofle są po sześćset dolarów” – powiedział sprzedawca i skinął głową z uznaniem, gdy mierzyłam zachwycające buty o przeróżnych obcasach i fasonach, jakie dla mnie przyniósł po tym, jak opowiedziałam mu, gdzie się wybieram. Czółenka D’Orsay, szpilki, słupki. Westchnął i widząc, jak zerkam w stronę miękkich, granatowych zamszowych butów, by sprawdzić ich cenę, dodał: „A wszystkie kozaki są po tysiąc dwieście”. – Odwinął bibułę, odsłaniając wsuwane pantofle od Christiana Louboutina, na platformie, bez palców, z czarnego zamszu, z czerwonymi i różowymi paseczkami, i zauważył słusznie: „Te są obłędne”.

Rzeczywiście, te ostatnie buty wpadły mi w oko. Były jak biżuteria dla stóp, a jednocześnie na tyle stabilne, abym się w nich nie chwiała. I były na wyprzedazy. Mimo wszystko obawiałam się, że ze względu na ich wysokość oraz to, jak cisnęły

mnie w lewy paluch, nie jest to najmądrzejsza inwestycja. „Zawsze może je pani nosić krótko” – zadumał się sprzedawca. „A jeśli czeka panią długa impreza, może sobie pani zrobić taki zastrzyk”.

Co, proszę?

Śmiał się i pytał, czy naprawdę nie słyszałam o zastrzykach znieczulających stopy albo jakąś ich część, które pomagają chodzić w niewygodnych butach nawet całą noc. Najwyraźniej istnieli podiatrzy, którzy wykonywali tego typu usługi miłośniczkom wysokich obcasów tu oraz w Hollywood i mnie też mogli postawić na nogi za odpowiednią opłatą. Spojrzałam na niego z niedowierzaniem, sądząc, że żartuje. „Powaga”. – Uśmiechnął się, gdy podawałam mu kartę, i palcem zakręcił koło skroni w uniwersalnym geście oznaczającym „wariactwo”.



Uroda kosztuje. I z reguły to kobiety ponoszą jej koszty – to one muszą spełniać nierzadko wykańczające wymagania, od nich oczekuje się poświęcania czasu, energii i fizycznego hartu, co doprowadziło nasze babki do stwierdzenia że „dla urody trzeba cierpieć”. Ten truizm jest prawdziwy niezależnie od kraju czy kultury – w Chinach, gdzie tradycja krępowania stóp okaleczyła całe pokolenia arystokratek, w Tajlandii, gdzie w plemieniu Kayan kobiety noszą metalowe obręcze dające wrażenie niezwykle wydłużonej szyi (choć tak naprawdę trwale obniżają kości ramion), wśród afrykańskich i amazońskich plemion, gdzie dolna warga rozciągana jest płytką, póki nie przypomina rozmiarem i kształtem płyty CD. W plemieniu, które badałam na Upper East Side, „piękno” mogło oznaczać na przykład powiększenie piersi, po którym były one sztywne i plastikowe z wyglądu, a także traciły czucie – co było urzeczywistnieniem poglądu, że kobieta to obiekt, który dostarcza stymulacji innym, a nie podmiot, który sam jej doświadcza. Piękno mogło też oznaczać ostrzykiwanie twarzy, by wyglądała na zrelaksowaną, „pełniejszą”, naprężoną, a tam, gdzie trzeba, pulchną (co sugeruje młodzienczość oraz zapobiega zmarszczkom) – jednak miało ono swoją cenę.

Wyniki badań mówią, że brak możliwości reagowania mimiką twarzy, gdy słucha się kogoś z empatią, powoduje osłabienie więzi. Krótko mówiąc, paraliżowanie sobie twarzy najprawdopodobniej wiedzie do paraliżu twoich emocji. Osoby, które mają wstrzyknięty botoks, wykazują mniejszą aktywność mózgową w kluczowych rejonach odpowiadających za emocje niż osoby bez botoksu. A wszystko to dla młodej twarzy, na którą inni mogą patrzeć. A co potem? Na widok nieruchomego oblicza, które nie wyraża nic, nawet jeśli mówimy do jego właściciela, my, ludzie, czujemy się skonfundowani, zaniepokojeni brakiem interakcji. Ja się właśnie tak poczułam, gdy pewnego razu wpadłam na ulicy na znajomą, która patrzyła na mnie bez wyrazu i sztucznie się zaśmiewała przez całe pięć minut naszej rozmowy, w czasie której opowiadałam zabawne

anegdoty o moich dzieciach. Gniewała się na mnie? Czyżbym ją ostatnio obraziła? Raczej nie. Wtedy sobie przypomniałam, że gdy się widziałyśmy zesłym razem, wybierała się właśnie do dermatologa.

Innym nieoczekiwanym aspektem paraliżu mięśni twarzy jest estetyka. „Czemu ta urocza mama wygląda tak dziwnie? Co się jej stało?” – zapytał mnie mój mąż po tym, jak był w przedszkolu u młodszego syna. Doszedł do wniosku, że pewnie była w trakcie rozwodu albo zmarł jej rodzic, bo jej twarz wydawała się dramatycznie postarzyć, kilka lat w zaledwie parę tygodni. Dobrze wiedziałam, o czym on mówi. Kilka mam rozmawiało o tym po zajęciach, przy kawie. Zbyt wcześnie zrobiła sobie botoks, co do tego wszystkie się zgadzały, i teraz ta piękna, dawniej młodzieńcza kobieta, zaledwie po trzydziestce, z błyszczącymi oczami i naturalnym uśmiechem, miała tę „facjatę”, którą początkowo kojarzyliśmy z młodością (brak zmarszczek), ale później zaczęliśmy ją wiązać z wiekiem i botoksem – z twarzą bez wyrazu jak u Sfinksa. Nieszczęśliwą i starą.

Często myślałam o symetrycznych, nieruchomych twarzach otaczających mnie kobiet, z których wiele przed ślubem zrobiło sobie operację nosa, jako o ślicznych, fotogenicznych zombie. Wyglądały przepięknie, ale odnosiło się wrażenie, że niczego nie czują. Ich oczy były nabotoksowane dookoła, żeby zapobiec zmarszczkom. Miały martwe twarze, nawet gdy się śmiały. Czasami wyobrażałam sobie, jak gonią mnie korytarzami szkoły albo wzdłuż Madison Avenue aż do Sant Ambroeus, z wyciągniętymi rękami, zapędzają mnie w róg windy albo przypierają do muru na bankiecie, a potem wyżerają mi mózg. Byłam zwolenniczką akupunktury twarzy, szczególnie gdy po pierwszym botoksie zrobił mi się wokół oka wielki siniec. Mimo to dołączenie do nich – ostrzykanych, zamienionych w zombie, zdławionych – wydawało się nieuniknione. Następne były wypełniacze. Znałam kobiety o twarzach wielkich jak piłki do koszykówki od niekończącego się ulepszania restylane'em czy juvédermem. Ich pyzate buzie w połączeniu z wymizerowanymi ciałami idealnie nadawały się na fotoreportaż w „National Geographic” pod tytułem *Dziwaczne praktyki upiększania w egzotycznym plemieniu Kroywen 10021* *.

Pragnąc poznać inne podejście do kwestii kobiecej gotowości, by tyle robić i posuwać się tak daleko w pogoni za pięknem, zwróciłam się do Richarda Pruma, profesora ornitologii, ekologii i biologii ewolucyjnej na Uniwersytecie Yale. Ten specjalista w dziedzinie wyboru partnerów seksualnych, doboru płciowego i ewolucji estetyki wśród ptaków także żywo interesuje się ludzką ewolucją. Gdy rozmawialiśmy w jego gabinecie, w którym książki i kubki z zieloną herbatą wydawały się od lat porastać przestrzeń niczym grzyby, zasugerował, że szaleństwo związane z poszukiwaniem piękna obserwowane jest u wszystkich gatunków. „U ptaków, a także u ludzi w pięknie chodzi przede wszystkim o piękno seksualne, czyli zbiór obserwowalnych cech, które sprawiają, że ten konkretny

osobnik jest atrakcyjny i pożądanym” – wyjaśnił. U ptaków może to dotyczyć samca, który nie tylko świetnie wygląda, ale także pięknie brzmi. Kusogorzyki miotlaste (*Machaeropterus deliciosus*), brązowo-białe ptaszki z czarnymi skrzydłami, wyglądające, jakby nosiły małe czerwone berety, i zamieszkujące północno-zachodni obszar ekwadorskich Andów, z pozoru nie różnią się od ptasiej braci. Za to śpiewem wyróżniają się bardzo.

Podczas zalotów samiec kusogorzyka gra na skrzydłach jak na skrzypcach. Wydaje stukające i bzyczące odgłosy, przywodzące na myśl świerszcze, które grają w taki sam sposób. „Dla ptaka to zupełnie niedorzeczny sposób komunikacji!” – zachwycił się Prum i zauważył: „Przecież ci panowie potrafią zupełnie dobrze porozumiewać się głosem. Powstaje więc pytanie: Dlaczego? Po co te skrzypki?”. Odpowiedź brzmi: żeby zdobyć dziewczynę. Bo samiczkom kusogorzyka podobała się taka melodia. Uważały, że jest piękna. Przyciągała ich uwagę, więc wybierały samców, którzy potrafili ją grać. Preferencja ta przez wiele pokoleń doprowadziła do trwałej zmiany zachowania samców kusogorzyków miotlastych. Bardziej zaskakujące dla Pruma i jego ówczesnej asystentki Kim Bostwick było odkrycie, że owa preferencja miała ogromny wpływ nie tylko na zachowanie samców (melodię), lecz także na ich morfologię (budowę ciała). U wszystkich ptaków zamieszkujących planetę kość łokciowa (ulna) jest pusta w środku. Jednak u samców kusogorzyków jest grubsza, wygięta i płaską solidną kością. Gustowanie samiczek w „graniu skrzydłami” zamiast w śpiewaniu miało nieoczekiwany skutek i zaskakujące konsekwencje. Rozwinięta kość łokciowa u samców ułatwia wydawanie pięknych dźwięków, ale utrudnia latanie i ucieczkę przed drapieżnikami. Co oznacza... że samce kusogorzyków umierają w imię piękna. „To cecha estetyczna, która wyewoluowała, mimo że obniża zdolność reprodukcyjną samców” – dziwił się Prum.

W biologii ewolucyjnej i psychologii ewolucyjnej długo obowiązywał pogląd, że „piękno” jest przydatne i świadczy o dobrej kondycji. Prum podsumował to zwięźle podczas naszej rozmowy: „Piękno wydaje się naszpikowane informacjami. Najprawdopodobniej komunikuje: Jestem zdrowy! To mnie chcesz!”. To podejście funkcjonalne, piękno jest tu barometrem zdrowia, a twarz i ciało to symbol i manifestacja „zdrowych” genów. W tym modelu proste zęby i symetria ciała oznaczają, że potencjalny partner seksualny nie ma pasożytów ani chorób serca. Jednak opierając się po części na nieracjonalnej, przesadnej i dekadentycznej melodii kusogorzyków – melodii, dzięki której zdobywają dziewczynę i niewiele więcej – Prum nie kupuje popularnego przekonania, że piękno to po prostu informacja. Wierzy, że chodzi o jakieś inne rzeczy – takie, które pomagają konkretnemu ptakowi przykuć uwagę innych. Wytworzenie w toku ewolucji dzioba do otwierania orzechów jest dość zrozumiałe. „Ale umiejętność uwodzenia – zauważył Prum, szeroko otwierając oczy – to problem

nieskończoności”. Twierdzi on, że samą selekcją naturalną nie da się tłumaczyć preferencji estetycznych, takich jak upodobanie do szalonej solówki skrzypcowej kusogorza – melodii, która może mu zjednać samiczkę, dzięki której będzie miał stosunek płciowy i potomstwo, ale która naraża go też przecież na realne ryzyko, więc może nie zdobyć żadnej z wymienionych rzeczy. W świecie kusogorzaków, podobnie jak w ekskluzywnym świecie samic ssaków naczelnych, które badałam, jak zasugerował Prum, piękno często jest dekadentkie, irracjonalne i nieograniczone. Może być wybujałe, niszczące i potencjalnie śmiertelne. To często sztuka dla sztuki – nieskrępowany praktycznością czy funkcjonalnością osobny świat.



Rebecca mieszkała w ogromnym trzypoziomowym mieszkaniu w starym budynku przy Sutton Place. Ta okolica przylegała do niewiele starszej dystyngowanej południowej części Upper East Side, zanim się rozrosła i zaczęła sięgać aż do niskich numerów dziewięćdziesiątych. Mówiono, że mąż Rebekki najpierw odkupił to mieszkanie od jej rodziców, a potem zdecydował się dokupić resztę budynku. Nie był deweloperem, był facetem od funduszy inwestycyjnych, więc prawdopodobnie kupno budynku, w którym mieszkał, miało z tym związek. Winda wjechała prosto do apartamentu Rebekki. Podałam swój płaszcz komuś ze służby i zachwyciłam się nierzeczywistym widokiem na rzekę – nigdy nie widziałam jej z takiej wysokości ani bliskości, tuż z drugiej strony ulicy, a poziomu penthouse’u. Z tej perspektywy rzeka i okolica wyglądały jak diorama albo makieta scenografii. Inna winda wywiozła mnie na trzeci poziom, najwyższy w budynku, gdzie najwyraźniej Rebecca miała swoją prywatną przestrzeń. Wszędzie były kwiaty w pastelowych kolorach, meble miały beżowy odcień, a pod oknami stał piękny, długi, marmurowy stół. Służba w beżowych uniformach proponowała przezroczyste drinki (wódkę, tequilę i białe wino), a także proste, lekkie kanapki. Na ścianie wisiał Hockney – coś, co wyglądało na portret Rebekki – wielki obraz Cecily Brown oraz Tauby Auerbach. Słyszałam, że niektóre pary miały specjalne „fundusze na sztukę” wielkości 200 milionów dolarów, a patrząc na ściany Rebekki, nietrudno mi było to sobie wyobrazić. Z boku znajdował się brudnobiały stolik projektu Eamesów zastawiony prezentami dla gospodyni w torebkach z napisem Tiffany, Ladurée i Diptyque. Mój prezent dla niej – ciasteczka, które upiekłam razem z synkiem – z wdzięcznością i zadowoleniem został przyjęty przez uroczych bliźniaków gospodyni zaraz po wejściu. Zauważyłam, że na stole było coś jeszcze – gmatwanina czegoś, co wyglądało na klejnoty. Podeszłam bliżej i okazało się, że wszystkie panie zabrały ze sobą małe torebki i właśnie tu je odłożyły – miniaturowe kelly w kolorach kamieni szlachetnych, szmaragdowe, rubinowe, szafirowe (jedna wyglądała na intensywnie czerwoną skórę krokodyla),

pikowane, malowane i lakierowane chanelki, minidiory z doczepionymi medalionami w kształcie literki D i serduszek. Położyłam obok nich swoją torebkę – względnie skromną czarną kopertówkę z czerwoną różą. Wzięłam głęboki oddech. Z pewnością nie będzie to luźne spotkanie, na którym zamówimy sobie pizzę i pogadamy.

Rebecca, która wyglądała zjawiskowo, pokierowała mnie na środek pokoju i przedstawiła matkom, których jeszcze nie znałam. Wiele z nich było żonami miliarderów, właścicielami stacji telewizyjnych, firm z listy Fortune 500, imperiów na rynku nieruchomości czy funduszy inwestycyjnych. Niektóre znałam ze szkoły, inne nie. Była kobieta, która dawniej pracowała jako redaktorka działu mody, a teraz była wielką fashionistką i mamą trojga dzieci, z czwartym w ciąży. Była prezenterka wiadomości, która niedawno rzuciła pracę, by spędzać więcej czasu z trójką dzieci. Również w ciąży. Z bliźniakami. Było też, co zrozumiałe, kilka oszałamiająco pięknych i niewiarygodnie błyskotliwych „konsultantek sztuki” – to niszowy zawód, który rozwijał się i wiązał z majątkami osób należących do Jednego Procenta. Żadna nie była gruba. Żadna nie była brzydka. Żadna nie była biedna. Wszystkie piły drinki. I wszystkie zachowywały się swobodnie i życzliwie, zupełnie inaczej niż w szkole, na ulicach czy na przyjęciach. Zniknęła ich zwyczajowa rezerwa. Dotarło do mnie, że te kobiety były zrelaksowane. Ja też się troszkę zrelaksowałam, szczególnie gdy zobaczyłam, że nie było Królowej Królowych Pszczół oraz że mój strój pasuje do tego, co ma na sobie reszta – jest kosztowny, że tak powiem, choć sporo przeceniony.

Konwersacja wybiegała poza zwykłe pogawędki o dzieciach i wakacjach. Rozmawiano o polityce, o koleżance, która nie mogła przyjść, bo właśnie rozstała się z mężem, i o innej, przyjaciółce wielu tu obecnych, która po raz któryś już miała zabieg in vitro, bo wierzyła, że kolejne dziecko powstrzyma męża przed służbowymi wyjazdami i zwiąże go z domem. Coś chwyciło mnie za gardło, gdy rozmowa przycichła, wszystkie utkwiliśmy wzrok w podłozie i wyraźnie czuć było smutek oraz współczucie, gdy mówiono o jej wielokrotnych poronieniach, a także o druzgocących wynikach badań prenatalnych innej znajomej. Wstyd mi było, że tak głupio zakładałam, że życie tych kobiet to bajka pod każdym względem. Otóż nie. A potem rozmowa znów zбочyła na, jak zwykle, omawianie, co która ma na sobie.

Wspaniałe ekstrawaganckie wnętrza oraz nienagannie ubrane i umalowane towarzystwo nie mogły się już bardziej różnić od plemion Efe czy Aka z Lasu Równikowego Ituri w Demokratycznej Republice Konga albo plemienia Buszmenów San z pustyni Kalahari. Te ludy łowiecko-zbierackie to radykalni egalitaryści – żyją w społecznościach pozbawionych hierarchii i stratyfikacji socjoekonomicznej, tak jak żyli ludzie przez niemal całą naszą prehistorię. W tych plemionach nikt nie ma nic w posiadaniu, więc niczyj status nie jest wyższy lub

niższy. Pojęcie własności jest nieznane. Ten stan rzeczy wzmacnia kilka mechanizmów. Jednym z nich jest żądanie cudzych rzeczy. To normalne, że jakaś kobieta podchodzi do drugiej i chce od niej jej koralików albo że dziecko podchodzi do obcego sobie dorosłego i chce, by ten podzielił się z nim swoim posiłkiem, czy też mężczyzna chce dostać (i otrzymuje) groty do włóczni od innego mężczyzny. Nie słyszy się o odmawianiu. Takie domaganie się podarków utrwała jeszcze pogląd, że własność prywatna nie istnieje. Umniejszanie własnych osiągnięć, a także osiągnięć innych to kolejny sposób, by nie wytworzyła się żadna hierarchia. „Nie wiemy, kto zabił antylopę, którą znaleźliśmy pod drzewem akacji” – obwieszcza się po udanym polowaniu, choć dobrze wiadomo, kto ją ustrzelił. „Być może był to ktoś z innego plemienia. Ale weźmiemy ją my wszyscy i każdy dostanie kawałek”. Każdy, lecz nikt konkretny nie zabił antylopy, więc wszyscy pozostają równi.

Oczywiście kobiety u Rebekki, zadbane w najmniejszych szczegółach – eleganckie, wyrefinowane, uprzejme i bogate – zemdlałyby, gdybym do którejś podeszła i zażądała: „Jane, natychmiast daj mi trzy twoje pierścionki Pomellato i torebkę Lanvin!”. Istniała tu jednak sztywna etykieta dotycząca przyjmowania komplementów, co szczególnie w tym otoczeniu uderzyło mnie jak nigdy dotąd i nasunęło skojarzenia właśnie z łowiecko-zbierackimi ludami Afryki. Tutaj bowiem, a także w innych zgromadzeniach tylko dla kobiet, za wszelką cenę, wszelkimi możliwymi środkami należało agresywnie odeprzeć każdą pochwałę na własny temat. Przez cały wieczór stwierdzenia typu: „Czy to bluzka od Chloé? Pięknie ci w tym kolorze!”, napotykały odpowiedź: „Ten ciuch ma już cztery lata! A ja wyglądam, jakbym od dekady nie spała!”. Na zdanie: „Masz wspaniałą cerę!”, właściwa odpowiedź brzmiała: „Daj spokój, cały czas robią mi się wypryski. Jeśli wygląda dobrze, uwierz mi, to tylko zasługa podkładu!”. „Zeszczupiałaś? Wyglądasz kapitalnie!” wywoływało stanowcze zaprzeczenie i taktyczne oddanie ciosu: „Ależ nie! To te spodnie, zbierają wszystko do kupy jak pas wyszczuplający. Ale słyszałam, że codziennie trenujesz z Tracy (Anderson), i muszę przyznać, że widać!”.

Początkowo myślałam, że zaprzeczanie, pomniejszanie i odparowywanie ma na celu odstraszenie wroga. Jeśli którejś podoba się coś, co należy do ciebie, musisz pomniejszyć wartość tego czegoś, żeby cię nie znenawidziła i ci nie zaszkodziła (w regionie Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu mówi się o „ochronie przed złym okiem”). Myliłam się. Tak naprawdę dzięki temu dyskursywnemu wolejowi, odbijance pochwał i samoponiżenia hierarchia kobiet, którym nie brakowało niczego – czyli układ, który mógł ciągle się zmieniać, biorąc pod uwagę łatwość, z jaką każda z nich mogła nabyć, co tylko chciała – pozostawała stabilna. Komplement zaś był sprawdzianem: Czy potwierdzisz, że jest jedną z nas, i odpowiesz tak, jak my odpowiadamy? Czy znasz swoje miejsce?

Czy może masz ochotę zabłysnąć i się wybić? Zauważyłam, że tylko Rebecce wolno było po prostu przyjąć słowa uznania. Gdy ktoś jej powiedział, że wygląda fantastycznie (naprawdę tak wyglądała), uśmiechnęła się i odparła: „Jesteś kochana!”. Podobnie jak tamta bogata i wpływowa mama z przedszkola, która z łaską kiwała głową i lekko się uśmiechała, gdy ktoś mówił jej, jak cudownie wygląda (ta sama, która wykluczyła mnie i mojego synka z letniej grupy dla dzieci), Rebecca miała tu władzę i wszyscy to akceptowali. Każda z kobiet mogła wyglądać naprawdę pięknie, lecz żadna się do tego nie przyznawała. Taka była umowa.

Podczas przepysznej kolacji – bezglutenowej, organicznej i zdrowej, dyskretnie podanej przez służbę – rozmowa zesłała na intruzów z Zachodniego Wybrzeża, którzy właśnie przenieśli się do Nowego Jorku. Bogata para z Los Angeles, a konkretnie żona, zwróciła na siebie uwagę wpływowego przemysłowca, od dawna udzielającego się charytatywnie, na gali na jego cześć. W chwili, gdy ogłoszono, że przekazuje on darowiznę w wysokości miliona dolarów na cele dobroczynne, zuchwała brunetka podskoczyła i krzyknęła: „A my damy dwa!”. W reakcji na taką gafę i tupet w sali zapanowała cisza. Kobieta została niezwłocznie ukarana przez arbitrów nowojorskiego środowiska – plotką, w druku i przez wykluczenie społeczne. Także teraz w pokoju, w którym siedziałyśmy, ława przysięgłych wydawała na nią wyrok. „Ona jest bardzo w stylu LA, bardzo bezpośrednia” – zauważyła taktownie jedna z pań. „Kiedy nas sobie przedstawiono, zapytała, kto mi robił biust. Powiedziała: ‚Nie ma opcji, żeby były prawdziwe’, a są!”. Pozostałe roześmiały się, potakując głowami. Zgadzały się, że problemem jest, iż owo małżeństwo z LA nie znało zasad, właściwych dla Manhattanu praw i kodeksów społecznych, które one same zinternalizowały już dawno temu.

Na Manhattanie przynajmniej od stu lat odbywa się specyficzny i sezonowy taniec społeczny. Podczas „sezonu gali” – od kwietnia, przez czerwiec, potem całe lato w Hamptons i znów w mieście od września do listopada – odbywają się kolacje ku czci kogoś, kto zapłacił ciężkie pieniądze za ten zaszczyt, charytatywne śniadania w dobrej sprawie i niekończące się uroczyste lunche. Dobrą sprawą może być finansowanie badań nad jakąś chorobą, ochrona zabytków, walka z analfabetyzmem lub wsparcie dla instytucji kulturalnej. Wszystkie wydarzenia – oprócz kolacji, na których pojawiają się mężowie – to spędy wyłącznie dla kobiet, silnie segregowane płciowo. Zasady są jasne. Możesz kupić bilet albo zostać zaproszona do czyjegoś stolika, a nawet – jeśli to ty wymyśliłaś sprawę lub zasiadasz w zarządzie albo komitecie, któremu użyczyłaś nazwiska – możesz wykupić cały stół. Taki stół dla ciebie i dziewięciu najbliższych przyjaciółek może kosztować od 3 500 do 7 500 dolarów za lunch, albo 10 tysięcy dolarów i więcej za kolację. Na wielu tego typu wydarzeniach odbywają się też ciche

aukcje, podczas których można dyskretnie, anonimowo i na karteczkach licytować dobra luksusowe złożone na długachnych stołach i w ten sposób zebrać jeszcze więcej pieniędzy. Za każdym razem, gdy bywałam na tego typu śniadaniach czy lunchach, przypominał mi się obyczaj iskania obserwowany u innych niż ludzie naczelnymi – kapucynek, wyjców i pawianów – które nieraz godzinami zajmowały się wyczesywaniem futra „przyjaciółek”, wzmacniając tym samym więź między nimi. Przez bliskość i troskliwy dotyk budowały sojusze, mogące w pewnym momencie bardzo się przydać. My nie wyłapywałyśmy sobie nawzajem robaków, ale równie dobrze można to tak rozumieć. Rozmawiając ze sobą, jedząc i pijąc wspólnie, wypytyjąc o ubrania, dzieci i pracę, zbierając się we wspólnej sprawie, również pokrzepiałyśmy się, budowałyśmy więzi i dotykały się nawzajem. A zjawisko znane prymatologom jako altruizm wzajemny – „ja poiskam ciebie, a potem ty mnie” – widoczne jest w „sezonie gali” w pełnej krasie – „ja się dołożę do twojej imprezy dobroczynnej, a potem ty do mojej”. Między innymi w taki sposób tworzy się i utrzymuje relacje wśród uprzywilejowanych na Manhattanie. To również metoda, by płacąc na jakiś cel, pokazać, że stać mnie na to, by zapłacić. Tak jak pozostałe prymaty również ludzie są afiliacyjni i prospołeczni. Mamy też skłonność, jako ludzie żyjący w cieniu agrokultury, do tworzenia hierarchii i rozwarstwiania społecznego. Te wszystkie śniadania, lunche i obiady tylko tego dowodzą.

Wydarzenia wieczorne, w obecności mężów, z reguły mają w programie zwykle aukcje, na których podnosi się do góry tabliczki, by pokazać, że kogoś stać na przepłacenie wycieczki na Antyle, udział w odrzutowcu, lożę na meczu Yankees, najlepsze miejsca w Madison Square Garden na meczu Knicksów. Mówiło się, że na pewnej szkolnej aukcji słoik ciastek zrobionych przez dzieci poszedł za 60 tysięcy dolarów, a malowidło wykonane przez całą klasę palcami za 20 tysięcy. Demonstracyjna konsumpcja nigdy nie była tak cnotliwa (czy też, jeśli chodzi o prace plastyczne dzieciaków, tak pokorna). Wydawanie pieniędzy było elementem równania. Ale to, kogo znasz na uroczystości, z kim rozmawiasz, gdzie siedzisz, czyim jesteś gościem albo kim są twoi goście – wszystko to są czynniki, które pomagają ustanowić twoje miejsce w hierarchii. Ci zaś, którzy nie przestrzegają zasad – jak przyjezdna z LA albo Felix Rohatyn, który uznał, że lepiej byłoby po prostu wypisać czek na zbożny cel, niż uczestniczyć w niezliczonych galach, „Tańcach przeciw Rakowi”, za co został zbojkotowany przez towarzystwo i w rezultacie musiał wyjaśniać swoje poglądy w „New York Timesie” – szybko się uczą, jak niewzruszone i nieelastyczne są sposoby funkcjonowania tego plemienia.

Na Manhattanie „społeczna wspinaczka” jest faktem, a za każdym razem, gdy słyszę to określenie, oczyma wyobraźni widzę kobiety w wysokich szpilkach – Królową Królowych Pszczół i jej świtę na szczycie, a resztę wspinającą się poniżej

– w sukienkach Chanel, smokingach Yves Saint Laurent, z maleńkimi, wysadzanymi kamieniami torebkami w dłoniach lub zwisającymi ze szczupłego ramienia, zręcznie wspinające się w górę drzewa, negocjujące gałęzie, szukające idealnego miejsca na optymalnej wysokości, które da im doskonały widok zarówno na rozciągający się poniżej las, jak i nieodległą sawannę. Taka perspektywa sprawia, że – jak wszystkie gatunki naczelných, także protoplaści *Homo sapiens* – czują się bezpieczne. I bogate.

Pod koniec wieczoru kobiety zaczęły się rozchodzić, dziękując Rebecce i całując koleżanki na do widzenia. I jak zawsze przy pożegnaniu pytały: „Zobaczymy się na imprezie w czwartek? Będiesz jutro na spotkaniu w szkole?”. Podobnie jak negocjowanie komplementów, tak i potwierdzanie następnego spotkania upewniało je, że są wspólnotą.



Kobiety z badanego przeze mnie plemienia płaciły wysoką cenę za bycie piękną: miały twarze bez wyrazu, nie czuły się ze sobą związane, głodziły się i ćwiczeniami zmuszały ciało do uległości. Wykonywały niekończącą się pracę budowania i podtrzymywania koneksji i statusu społecznego – swojego, swoich dzieci i swojego małżeństwa. Ale to jednak mężczyźni za wszystko płacili. Tamtego wieczoru u Rebekki łatwo było uwierzyć, że wszystkie te kobiety, zamożne, kompetentne i piękne, mają również władzę. Lecz dręczyła mnie pewna niezaprzeczalna kwestia – osobności, odosobnienia od mężczyzn. „Tak jest o wiele zabawniej!” – odpowiadały pytane przeze mnie kobiety. „Żartujesz? My tak wolimy!” – mówili panowie na pewnej szczególnie miłej kolacji, podczas której kobiety i mężczyźni siedzieli przy osobnych stolikach, w osobnych salach. Segregacja płciowa zadziwiła mnie tak samo jak „zostawanie w domu” z dziećmi, bo wskazywała na jakąś głębszą, znaczącą rzeczywistość, która przebrana jest, niczym na balu maskowym, za własny wybór. Tłumaczono mi, że segregacja płciowa jest jak jedna z sukienek wiszących w szafie pełnej designerskich ubrań – kwestią wyboru.

Dane etnograficzne z całego świata dowodzą jednak czegoś innego: im bardziej uwarstwione i hierarchiczne jest społeczeństwo i im bardziej podzielone według płci, tym niższy jest status kobiet. Trzeba więc było wziąć pod uwagę, że i tu obowiązywała ta początkowo nieprawdopodobna zasada. Co robili mężczyźni, gdy kobiety z mojego plemienia spędzały wspólnie czas na zakupach lub innych społecznych znanach^{**} na terenie miasta – żeńskich komitetach, ekskluzywnych knajpkach śniadaniowych w pobliżu szkół i przedszkoli, luksusowych salach treningowych i w spa – omawiając sprawy dzieci i Stowarzyszenia Rodziców? Zwykle przebywali wówczas w towarzystwie innych mężczyzn, w pracy, w zewnętrznym świecie biznesu należącym wciąż przeważnie do mężczyzn.

Czasami bywali na Pokerowych Nocach dla Ojców, wydarzeniach dobroczynnych organizowanych przez prywatne szkoły, na które żony nie miały wstępu i nie zadawano zbędnych pytań. Czasami kobiety z mojego otoczenia z niepokojem zwierzały się, że podejrzewają swego wpływowego, bogatego męża o flirtowanie, miłostki, a nawet związki pozamałżeńskie – co, jeśli obserwowane jest u zwierząt, biolodzy nazywają „kopulacją pozapartnerską”.

Z punktu widzenia antropologii i prymatologii byłoby to nie tyle kwestią upadku moralnego, ile okoliczności. Oczywiście wielu mężczyzn z tego plemienia wybierało monogamię. Jednak kilka kwestii przyczynia się do tego, by stojący wysoko w hierarchii, zamożni mężczyźni angażowali się w kopulacje pozapartnerskie, kiedy chcą, bez konsekwencji, hipotetycznie i w rzeczywistości. Według typowego schematu obowiązującego wśród wszystkich wielkich małp samice *Homo sapiens* po osiągnięciu dojrzałości seksualnej zwykle odchodzą, tracąc istotne wsparcie społeczne swojej rodziny, uznając jednocześnie sojusze z (niespokrewnionymi) samicami za niestabilne. (Samice bonobo, jako jedyne wśród wielkich małp, wymyśliły strategię poprawiającą tę sytuację i tworzącą więzi: częste kontakty homoseksualne z innymi samicami z plemienia). Łatwo więc zrozumieć, że schemat ten (osamotnienie i względnie słabe więzi społeczne) sprawia, że trudniej jest rozważać odejście wraz z dziećmi, niż gdyby się żyło we wspólnocie z własną rodziną pochodzenia, w otoczeniu wspierających cię krewnych. „Nie mogę wrócić do rodziców na Long Island i zabrać tam dzieci” – powiedziała pewna kobieta naszej wspólnej znajomej, tłumacząc się, co zmusiło ją do pozostania przy jej latającym za spódniczkami mężu, dopóki dzieci nie wyjadą do szkoły z internatem.

Kobiece odłączanie się od rodziny pochodzenia to niejedyna rzecz, która daje przewagę mężczyznom. Samice *Homo sapiens* stoją w obliczu fundamentalnej trudności, niespotykanej w świecie innych ssaków naczelnych – są wyjątkowo zależne. Jesteśmy jedynymi naczelnymi, które praktykują intensywne dzielenie się pożywieniem i innymi zasobami, jedynym gatunkiem, którego samice tak bardzo zależą od samców w kwestii schronienia i utrzymania. Samice ptaków, matki z plemienia Efe ani samice szympansów z małym potomstwem nigdy nie rezygnują z samodzielnego poszukiwania pokarmu. Co więcej, wśród Buszmenów San nawet kobiety z małymi dziećmi dostarczają 85 procent dziennego zapotrzebowania kalorycznego grupy. Kobiety Agta z Filipin polują nawet wtedy, gdy są w ciąży. Status „żywicielki rodziny” daje im siłę – by opuścić partnera, gdy tego zechcą, by brać kochanków, by robić, co chcą, i mieć czynny, znaczący udział w życiu swojej wspólnoty. Tak jak na pustyni Kalahari, w lesie deszczowym południowo-wschodniej Azji, tak i na Upper East Side (szczególnie w tamtejszych małżeństwach) zasadniczą kwestią są zasoby. Jeśli nie przynosisz do domu korzonków, jeśli nie zarabiasz pieniędzy, twoja władza w małżeństwie ulega

pomniejszeniu. W świecie także. Kropka.

Mężczyźni, których obserwowałam i z którymi rozmawiałam (często niezręcznie – każdemu brakowało praktyki), mieli po swojej stronie nie tylko okoliczności. Tak jak samce pozostałych naczelnych, samiec zajmujący najwyższą pozycję w stadzie dysponował całym repertuarem strategii i środków, by zmusić samicę do pozostania, bez względu na wszystko. Samce pawiana płaszczonego groźbami kontrolują swój harem samic i zniechęcają je do spółkowania z innymi samcami lub nawet do zbyt dużego oddalania się – gryząc je w kark i wywijając swe powieki. Makaki z Puerto Rico ścigają, a czasem nawet ranią samice, które ośmieliły się kopulować z samcem zajmującym niższą pozycję w stadzie. Wiele samców ssaków naczelnych praktykuje dzieciobójstwo – zabijają najmłodsze potomstwo spłodzone przez innego samca, by wywołać u samicy kolejną ruję i samemu ją zapłodnić.

Samce naczelnych z Park Avenue są w swych działaniach z pewnością bardziej subtelne. Podporządkowują sobie samice przez kontrolowanie dostępu do zasobów, zapewniając sobie do nich stały i bezwarunkowy dostęp, niezależnie od tego, jak sami się prowadzą. Ofiarowywanie i wstrzymywanie luksusowych podarków, wspaniałych wakacji, wydzielanie kwot na sezonową wymianę garderoby i „pracę” nad twarzą i ciałem, a także na działalność charytatywną kobiet, czyli ich bilet do świata – to powszechne praktyki w pewnych kręgach. Powszechne są także, jak dowiedziałam się od paru kobiet, „premie na koniec roku” dla żon. Bywają one zapisywane w intercyzie albo są dawane jako przejaw „szczodrości”. Mogą też zostać wstrzymane bez powodu. To tajemnica poliszyneła, sekret znany wszystkim zainteresowanym, na zebraniach komitetów czy babskich spotkaniach: „Nie wiem, ile będę mogła wpłacić, bo nie wiem, ile dostanę kasy na dobroczynność”. „Moja roczna premia jeszcze nie została ustalona (przez mojego męża), więc nie wiem, czy będę w stanie wykupić stolik jako darczyńca czy sponsor”. Te środki przymusu, przebrane za intratne i hojne przynęty, stosowane są przez wysoko postawionych mężczyzn do wzmocnienia ich sporej władzy w grupie społecznej i ostatecznej władzy w ich małżeństwach.

Im dłużej się temu przyglądałam, tym więcej asymetrii władzy widziałam, nie tylko interpersonalnie, między kobietami, lecz także instytucjonalnie, społecznie i kulturowo. Odnoszący sukcesy finansowe mężczyźni z Manhattanu zasiadają w ważnych komitetach – szpitali, uniwersytetów, powszechnie znanych fundacji walczących z chorobami – komitetach, w których uczestnictwo wymaga pozyskania rocznie kwoty 150 tysięcy dolarów (mogą płacić z własnej kieszeni, ofiarowując tę sumę jako darowiznę, albo zdobyć te pieniądze od innych). Ich żony często są członkiniami mniej ważnych struktur, żeńskich komitetów, fundacji przy muzeach z dalszych dzielnic miasta, z roczną składką na poziomie od 5 tysięcy do 20 tysięcy dolarów. Zamożni i wpływowi mężowie są często w zarządach

prestizowych szkół prywatnych, a ich żony pełnią funkcję „mam klasowych”, stając się oficjalnym i nieopłacanym węzłem komunikacyjnym dla pozostałych matek. Ich mężowie zarabiają miliony, tymczasem uprzywilejowane kobiety – matki, nie mając wyboru, kapitulują wobec „mamuškonomii” obowiązującej na Upper East Side („Muszę być dobrą wolontariuszką, bo wtedy moje dzieci dostaną się do dobrej szkoły” – mówią takie matki). Wyrzekają się swoich umiejętności nabytych na studiach czy podczas pracy w dobrych zawodach na korzyść szkoły swoich dzieci, w dodatku za darmo – organizują gale, redagują newslettery, prowadzą biblioteki, urządzają kiermasze wypieków. Szkoły nie poradziłyby sobie bez kasty uprzywilejowanych mam-wolontariuszek, które wykonują darmową pracę wartą rocznie setki tysięcy dolarów. W pewnym sensie uczestniczenie w „mamuškonomii” to sposób, by czuć się zajęta i przydatna. Jest to także akt ekstrawagancji, rodzaj przechwałki: „Dawniej pracowałam, mogłabym nadal, ale nie muszę”. Jednak skonfrontujmy je z tym, co osiągnęli ich mężowie albo do czego oni aspirują – zgromadzić tyle pieniędzy, by nie tylko móc zrezygnować z pracy, lecz także by podjąć „Giving Pledge” – publiczne zobowiązanie miliarderów, że oddadzą potrzebującym połowę majątku.

Żony chadzają na lunche z innymi żonami i matkami do Fredsa albo Bergdorfa Goodmana, podczas gdy ich mężowie alfa swobodnie przemieszczają się między swoimi lokalami. Parę lat temu w restauracji 21 Club można było spotkać Henry’ego Kissingera, Rogera Ailesa i Williama Safire’a siedzących obok siebie, przysiadających się nawzajem do swoich stolików i umacniających swą dominację nad światem. Restauracja Grill Room mogłaby zaś stać się klubem dla mężczyzn, jak zauważył mój mąż, gdyż stosunek kobiet do mężczyzn wynosił tam jeden do czterech (inni panowie mówią, że zwykle jest to jeden do dwóch). To miejsca, w których załatwia się biznesy, a w badanym przeze mnie plemienu biznes robią przeważnie mężczyźni.

Gdy tak stałam pod budynkiem, w którym mieściło się mieszkanie Rebekki, i wzywałam taksówkę, przypomniałam sobie widok z jej ogromnych okien dwadzieścia sześć pięter nade mną. W najbardziej elitarnym sektorze najbardziej elitarniej światowej ekonomii, w małym zakątku specyficznego środowiska coraz więcej kobiet rzucało pracę lub nie musiało jej nigdy podejmować. Z perspektywy antropologicznej te bogate kobiety, które – jak się wydaje – mają takie szczęście, są jednocześnie w sytuacji bez wyjścia, zamknięte w świecie podzielonym na płcie, w swych mniej istotnych komitetach, na swych dobroczynnych śniadaniach i lunchach, w grupach zabaw dla dzieci i domach w Hamptons przez całe lato. Mężczyźni z Upper East Side, gdy proporcje płci przemawiają na ich korzyść, gdy mają pod kontrolą wszystkie zasoby, gdy zależne od nich żony troszczą się o ich jeszcze bardziej zależne potomstwo, mogą zaś robić dokładnie to, co chcą. Mogą przemawiać językiem partnerstwa, choć

w małżeństwie brakuje prawdziwej równości ekonomicznej, mogą się nawet zachowywać jak prawdziwi partnerzy. Jednak taki układ jest niestabilny i warunkowy, a kobiety nadal pozostają zależne, w tym wypadku od własnych mężów – mąż może po prostu w każdej chwili wycofać się ze swego zobowiązania. Dostęp do pieniędzy męża może być przyjemny. Ale badania porównawcze ludzi i spokrewnionych z nimi ssaków naczelnych pokazują, że sam dostęp nie zagwarantuje ci władzy, bo na nią trzeba sobie zapracować. Ta świadomość, albo choć niejasne przypuszczenie, przeczucie nierównowagi, otchłani oddzielającej twoją wersję władzy od wersji twojego mężczyzny, może spędzać sen z powiek myślącej kobiecie.

* „Kroywen” to „New York” pisane od tyłu, zaś 10021 to kod pocztowy Upper East Side (przyp. tłum.).

** Zanana (zenana) – w niektórych kulturach część domostwa przeznaczona wyłącznie dla kobiet (przyp. tłum.).

Rozdział szósty

Xanax i Krwawa Mary, czyli manhattańskie mamy na skraju załamania nerwowego

Mam na sobie wojskową kamizelkę moro z mnóstwem kieszeni i wygodne buty na gumowej podeszwie, bezszelestnie skradam się na drugie piętro u Bergdorfa Goodmana. Dla niepoznaki obładowana lawendowymi torbami na zakupy, poluję na Tę Jedyńą wśród Prad i Lanvin. Mam pecha. Poprawiam dmuchawkę, taką, jakiej biolodzy używają w terenie, docieram do windy i jadę do dżungli „młodych i radosnych!” projektantów na piąte piętro. Trudno wybrać jakiś okaz, bo wiele z nich spełnia kryteria: są to niezwykle szczupłe, bardzo zestresowane, pozbawione snu, uprzywilejowane ekonomicznie, zdolne do rozrodu samice w kwiecie wieku z Upper East Side. Jednak poruszają się w grupkach i mają słabość do skórkowych legginsów i džinsów, co komplikuje moje zadanie – mam nie tylko znaleźć właściwe zwierzę, lecz także wyczekać na odpowiedni moment. Mam czas. To ważne. Jak dotąd badałam przeważnie zachowanie grupowe stada. Teraz potrzebuję zrozumieć pojedynczą osobniczkę, i to dogłębnie. Próbka krwi mogłaby wiele powiedzieć o ich fizjologii i emocjach.

Nagle w oddali jedna z nich odłącza się od stada, by obejrzeć półkę z Balenciagą. Jeszcze lepiej – ma na sobie cienkie spodnie. Czeka aż się zbliży i dmuchawką miotam strzałkę prosto w jej pośladek. Kieruje się, oszołomiona, w stronę przymierzalni i w mniej niż dwadzieścia sekund upada na miękki dywan. Gdy ciągnę ją za ciężką zasłonę, do największej przebieralni pełnej luster, Robert Sapolsky, neuroendokrynolog i prymatolog, który całe życie zawodowe badał zachowanie i próbki krwi pawianów oliwkowych w kenijskim rezerwacie Masai Mara, pogania mnie i ocenia: „Idzie ci to coraz lepiej”.

Sprawdzamy oznaki życia, po czym szybko i sprawnie pobieramy jej krew, bo wiemy, że mamy mało czasu. Nasza drobna, elegancko ubrana wielka małpa ocknie się na pluszowej wykładzinie, zobaczy niedopity kieliszek szampana, który jej zostawiliśmy na stoliku w przymierzalni, i w poczuciu winy będzie zbyt zawstydzona, by komukolwiek opowiedzieć, co się wydarzyło. Tymczasem my udajemy się do laboratorium Quest Diagnostics – tego na Pięćdziesiątej Siódmej Wschodniej, między Park a Lex. Lekko podskakuję i mam ochotę zagwizdać. Nie mogę się doczekać, jaką historię opowie nam jej krew, jeszcze ciepła w probówkach, które mam kieszeniach.



Kiedy pisałam tę książkę, wciąż wracało do mnie to wyobrażenie – gdy jechałam autobusem przez park albo wciskałam się w plastikową mydelniczkę udającą siedzenie w metrze, albo siedziałam na ławce przy placu zabaw, rozmawiając z innymi matkami i kątem oka zerkając na dzieci. Morfologia wielu tutejszych matek, które znałam ze szkoły starszego syna i przedszkola młodszego – ich ciała, ich twarze – opowiadała własną historię. Gdy tak patrzyłam na nie na szkolnych korytarzach, lunchach dla kobiet i galach, na których wszystkie bywałyśmy, ich wychudłe oblicza, napięte tułowia i kończyny, jakby w wiecznej gotowości, przywoływały na myśl zwierzęcą reakcję „walka lub ucieczka”. Palce biegały po iPhone’ach albo blackberry. Zaciśnięte szczęki. Zmarszczone brwi, no chyba że miały botoks, ale wówczas historia ta objawiała się w okolicy ust, często ściągniętych albo ułożonych w cierpki uśmiech, który nie oznaczał przyjemności, szczęścia ani rozluźnienia, wręcz przeciwnie: „Cześć, widzę cię, ale się spieszę”. Przeważnie jednak historia odbijała się w ich oczach – szeroko otwartych, czujnych, o baczym spojrzeniu na wszystko, niczym gazy, które bez ustanku obserwują otoczenie, jak gdyby ich życie od tego zależało.

Wiedziałam już o rytuałach przejścia i obrzędach inicjacyjnych, jakie musiała zaliczyć dobrze sytuowana matka z Upper East Side. Wiedziałam, że jej tożsamość była wykuwana w toku pewnych rytuałów, co do których panowała powszechna zgoda – zawarcie czegoś, co narratorzy w osiemnastowiecznych powieściach angielskich nazywają „korzystnym zamążpójściem”; przejście przez weryfikację zarządu wspólnoty mieszkaniowej i przeprowadzenie renowacji mieszkania; zapisywanie dzieci do prestiżowych szkół; uczęszczanie na codzienne wyczerpujące ćwiczenia; czynny udział w „mamuśkononii – zamkniętym kręgu dobroczynnych lunchów, wydarzeń szkolnych i towarzyskich, dzięki którym wchodzi się w strategiczne sojusze, umacniając lub podnosząc swą pozycję społeczną. Często się zastanawiałam, jak to jest być żoną samca alfa (albo beta) i matką małych dzieci na Upper East Side, co się wtedy czuje. Mimo że byłam już „swoja”, zawsze pozostanę jednak tą, która dołączyła do stada, tą, która ma mniej pieniędzy niż większość otaczających mnie kobiet. Moja pozycja była niska i nadal byłam względnie nowa. Nie mogłam więc zakładać, że moje odczucia, stres i niepokój podczas odwożenia syna do szkoły, na szkolnych spotkaniach albo w czasie wspólnych zabaw dzieci celnie oddawały ich odczucia. Po wywiadówkach, przy kawie kilka rozmownych mam ubierało w słowa to, co malowało się na ich twarzach.

Mówiły: „Kiedy coś stuknie w kaloryferze, cała aż podskakuję”.

Oraz: „Nauczycielka naszej córki powiedziała, że trudno jej na przerwie znaleźć dzieci, które chciałyby się z nią bawić, a ja wybuchnęłam płaczem”.

A także: „Mąż klepnął mnie w ramię, bo chciał o coś spytać, a ja się tak

wystraszyłam, że krzyknęłam i spadłam z krzesła. W swoim własnym domu”.

– Wiem doskonale, o czym powinnaś napisać – powiedziała jednym tchem Candace podczas pewnego lunchu. Szybko wyjęła coś z torebki i włożyła sobie do ust. Spóźniła się. „Straszne korki” – wyjaśniała. Zaledwie dobę wcześniej jej syn, grając w piłkę, dostał wstrząśnienia mózgu. Jej mąż szukał nowej pracy. Podejrzywałam, że Candace nie sypiała dobrze; miała cienie pod oczami. Trochę też straciła na wadze i wyglądała teraz tak szczupło, jakby się w każdej chwili mogła złamać. Chciałam ją jakoś pocieszyć, ale chciałam też usłyszeć, co ma do powiedzenia, bo ona naprawdę dobrze rozumiała nadambitnych, odnoszących spektakularne sukcesy ludzi, których badałam. W końcu była żoną jednego z nich, a jako ekskluzywna organizatorka imprez przygotowywała już przyjęcia „bociankowe”, luksusowe kinderbale, wieczorki charytatywne dla najbogatszych i najbardziej wpływowych graczy na Manhattanie. Widywała ich w najgorszej formie, z opuszczoną gardą.

– O lękach – wyszeptała ponad stolikiem. – O twoim plemienu matek i ich lękach.

– Jasne – odparłam. Kiwnęłam głową w zadumie. A potem odważyłam się zapytać: – A co to była za tabletka, Candace?

– Ativan – odparła rzeczowo. Zrobiła głęboki wydech i z uśmiechem opadła na oparcie skórzanego krzesła, jej ramiona i twarz wreszcie się rozluźniły. Znów wyglądała jak to ona, pięknie i promiennie, i powiedziała: – No to zamówimy sobie wino?



Lęk i stres to choroby Zachodu, przypadłość WEIRD-ów – antropolog Jared Diamond ukuł ten akronim oznaczający ludzi z Zachodu (*Western*), wykształconych (*Educated*), ze społeczeństw uprzemysłowionych (*Industrialized*), bogatych (*Rich*), o poglądach demokratycznych (*Democratic*). Wystarczy porównać międzykulturowe dane dotyczące miary przeżywania nieadekwatnego poziomu lęku – fobii społecznej – i od razu widać, o co chodzi. Podczas gdy występowanie tej fobii w społecznościach Chin, Korei, Nigerii i Tajwanu wynosi poniżej 1 procenta populacji, w Stanach Zjednoczonych jest to już dziesięć razy więcej. Jeden na czterech Amerykanów w którymś momencie życia doświadczy ostrego lub długotrwałego lęku.

Badacze twierdzą też, że ludzie mieszkający w miastach są szczególnie narażeni na stres i lęk. Zatłoczone ulice i autobusy, kosztowne ubrania, jedzenie, mieszkanie, a do tego hałas przyczyniają się do poczucia zagrożenia i redukują nasze poczucie kontroli, co prowadzi do zwiększonego poziomu lęku, stresu, wzrostu liczby zachorowań na przypadłości związane ze stresem. Rzeczywiście, te specyficzne warunki miejskiej niszy zmieniły ludzki mózg, modyfikując korę

zakrętu obręczy i ciało migdałowate tak, że gorzej radzimy sobie ze stresem w porównaniu z naszymi kuzynami z prowincji.

Biolog i neurobiolog z Uniwersytetu Stanforda Robert Sapolsky, mój partner w wizji z Bergdorfa, opisał mechanizm, w którym stres, niegdyś niezbędny warunek adaptacyjny, został wypaczony, tworząc unikatową współczesną mieszankę chronicznego stresu i jego emocjonalnego pomocnika – chronicznego lęku. „Dla przeciętnego ssaka na sawannie – wyjaśniał – stres oznacza trzy minuty przerażenia, po których następuje jego koniec. Albo twój”. Stres wyewoluował jako pożyteczny, krótkotrwały, ratujący życie fizjologiczny stan: serce bije szybciej, pompując natlenioną krew, płuca pracują wydajniej, ciało odrzuca wszelkie nieistotne sprawy na korzyść bezpośredniego przetrwania (gdy goni cię lew, nie ma czasu na owulację, wzrost albo marnowanie energii na naprawę tkanek – trzeba to odłożyć na potem). Tym krótkim wybuchem przerażenia towarzyszy wydzielanie hormonów stresu, takich jak adrenalina i kortyzol. Kiedy już przechytrzyliśmy lwa albo sam sobie poszedł, poziom tych hormonów we krwi opada.

Dziś jednak „włączamy odpowiedź na stres w sytuacjach czysto psychologicznych, a nie po to stres wyewoluował” – zauważa Sapolsky. Ciśnienie nam skacze do 180/120 nie po to, byśmy mogli ująć z życiem, lecz gdy stoimy w korkach, zamartwiając się terroryzmem. I nie potrafimy znaleźć wyłącznika. Stres z mechanizmu adaptacyjnego zmienia się więc w stan chroniczny i bezustanny lęk. Dzisiaj „hormony, które wydzielały się, by ocalić życie, są wydzielane... bez przerwy, gdy martwimy się dziurą ozonową albo boimy się przed publicznym wystąpieniem”. Jedno z najważniejszych odkryć Sapolsky’ego to obserwacja, że u ssaków żyjących w hierarchii, takich jak pawiany czy ludzie z Upper East Side, struktura społeczna może powodować ogromny stres, wpływać na skład krwi, umysł i ciało, szczególnie gdy jest niestabilna, a jednostki walczą o lepszą pozycję. No, wreszcie powoli zbliżaliśmy się do czegoś.



Tyłu rzeczy można się dowiedzieć z jednej kropli krwi, która wyglądem przypomina kroplę wina, pomyślałam, gdy w święto Paschy zasiedliśmy przy stole w domu mojego szwagra i jego żony na Upper East Side. Nasz starszy syn uwielbia to święto – rytuały dotyczące jedzenia, mycia rąk i modlitwy. Młodszemu podoba się towarzystwo kuzynów i śpiewanie pieśni, pod warunkiem że nie musi siedzieć nieruchomo. Weszłam w tę tradycję i w judaizm, tak jak weszłam w Upper East Side – przez małżeństwo. Gdy więc moi bratankowie i bratanice, szwagrowie, teściowie i mąż trochę markowali, dla mnie wszystko było nowe i fascynujące, tak samo jak dla moich dzieci. Podczas czytania hagady, gdy wymieniane są plagi egipskie, kary zesłane przez Boga na faraona, który odmówił uwolnienia Izraelitów

z niewoli, zanurzyliśmy palce w kieliszkach i każdy na brzegu swojego talerza zostawił dziesięć kropli wina, po jednej na każdą plagę. Krew, żaby, komary, muchy, pomór bydła, wrzody, grad, szarańcza, ciemność, śmierć pierworodnych. Słuchając, układałam w myślach inną wersję tej listy, udręki plemienia kobiet, które teraz tak dobrze już znałam. Wszy, zapisy do szkoły, zbieranie pieniędzy, podróżujący mężowie, konkurencja wewnątrzpleciowa, śledztwo w sprawie nadużyć na giełdzie, rozwody. Wiedziałam, że jest ich więcej. Znacznie więcej.

Dzięki Bogu za wino.



Gdy zbliżyłam się już do wielu matek z Upper East Side, choć niektóre wciąż trzymały się na dystans, coraz bardziej zajmował mnie sens „przynależności” – co to znaczy dla mnie, dla kobiet, które stały się moimi koleżankami, i dla tych, które się nimi nie stały. Jakaś część mnie chciała się wpasować i zostać przyjęta przez każdego z mojego przybranego plemienia. W końcu naczelnice są bardzo afiliacyjne i wysoce prospołeczne – co odróżnia nas od innych gatunków. Tak jak u szympansów, pawianów czy makaków więź z innymi jest dla nas ważniejsza niż cokolwiek innego, nawet jeśli się jest nieco cyniczną matką z południowej części Manhattanu. Wciąż byłam wstrząśnięta tym, że kiedyś traktowano mnie na placu zabaw jak pariasa. Wiedziałam, że tego typu „otrzesiny” nie są niczym niezwykłym wśród ssaków naczelnych, i nie sądziłam, żeby to wykluczenie i ostentacyjne odwracanie się do mnie plecami miało charakter personalny. Ale nadal, w najgłębszych partiach mózgu, czułam strach, że to się może powtórzyć. Wszystkie kobiety chcą się dopasować – czy to hipiski w Berkeley, członkinie komitetów rodzicielskich w Omaha, czy te, które przenoszą się z UES do TriBeCa. Jakaś część mnie była też zdeterminowana, by się podporządkować zasadom: odpowiednio się ubierać, udzielać się w szkole, chadzać na prośzone obiady. Tymczasem płyty czołowe kombinowały, co by się stało, gdybym tego nie zrobiła albo nie mogła tego zrobić. Jak się wypadało z towarzystwa i co się potem działo?

Rozwód albo obniżenie dochodów – dwie najgorsze plagi, jak je nazywałam – to dwa wydarzenia, które – jak się wydaje – przyspieszały wyłączenie z grupy. Jeśli kobieta się rozwiedzie, najpewniej nie będzie miała dość pieniędzy, by pozostać na tym samym poziomie gry – kupować bilety na wydarzenia, brać udział w wyjazdowych przyjęciach na wyspie St. Barths, w Paryżu albo Miami. Z tego powodu będzie coraz rzadziej zapraszana. Jest jeszcze inny powód – rozwódki często wzbudzają w pozostałych kobietach lęk, że „to może spotkać także mnie”. Albo: „ona znów rusza na podryw, więc może odbić cudzego męża”. Pewna rozwódka kiedyś mi powiedziała: „Dla mnie to towarzyski koniec. Troje to już tłum”. Rozwiedziona członkini plemienia może wciąż mieć przyjaciółkę lub dwie, ale jej krąg towarzyski zostaje znacznie ograniczony.

Wizja, że twoje życie może się rozpaść, bo rozpadnie się twoje małżeństwo, była niewątpliwie przerażająca. Ale bardziej wstrząsająca była dla mnie historia kobiety, którą nazwę tutaj Leną. Po kryzysie w 2008 roku, jak głosi legenda, Lena i jej mąż stracili niemal wszystko: dom w Hamptons z widokiem na ocean, wielopokojowe mieszkanie na Park Avenue, wypisali dzieci z prestiżowych prywatnych szkół, których byli niegdyś sowitymi darczyńcami, w których radach zasiadali i mieli władzę decydowania, czyje dzieci się do nich dostaną, co dało im ogromny kapitał kulturowy. Wszystko to przepadło. Przeprowadzili się na ulicę Sto Dziesiątą. Nikomu nic nie mówiąc, Lena podjęła pracę w luksusowym sklepie, w luksusowym centrum handlowym, na ekskluzywnych obrzeżach Manhattanu. Z jednej strony była to czysta konieczność. Ale z drugiej to akt odwagi, gdyż oznaczało to spadek pozycji społecznej. Kilka jej dawnych znajomych wpadło kiedyś do tego sklepu i zszokowane odkryły, że Lena jest teraz „po drugiej stronie” i przynosi im buty do przymierzenia. Gdyby były inne, mogłyby się umówić i zorganizować grupową wyprawę na zakupy, by zapewnić jej wielką prowizję. Mogłyby się nią zaopiekować i ją pocieszyć. Lubię myśleć, że ja właśnie tak bym postąpiła. Niestety dawne koleżanki Leny po prostu jej unikały. Nie wiedzieć czemu, nie zaskoczyło mnie to. Ale za to wkurzyło. Przypominało mi o obcości niektórych kobiet z mojego otoczenia, o różnicy między tym, co czuły, a tym, jak się zachowywały, o tym, jak ja się zachowywałam. Zupełnie jakbyśmy żyły w systemie kastowym, a Lena została na zawsze splamiona, rytualnie nieczysta. Jej trudna sytuacja budziła przerażenie, ona sama zaś stała się tabu. Być może niektóre kobiety zakładały, że Lena poczuje się upokorzona w ich towarzystwie, ale raczej wątpiłam. Czy to był wystarczający powód, by odrzucić przyjaciółkę?

„Wygląda na to, że gdy twoja koleżanka jest na dnie, może cię pociągnąć za sobą albo możesz płynąć dalej” – wyjaśniła mi przy kawie świeżo rozwiedziona z bogatym i wpływowym mężem znajoma. Królowa Królowych Pszczoł przestała się do niej odzywać, ale zasugerowałam, że to akurat jedyna korzyść z tej sytuacji. Wiedziałam jednak, że przeżywała ten ostracyzm i porzucenie, i bardzo jej współczułam – tak jak Lenie.

Historia głosi, że w rezultacie Lena i jej mąż wyjechali z miasta. Ulżyło mi, gdy się dowiedziałam, że została buddystką i była bardzo szczęśliwa. Ale dla pewnego kręgu kobiet Lena przestała istnieć. „Zdaje się, że się przeprowadziła do jakiejś hipisowskiej komuny i chyba dołączyła do jakiejś sekty?” – odpowiadały, gdy pytałam o jej losy Leny. Była dla nich martwa.

Odnosiłam wrażenie, że kultura Upper East Side była sama w sobie plagą. Presja, by się podporządkować, pęd ku perfekcji, nacisk na wygląd i utrzymywanie pozorów są niezwykle silne i nieubłagane. Kiedy na początku mojego życia tutaj zdałam sobie sprawę, że aby wyskoczyć do sklepu za rogiem po mleko, muszę się wystroić, to był tylko wierzchołek góry lodowej. Trzeba było być społecznie

ślepy i głuchy, żeby nie dostrzegać wymagań dotyczących perfekcyjnego stroju, makijażu, fryzury, bywania zawsze na właściwych imprezach, w towarzystwie właściwych osób i we właściwym czasie. Ale na głębszym poziomie odbywa się tu coś jeszcze innego. Historia Leny nauczyła mnie, że jak u Beduinów czy Romów, tak i świat Upper East Side jest kulturą honoru/wstydu. Wstyd i lęk przed niedopasowaniem się albo ostracyzmem i odrzuceniem, a nie przed trafieniem do piekieł albo do więzienia to główne narzędzia utrzymywania kontroli w społeczeństwie. Na Upper East Side, tak jak w Chinach i w niektórych plemionach Indian Amerykańskich, można stracić „twarz” – nie część ciała, którą mówimy, w którą wkładamy pożywienie i którą malujemy, ale prestiż, reputację, istotę własnego ja. Marcel Mauss pisał tak o Indianach Wybrzeża Północno-Zachodniego:

Szlachcic Kwakiutl (...) ma dokładnie to samo pojęcie zachowania „twarzy” co chiński mandaryn czy oficer. O jednym z wielkich mitycznych wodzów, który nie wydawał potłacz, mówi się, że miał „zgniłą twarz”. (...) Utrata prestiżu istotnie jest równoznaczna z utratą duszy; właśnie „twarz”, maska taneczna, prawo do ucieleśniania ducha, do noszenia godła, do totemu, właśnie *persona* – oto stawka w grze, oto, co się traci w trakcie potłacz, grze darów, tak samo, jak można to stracić na wojnie czy wskutek błędu obrzędowego ***.

Czy też – dodałby pewnie dziś Mauss o kobietach, które badałam – utracić ją można wskutek utraty pieniędzy. Albo mając pluskwy.

Dla ludzi z całego Nowego Jorku wszy i pluskwy to niewygodny i stresujący element życia, lecz dla bogatej mamy z UES, takiej jak moja koleżanka Gina, to coś zupełnie innego. Gina całymi dniami łkała – nie dlatego, że pozbycie się ich jest kosztowne, długotrwałe i wyczerpujące. I nie dlatego, że cała była pokryta swędzącymi śladami po ugryzieniach i nawet we własnym łóżku nocą nie mogła odpocząć. Ani nawet nie dlatego, że przez kilka lat nie będą mogli sprzedać takiego mieszkania ze względu na obowiązujące przepisy, nakazujące ujawniać sprzedającym, że w nieruchomości był problem z insektami. Otóż nie. Gina najbardziej się bała, że dowiedzą się o tym jej znajome. Jej tożsamość zależała między innymi od urządzania proszonych zabaw dla dzieci i od prowadzenia idealnego domu. Pluskwy oznaczały więc możliwość wykluczenia z grupy. „Nikt już do mnie nie przyjdzie!” – skarżyła mi się. Jeśli jej dzieci nie będą miały życia towarzyskiego, także ona nie będzie go miała. A już wiemy, co się dzieje z kimś, kto nigdzie nie przynależy w afiliacyjnym społeczeństwie urządzonym hierarchicznie – czeka go śmierć społeczna (a jeśli jest pawianem, to także dosłowna, fizyczna).

Wiele ze znanych mi matek podzielało takie podwyższone poczucie społecznego wstydu i upokorzenia – wstydziły się nie tylko katastrof życiowych w rodzaju rozwodu, bankructwa, lecz także dodatkowych trzech kilogramów,

dziecka, które musi chodzić na terapię zajęciową, czy tego, że nie stać ich na dwa tygodnie w Aspen. W kulturze honoru/wstydu, w świecie, w którym oczekuje się od ciebie, że nie będziesz mieć ani odrobiny cellulitu, jednego odstającego włosa, gdzie twoje całe życie zależy od tego, co podarujesz w potlacz, jak prowadzisz dom albo czy twoje dzieci mają problemy, łatwo jest stracić twarz. Nie ma grzechu, prawdopodobnie także boga – plemię było tradycyjnie monoteistyczne, ale teraz przeważnie postreligijne – jest tylko wstyd. Może się to wydawać niezrozumiałe, ale gdy wejdzie się już w kulturową logikę tracenia twarzy, staje się jasne, dlaczego możliwość publicznego upokorzenia jest realnym stresorem. Ich wymizerowane smutne twarze. Kolejna kropla wina.



Candace przeważnie nie myliła się w sprawach plemienia, więc, podążając jej tropem, rzeczywiście odkryłam, że istnieje pewnego rodzaju różnica płciowa w odczuwaniu lęku. Kobiety z krajów rozwiniętych (tylko te) ze znacząco większym, bo dwukrotnym, prawdopodobieństwem niż mężczyźni będą cierpiały za zaburzenia lękowe. Sądziłam jednak, że i tu moje plemię będzie wyjątkiem. W końcu z pierwszej ręki wiedziałam, że bycie względnie zamożną mamą na Manhattanie daje dużą przewagę: możliwość zabezpieczenia się nie tylko przed katastrofami takimi jak choroba, gdy się nie ma ubezpieczenia zdrowotnego, albo brak pieniędzy, by nakarmić dziecko, lecz także przed natarczywością codziennego życia w wielkim mieście – przez masażę albo weekend na wsi. Doszłam do wniosku, że posiadanie wyraźnie większego majątku, prywatnych samolotów, możliwości odbywania trzytygodniowych wakacji na Karaibach / w Aspen (albo na Turks i Caicos / w Vail), tygodniowych babskich wypadów do Canyon Ranch i Further Lane, by uciec od męczącego zgiełku miasta, sprawia, że ultrabogate mamy szkolnych kolegów moich dzieci powinny być widocznie spokojniejsze. Czyż umieszczenie dzieci w najlepszej szkole albo zatrudnienie najlepszej niani – rekomendowanej przez agencję, która pobiera kolosalne opłaty za wybranie rodzicom opiekunki z absolutnej śmietanki – sprawiałoby, że będziesz spokojna o ich dobro? Zakładałam, że wszystko to wystarczy, by stłumić niepokoje każdego. A inne lęki i stesy przeżywane przez kobiety wynikały z tego, że same sobie wymyślały problemy, zamartwiając się bezsensownymi rzeczami, nie umiając cieszyć się chwilą i tym, co mają.

Myliłam się.

Okazało się, że stare porzekadło jest prawdą – jeśli masz kontrolę nad takimi czynnikami, jak bieda, choroba, głód, to pieniądze szczęścia nie dają. A z pewnością nie dają ulgi od niepokoju. Tak naprawdę wydaje się, że jest odwrotnie – do zwykłych stresów życia codziennego w wielkim mieście dochodzi jeszcze mnóstwo stresorów specyficznych dla tej niszy ekologicznej, co sprawia, że bogata

mama z UES jest absolutnym kłębkiem nerwów. Dla ich psychiki najgorsze, co się im mogło przydarzyć, jest życie, jakie wiodą.

Kult „intensywnego macierzyństwa”, właściwy Zachodowi, szczególnie wśród zamożnych, z pewnością był jedną z plag. Socjolog Sharon Hays, autorka tego pojęcia, definiuje intensywne macierzyństwo jako „specyficzny dla jednej płci model nakazujący matkom poświęcać niesłychanie wiele czasu, energii i pieniędzy na wychowanie swoich dzieci”. Ciągła dostępność emocjonalna, ciągle monitorowanie stanów psychicznych swoich dzieci, niekończące się zapewnianie im aktywności i stymulowanie ich intelektualnego rozwoju to coś, czego według Hays oczekuje się od kobiet, a niedociągnięcia w całościowej i wszechstronnej opiece albo po prostu odpuścić dzieciom traktowane jest niemal jak zaniedbywanie. Matki z mojego plemienia, w przeciwieństwie do mojej mamy, cały czas były na służbie, piekąc ciasteczka, by nauczyć dzieci ułamków, chodząc z nimi na edukacyjne wizyty do muzeów i „angażując się” w szkołę. W tym podejściu macierzyństwo to pełne lęków, całodobowe, wyczerpujące i ryzykowne zajęcie. Na dobrą sprawę na Upper East Side nie istnieje pogląd, że dopuszczenie do tego, by dziecku coś się nie udało i by poczuło frustrację, uczyni je szczęśliwszą i silniejszą osobą. Nie, jeśli twojemu dziecku się nie udało – zdobyć 99,9 procent na teście, wykonać najlepszy rysunek na plastyce, być w czołówce w biegu z przeszkodami – nie jest to dla niego pouczające. To po prostu kolejny dowód na to, jakim się jest beznadziejnym rodzicem.

Ale gdy się tak intensywnie matkuje, daje z siebie wszystko, istnieje ryzyko, że ktoś cię nazwie „matką helikopterową” i zbeszta za rujnowanie życia dzieciom. Nic więc dziwnego, że w badaniu, w którym brało udział 181 matek prezentujących styl intensywnego macierzyństwa, okazało się, że mają one bardzo wysoki poziom lęku i depresję. Tymczasem, jeśli odpuszczasz i przeglądasz sobie kolorowe magazyny, gdy twoje dzieci oglądają telewizję, jesteś Złą Matką. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej odległego od ewolucyjnego skryptu macierzyństwa, w którym dzieci bawią się w różnorodnych wiekowo grupach, młodsze uczą się od starszych, a potem pomagają w domu, podczas gdy matki spędzają czas ze swoimi siostrami i kuzynkami, wspólnie opiekując się dziećmi, niż plaga intensywnego macierzyństwa. Kolejna kropla wina na brzegu talerza.

Dotarło do mnie wreszcie, że posiadanie możliwości wyboru oraz pieniędzy, by z nich korzystać, jest w moim plemieniu następną plagą. Początkowo mnie to zaskoczyło, bo często się mówi, że bogaci mają możliwości, jakich brakuje biednym, a możliwość wyboru to przywilej. Owszem. Wysłać dziecko do szkoły prywatnej z małymi liczebnie klasami czy do państwowego przeludnionego molocha – tu wybór jest dobrem. Tak samo jak wtedy, gdy przy zakupie samochodu można wybierać między dwoma najbezpieczniejszymi samochodami, bo na obydwu nas stać, zamiast z konieczności kupować gorszy. W powyższych

przykładach wybór i ekonomiczna przewaga nie tylko poprawiają jakość życia, ale wręcz dosłownie je chronią (Które volvo wybrać? Jakiego onkologa? Którą nianię z Norland?). Z obserwacji matek i z własnego doświadczenia dowiedziałam się tego, co pokazują badania: posiadanie zbyt wielu opcji do wyboru jest stresujące. Gdy ma się więcej niż trzy, cztery możliwości, pojawiają się negatywne skutki, takie jak: żal, zawyżone oczekiwania, rozczarowanie. Gdy opcji jest jeszcze więcej, skutki te się nasilają, prowadząc do zaburzeń lękowych. Istnieje tylko jeden czynnik, który je łagodzi – to, że wybierający nie są odpowiedzialni za własne wybory. W intensywnym macierzyństwie jest odwrotnie. Matka jest całkowicie odpowiedzialna za potencjalnie odmieniający życie wybór najbezpieczniejszego fotelika samochodowego, wózka czy organicznych marchewek. „Nie mam pojęcia, którą wybrać!” – wykrzyknęła pewna mama w żłobkowej kafejce, patrząc na leżącą przed nią stertę życiorysów potencjalnych niań. Zamierzała wrócić do pracy na pełen etat. „A przecież to nie tak, że to nie jest ważne. W końcu chodzi o moje dzieci!”

Można to nazwać problemami Pierwszego Świata, ale tylko jeśli się zrozumie, że dosłownie tak właśnie jest. W pozostałej części świata opieka do dzieci nie jest tak problematyczna, bo „potrzeba całej wioski” to styl życia, a nie tylko naklejka na zderzak. Pozwala on matkom na pracę, samorealizację i życie niekończące się na macierzyństwie, i to bez poczucia winy. Albo zaburzeń lękowych. Kolejna kropla wina za to.

Nianie, gosposie, opiekunowie, sprzątaczk i lokaje to najważniejsi sojusznicy bogatej matki. Lecz równie często, jak dowiedziałam się od niektórych mam, mogą się stać jej największymi przeciwnikami. I głównym źródłem lęków. Przed urodzeniem dzieci, gdy mieszkałam na południu, zawsze uważałam, że łatwo jest mieć dobre relacje z kimś, kto dla ciebie pracuje w twoim domu. Jeśli będę „miła” i pełna szacunku, nasza niania będzie „szczęśliwa” i będzie dobrze pracować. Koniec. A kobiety, które mają problemy z nianiami czy sprzątaczkami, najwyraźniej nadużywają władzy nad tymi, którzy tej władzy nie mają, więc płacą za to cenę. Będąc jednak w takiej relacji, szybko dostrzegłam, o ile bardziej interesujący, złożony i wypełniony lękami jest to związek – o wiele bardziej, niż sugerują autorki książki *Niania w Nowym Jorku*. Po pierwsze, to kwestia pieniędzy. Wiele znanych mi niań zarabiało 100 tysięcy dolarów (albo więcej) rocznie i podróżowało po świecie prywatnym samolotem. Miały opłacane wakacje, pokrywane lub dofinansowywane ubezpieczenie zdrowotne oraz dostawały hojne premie wakacyjne. Umówmy się, że nie jest to praca w kopalni. Dlatego właśnie za każdym razem szokowało mnie, że nianie wchodziły ze swoimi szefowymi – szefowymi, bo w tym plemieniu mężczyźni rzadko odgrywali aktywną rolę w gospodarstwie domowym – w konflikt władzy. „Myślała, że jest mi potrzebna bardziej niż ja jej” – powiedziała ponuro jedna znajoma o tym, co widziałam jako

spirale konfliktu między nianią, pomocą domową i szefową. „Gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest ważna, zaczęła wymagać coraz więcej. W pewnym momencie czułam się już poważnie wyzyskiwana”.

Prawda jest taka, że choć to mamy mają pieniądze, do niań należy władza innego typu – władza sprawienia, że nasze życie stanie się łatwiejsze, albo władza wywrócenia naszego grafiku i życia do góry nogami (celowo bądź nie), a przede wszystkim ogromna władza wiążąca się z opieką nad najbardziej bezbronnymi członkami naszej rodziny. Jest wiele cudownych, kochających niań. Niania naszych przyjaciół chodziła nawet na seminaria o opiece nad dziećmi w lokalnym JCC – nie dlatego, że ją o to proszono, lecz z własnej woli. Przyjaciółka odkryła to, gdy obok jej torebki, na stoliku natrafiła na notatki z zajęć, spisane łamaną fonetyczną angielszczyzną, a potem skrupulatnie przetłumaczone na hiszpański. Nieproszona i nieopłacana za to, owa pani wystawiła się na godziny trudu nie tylko z oddania dla dziecka, którym się opiekowała, czy swoich szefów, lecz także z własnej chęci bycia lepszą nianią. Inna niania ryzykowała własnym życiem, gdy przed sklepem spożywczym na Upper West Side rusztowanie runęło na jej podopiecznego – małe dziecko. Wbrew radom naocznych świadków, którzy twierdzili, że to zbyt niebezpieczne, rzuciła się w rumowisko, odnalazła i ocaliła je (nic mu się nie stało, ale sprawy mogłyby przybrać inny obrót, gdyby nie odwaga i poświęcenie opiekunki).

Są też nianie złośliwe, bez przygotowania, albo nawet niezainteresowane opieką nad dzieckiem, takie, które robią to, „dopóki nie wymyślą, co tak naprawdę chcą robić w życiu” (to z reguły dwudziestoparolatki po college’u), albo dlatego, że nie mają kwalifikacji, by podjąć jakąkolwiek inną pracę. Niektóre knują, inne się odgrywiają, jeszcze inne są głupawe albo mają okropne podejście. Pewnego dnia, gdy wiatr tak przybrał na sile, że policja zachęcała ludzi do pozostania w domach, znajoma zadzwoniła do swojej niani, by prędko wróciła z dziećmi do domu. Jej siedmioletni syn opowiedział później, że niania rozłączyła się i stwierdziła: „Twoja matka jest nieźle walnięta”. Istnieją nianie, które okazują bierną agresję, informując, że są chore, akurat wtedy, gdy matki mają ważne spotkanie wpisane do kalendarza. Albo zostawiają bałagan w mieszkaniu, żeby coś udowodnić. Opiekunki i matki walczą ze sobą. Kłócą się. Często męczą się wzajemnie pod jednym dachem, nie znosząc się i potrzebując jednocześnie. Negocjują i konfrontują się z zawłościami różnic socjoekonomicznych, kulturowych (w przypadku opiekunek z zagranicy) czy różnicy pokoleniowej (w przypadku dwudziestokilkuletnich niań), a także z zazdrością (matka może się złościć: „Moje dziecko widuje ją częściej niż mnie!”, a niania: „Dlaczego ona ma aż tyle, a ja nie?”), a wszystko to w czterech ścianach. Posiadanie niani albo bycie nianią i posiadanie matki jako szefowej może być jednocześnie pożyteczne i doprowadzać do szału. Nigdy jednak nie słyszałam, by ktoś opisywał tę relację jako łatwą.

Chemia między mamą a nianią, z którą relacja może być dokładnie tak samo skomplikowana jak w małżeństwie, jest wielką niewiadomą i jednocześnie jednym z ważniejszych, jeśli nie najważniejszym czynnikiem wpływającym na poziom zaburzeń lękowych i jakość życia matek z Upper East Side. Dawniej z tego pokpiwałam: „Przecież możesz ją zwolnić!”. Gdy zaś dotyczyło to mnie, zadawałam sobie pytanie: „Ale co potem?”. W kulturze, w której – jak zauważyła Anne Marie Slaughter – nie ma infrastruktury opiekuńczej, żadnych regulacji rządowych, nadzoru, kontroli opiekunów, matki i nianie są zbyt współzależne, a możliwości wyboru jest zbyt mało, by ta relacja mogła być łatwa. Kolejna kropla wina.

Jest jeszcze węzeł gordyjski, potrójnie groźna plaga dla mojego ludu – wzajemne oddziaływanie ograniczania kalorii, coraz niższego poziomu estrogenu oraz bezsenności – trapiąca prawie wszystkie kobiety, z którymi rozmawiałam. W pewnym momencie mojej kariery jako matki na Upper East Side zdałam sobie sprawę, że nie będzie przesady w stwierdzeniu, że deprywacja snu, zaburzenia hormonalne i głód wpływają na to, jak bardzo niespokojna i nieszczęśliwa jest dana osoba. Kobiety, które odkładają decyzję o małżeństwie i urodzeniu dziecka na później, mogą mieć lepsze perspektywy, bardziej zmielinizowany mózg niż dwudziestoparolatki, a także społeczną i finansową stabilizację. Mamy jednak mniej energii niż nasze młodsze odpowiedniki. Trudniej nam naładować baterie i odpocząć podczas snu, którego tak nam brakuje. Gdy po trzydziestym piątym roku życia poziom estrogenu się obniża, a czasem wręcz pikuje, sen zaczyna być nieosiągalny. Niski poziom tego hormonu nie tylko nie pozwala zasnąć. Badacze twierdzą, że kobieca podatność na lęk i zaburzenia nastroju może być w dużej mierze wynikiem spadającego poziomu estrogenu. Estrogen wycisza reakcje lękowe u zdrowych kobiet oraz samic szczurów; im wyższy jego poziom we krwi kobiet uczonych przez badaczy wygaszania lęku, z tym mniejszym prawdopodobieństwem reagowały one strachem. Krótko mówiąc: im mniej masz estrogenu, tym mniej masz spokoju.

A teraz dodajcie do tej mieszanki plagę najdziwaczniejszych imperatywów na całym UES: bądź tak wysportowana, odłuszczona i zwiewna, jak tylko się da. Podczas podróży służbowej do Abudży, stolicy Nigerii, mój mąż poszedł na lokalny targ, żeby wybrać mi jakiś drobiazg. Pulchna kobieta w tradycyjnym kolorowym stroju pomagała mu przeglądać rzeczy na swym straganie i zapytała: „Czy twoja żona jest tłusta?”. A kiedy zmieszany odparł: „Co? Ależ nie, jest chuda!” – kobieta spuściła wzrok zawstydzona. Jej pytanie oznaczało: „Czy twoja żona jest zdrowa i piękna? I czy jesteś bogaty?”. Nie patrzyła mu w oczy, nawet gdy jej płacił i dziękował za pomoc. Jego żona była szczupłą, a on się do tego przyznał. Równie dobrze mógłby być pokryty wrzodami. Jednak tu, na UES, nic się lepiej nie sprzedaje niż rozmiar 00. Kobiety dzielą się na szczupłe, szczuplejsze

i najszczuplejsze. To nasze własne kryterium piękna i zamożności, a osiągnięcie tego standardu jest niezwykle wymagające. „Poza Hollywood i branżą modową nie ma chyba miejsca, w którym panuje taki nacisk na bycie szczupłą” – zauważyła Stephanie Newman, psychoanalityczka z Manhattanu, prowadząca gabinet na UES, gdzie przyjmuje wiele pacjentek z zaburzeniami odżywiania. Endokrynolodzy mówią, że im się jest szczuplejszym, tym mniej ma się estrogenu. Tłuszcz nie jest może zbyt zdrowy, ale tkanka tłuszczowa potrafi wytwarzać ten hormon, który z kolei osłabia lęk. Nerwy i chudość idą w parze, niczym Dolce & Gabbana.

Bycie chudym i wiecznie głodnym, zastępowanie normalnego posiłku zielonym koktajlem z jarmużu, a także pozostałe przejawy stylu życia mojego plemienia wpływają na coś więcej niż tylko poziom hormonów. Warunki słynnego eksperymentu głodowego, w którym wzięło udział 36 mężczyzn odmawiających w czasie drugiej wojny światowej służby wojskowej ze względu na przekonania, są niemal identyczne z codziennymi praktykami wielu kobiet z UES i krajowych rekomendacji dla utraty wagi: 500 do 600 kalorii mniej niż dzienne zapotrzebowanie, by stracić do kilograma tygodniowo. Mężczyźni w eksperymencie otrzymywali 1 600 kalorii dziennie i tygodniowo pokonywali 35 kilometrów w celu stracenia półtora kilograma wagi na tydzień. W badaniu tym uczestnicy szybko zaczęli odczuwać apatię, drażliwość i duży lęk, a także zawroty głowy, nietolerancję niskich temperatur, wypadanie włosów, dzwonienie w uszach, mieli także problemy z koncentracją i stracili zainteresowanie seksem. Zaczęli obsesyjnie interesować się jedzeniem i wykonywali złożone rytuały, gdy zasiadali do posiłku, podobnie jak robią anorektyczki, rytualizując czynności związane z przygotowywaniem i spożywaniem posiłku.

Krótko mówiąc, cały ten eksperyment był w przybliżeniu taki jak zwykły lunch w Sant Ambroeus. Warto też zauważyć, że przez tego typu restrykcje dietetyczne całe 6 procent zmotywowanych i zdrowych uczestników badania trafiło do szpitala psychiatrycznego: jeden miał skłonności samobójcze, inny odciął sobie trzy palce. Nic więc dziwnego, że otaczające mnie kobiety, dla których picie soków warzywnych, głodówki i oczyszczanie wraz z wielogodzinnymi rygorystycznymi ćwiczeniami stały się stylem życia, były na skraju. Najwyraźniej to cud, że w szkolnej windzie obrzucały się jedynie zawistnymi spojrzeniami, a nie rzucały się na siebie z tasakiem do mięsa.

W istocie, spadek estrogenu u chudych kobiet w średnim wieku – czyli właśnie w moim plemieniu – sprawia, że są one bardziej agresywne. W pewnym badaniu kobiety podzielone na grupy pod względem poziomu odczuwanego lęku miały wykonać komputerowy test PSAP (*Point Subtraction Aggression Paradigm*). Odnotowano wyższe wskaźniki ataku dla wysokolękowych kobiet i z pewnym zaskoczeniem zaobserwowano także, iż atak w tej grze nie niósł ze sobą żadnych wymiernych korzyści – nie zdobywano wtedy punktu, a zatem był on „czystą

formą złośliwej, reaktywnej agresji”. Aha! – pomyślałam, gdy czytałam artykuł i przypomniałam sobie te wszystkie codzienne chodnikowe starcia w miejscu, w którym rozbiłam swą bazę.



Na każdą plagę kropla wina. Albo kieliszek. Albo parę.

Zamożni mężowie z Upper East Side kolekcjonują czerwone wino. Piwniczki na wino w ich domach w Hamptons są formą kapitału kulturowego, sugerują, że nie są oni jedynie bogatymi konsumentami – są wyrafinowanymi, uczonymi koneserami. Butelkę wina otwierają dla przyjemności, by się podzielić, ale także by pokazać władzę. Tak jak właściwa sztuka współczesna, właściwy pomerol rocznik 1994 informuje nie tylko o tym, co się ma, lecz także co się wie. To zawsze mąż, czasem w porozumieniu z drugim mężem przy stole, zamawia wino o trzycifrowej cenie, gdy para wychodzi do restauracji.

Tymczasem ich żony piją, zwykle białe wino (bo czerwone, jak mówią, nie pozwala zasnąć), żeby przetrwać. Być dzieciątą kobietą z Upper East Side to pić wino. W całym kraju to kobiety są grupą napędzającą sprzedaż tego trunku i każdy właściciel kodu pocztowego 10021, 10075 oraz 10028 dobrze o tym wie. Departament Zdrowia i Higieny Psychiczej w Nowym Jorku stwierdził, że mieszkańcy UES są zdrowsi od pozostałych nowojorczyków niemal w każdym aspekcie. Ale w jednym przodują szczególnie: są o 35 procent bardziej skłonni do nadużywania alkoholu niż reszta miasta. Innymi słowy, jeden na pięciu członków mojego plemienia w ostatnich kilku miesiącach nadmiernie pił. Ilu z nich to kobiety? Nie ma takich statystyk, ale opierając się na moich badaniach terenowych oraz sporej liczbie obserwacji uczestniczących, mogę udzielić pseudonaukowej odpowiedzi: dużo. Dla rozbawionych uczestniczek babskich wypadów na miasto wypicie duszkiem czterech lampek wina na głowę to naprawdę żaden wyczyn. W pracowniach rzemiosła, gdzie odbywają się urodzinowe kinderbale albo gdzie spędza się deszczowe dni, wino podawane jest już od jedenastej przed południem. Znane mi matki piły białe wino, wódkę, tequilę, a te, które chciały męskiej aprobaty albo usiłowały się wyróżnić – szkocką lub jakąś inną „męską” whiskey każdego wieczoru. Z wyjątkiem poniedziałku. Bo wtedy był dzień pokuty – sokowego postu (*juice fast*), który miał naprawić weekendowe szaleństwo z piciem i jedzeniem. Za to od wtorku do piątku się piło.

„W weekendy zasady nie obowiązują” – wyjaśniła mi znajoma, gdy zapytałam ją o reguły. Oznaczało to, że można było zacząć już rano, na lunch, wypić wino, koktajl przed kolacją, a w trakcie jeszcze kilka. Dla wielu kobiet, matek z Manhattanu – tych, które w środowe, czwartkowe i piątkowe poranki nawet w szkole nosiły okulary przeciwsłoneczne – picie alkoholu było sposobem samouspokajania się i samoleczenia, pewnego rodzaju rozwiązaniem, czymś,

dzięki czemu się zasypia, nagrodą za przetrwanie jazdy taksówką, podróży przez miasto, kłótni z nianią. Widok kogoś niedożywionego i wypitego podczas gali czy proszonego obiadu, kogoś, kogo kierowca musi wsadzić do samochodu, nie był niczym dziwnym. Na drugi dzień ludzie mogli jeszcze o tym naszeptywać, jeśli się poszło naprawdę na całość, ale panowało podstawowe zrozumienie i niepisana zgoda: Pijemy. I co z tego. Istnieje oczywiście spektrum – od abstynentki do alkoholiczki. Mnie jednak uderzyło, gdy piłam z tymi kobietami, że to picie było nie tylko psychologiczne, społeczne, emocjonalne, lecz także, na moje oko, plemienne. Praktycznie rzecz biorąc, jest to *comme il faut*, bo stało się to częścią kultury. A stało się jej częścią, bo działa na smutki. „Powinni zrobić bar na pediatrycznym ostrym dyżurze!” – z emfazą powiedziała mi kiedyś Candace, po tym jak trafiła do szpitala z synem.

Istnieje także coś poza alkoholem. Na UES najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny są nie diamenty, a benzodiazepiny. Mnóstwo znanych mi mam codziennie brało leki. Ativan, xanax, valium, klonazepam, zolpidem. Miały je wszystkie i nie bały się ich użyć. Często mieszały je z winem, jak to miała w zwyczaju na przykład pewna projektantka mody i zarazem matka dwojga dzieci, którą często widywano z głową w talerzu podczas lunchu w modnych restauracjach. Kobiety te brały leki przeciwlękowe, żeby zasnąć. Brały je w środku nocy, gdy budziły się z bijącym sercem, w panice spowodowanej szkołą, pieniędzmi czy wiernością męża. Brały je przed odwiezieniem dzieci do szkoły, by ukoić nerwy, przed lunchem, na którym miały spotkać więcej fałszywych niż prawdziwych przyjaciółek (sama myśl o tym, że mogłabym gdzieś spotkać Królową Królowych Pszczół z jej szyderstwem i drwiną sprawiała, że miałam ochotę sięgnąć po flaszkę). Brały je też, gdy były zmęczone. Nie oceniam, naprawdę. Sama łykałam benzodiazepiny, żeby się wyleczyć z lęku przed lataniem. Któregoś dnia w szkolnej windzie podsłuchiłam, jak jedna mama mówi drugiej, że nienawidzi latać i xanax jej nie pomaga. Odwróciłam się wtedy i z przekonaniem, bez skrępowania powiedziałam: „To dlatego, że musisz go popijać Krwawą Mary!”. Nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy ani też nie rozmawiałyśmy.

Niektóre kobiety odstawiają wino i benzo, gdy dzieci dorastają. Dla nich to czas, gdy można odpuścić sobie stres związany z opieką nad potomstwem, kontrolowaniem opiekujących się nim osób i wszystkim, co się z nimi wiąże, całodobowo. Kiedy dzieci całymi dniami są w szkole, kończy się w macierzyństwie faza walki wręcz, a wraz z nią nadużywanie leków i alkoholu. Jednak dla części matek picie i zalecanie się nie jest fazą przejściową. Według nich macierzyństwo nie tylko pobudza do picia i mieszania alkoholu z lekami, macierzyństwo również maskuje ten popęd, dostarczając wygodnego pretekstu i przykrywkę. Wszystkie to robią. Więc żadna nie zauważa. U niektórych bogatych mam rozwinie się „problem”. W siedzibie AA na UES, która mieści się w kościele między sklepem

Prady a Ralpa Laurena na Madison Avenue, piękne, szczupłe mamy ubrane w Chanel, Celine i Valentino korzystają z możliwości opieki nad dziećmi w ramach programu, żeby wymknąć się na meeting. Są tajnym plemieniem w plemieniu i nigdy, przenigdy się do tego nie przyznają. Na przyjęcia będą przyjeżdżać wcześniej, by zamówić coś, co wygląda dokładnie jak wino i jest w kieliszku do wina. Na proszonym obiedzie dla matek w Serafinie będą piły tonik z limonką, udając, że to wódka z tonikiem. Będą mówiły, że nie mogą pić, bo zażywają antybiotyk albo boli je głowa, albo następnego dnia rano mają spotkanie. Będą utrzymywały pozory i zachowywały twarz, bo takie są zasady i tak się robi. Na meetingach AA będą siedziały niepewnie, nie mogąc się rozluźnić, wierząc się na krzesłach niczym gibkie, nerwowe konie wyścigowe, a ich twarze będą napięte z wysiłku i zmartwienia. Nieważne gdzie, na lunchu w Le Bilboquet, w jakiejś zwykłej restauracji, w miejscu, gdzie zbierają się członkinie plemienia. Brakuje jedynie kieliszków wina.



Wino jednak nie jest w stanie zdusić największych lęków. Jednym z nich, co uświadomiłam sobie po wieczorze w domu Rebekki, była zależność. Im dłużej obserwowałam, wysłuchiwałam, jadałam i pijałam z matkami z UES, tym bardziej dostrzegałam, że dla wielu z nich ich życie, szczęście, tożsamość zależy od rzeczy i ludzi pozostających całkowicie poza ich kontrolą.

Zależność ekonomiczna od męża, o ile dobrze rozumiałam, nie pozwalała spać spokojnie wielu kobietom, czy sobie z tego zdawały sprawę, czy nie. Świadomość, że mężowie mogą odejść do innej, prosta kalkulacja, że bez nich nie dadzą rady się utrzymać, dręczyła je tak samo jak głód. Niektóre mówiły mi ściszym głosem, że – tak jak ich matki i babki – odkładały „kieszonkowe” na sekretnym koncie, tak na wszelki wypadek. Kilka kobiet opowiedziało mi o „premiach rocznych”, które mężowie wypłacają żonom – jakby były ich pracownicami, a nie partnerkami. „Mama powtarzała mi, żebym wyciągnęła od męża tyle biżuterii, ile się da. Jako zabezpieczenie” – powiedziała cierpko jedna znajoma, gdy siedząc na ławce przy placu zabaw, rozmawiałyśmy o niezwykle trudnym i publicznym rozwodzie naszej wspólnej koleżanki. Moja rozmówczyni ukończyła z wyróżnieniem uczelnię z Ligi Bluszczowej. Miała również MBA. Ale nigdy nie pracowała.

„Te kobiety, które pociąga mężczyzna typu ‚pan świata’, mogą skończyć w poczuciu odsunięcia na margines, i to we własnym domu – powiedziała psycholog kliniczna i pisarka Stephanie Newman, gdy spytałam ją o związki zaburzeń lękowych i zależności ekonomicznej na Upper East Side – bojąc się, że nie da rady utrzymać ani siebie, ani dzieci”. A jeśli sprawy przybiorą zły obrót „dla kobiety, której koncepcja własnego ja całkowicie związana jest z posiadaniem

idealnego małżeństwa, z punktu widzenia praktycznego i emocjonalnego rozwód może nie być dobrym rozwiązaniem” – zauważyła prawniczka i psychoanalityczka Rachel Blakeman. Dla wielu takich kobiet nie ma wyjścia z tej łamigłówki, jaką jest małżeństwo z bogatym i wpływowym mężczyzną – choć na początku miała ona być Odpowiedzią.

„Nie powinna flirtować z mężami innych kobiet!” – mówiły dosadnie kobiety o pięknej Francuzce, która była też bankierem inwestycyjnym i miała, nieco starsze od moich, dzieci w innej szkole, w odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak wiele matek z naszej szkoły ma do niej ambiwalentny stosunek. Była nowa w stadzie, bo wyszła za rodowitego nowojorczyka, i najwyraźniej uważała plemienne praktyki z podziałem według płci za równie konsternujące jak ja. Podobnie jak mnie, często widywano ją więc rozmawiającą z ojcami podczas kinderballi czy koncertów. Pewnie załatwiała jakiś biznes albo próbowała dobrze się bawić. Sądziłam, że jest piękna i błyskotliwa, i zawsze szukałam jej wzrokiem. Nie omieszkałam też podsunąć jej mojego męża. Czyż każda kobieta, która z nim flirtowała, nie oddawała mi przysługi? Jeśli był w dobrym nastroju, moje życie stawało się przyjemniejsze. A odrobina bezpiecznej zabawy i miłego łechtania nie była chyba niczym wielkim w zamian za związek do końca życia. Jednak dla kobiet, które uważały swe małżeństwo i macierzyństwo za podstawę tożsamości, a mężów za ostatnią deskę ratunku, flirt wzbudzał lęk – był straszny. Sugerował pewną możliwość i przypominał, że wszystko może im zostać odebrane.

Niektóre z kobiet były zależne nie tylko od mężów, ale również od teściów. Duża część spektakularnych fortun na Upper East Side jest międzypokoleniowa, co może prowadzić do dziwacznie zinfantylizowanych relacji między młodymi (i już nie tak młodymi) dorosłymi a ich rodzicami lub teściami. Kilka kobiet opisywało mi dziwną presję, potrzebę zadowalania swoich teściów, bo to oni pociągają za finansowe sznurki. „Mój mąż ma bardzo dużo odziedziczyć, co daje jego rodzicom bardzo realną władzę nad naszym życiem” – wyjaśniła mi znajoma, gdy szłyśmy za dziećmi na szkolnej wycieczce. Doprowadziła nas do tego rozmowa o czesnym, które – jak powiedziała – opłacają teściowie. Pokazała mi swój kalendarz w iPhone, wyliczając całą serię spotkań i lunchów, podczas których musi towarzyszyć teściowej w samym tylko następnym tygodniu. „To nie chodzi o to, że nie chcę jej pomóc. Tylko że istnieje pewna niepisana zasada, że jestem jej to winna. Bo w prezencie ślubnym kupili nam mieszkanie, a mąż pracuje w firmie teścia”. Inna opisała typową sytuację na UES: ona i jej mąż chcieli kupić własny dom na plaży dla siebie i dwójki dzieci. Rodzice męża skrytykowali plan jako nierozsądny, twierdząc, że u nich przecież jest mnóstwo miejsca. Teściowie byli hojni, finansowo i emocjonalnie, ale młodsze pokolenie ponosiło tego koszty, bo było również pod ich kontrolą. „Fajnie by było poczuć, że się jest dorosłym” – powiedziała bezbarwnym tonem. „Fajnie by było mieć własny dom i odrobinę

niezależności”. Jej sytuacja jest bardzo powszechna w moim plemienu. Wiele bardzo bogatych osób w pewnym sensie czeka, aż jeszcze bogatsze starsze pokolenie umrze, i ma wobec tego ambiwalentne uczucia.

Inne bogate znajome z UES miały „własne” pieniądze, lecz to często oznaczało pozostawanie w zależności finansowej i ciągłej wdzięczności wobec swoich ojców. „Ja nie narzekam” – oznajmiła jedna, gdy opowiadała o tym, jak wielką fortunę odziedziczy kiedyś razem z siostrą, fortunę, z której każdego dnia czerpie korzyści w formie drogiego mieszkania, wypadów do Aspen i edukacji dzieci. „Ale mój mąż nie czuje się z tym dobrze”. Często mąż pracuje dla wpływowego teścia albo wymienia jego kapitał kulturowy, by wzmocnić własny biznes, zdobyć koneksje czy kontrakty. Rzadko kiedy taki stan rzeczy jest prosty, bo zależność ekonomiczna nigdy nie jest za darmo. Rachel Blakeman powiedziała: „Nieważne, jak korzystna wydaje się ta umowa pod względem finansowym, jeśli jesteś komuś zobowiązany za dobrostan własny i potomstwa, możesz ponosić koszty emocjonalne. Taka sytuacja może budzić rozgoryczenie, niepewność i powodować inne problemy, zarówno osobiste, jak i małżeńskie”.

Nasze przodkinie, zbieraczki (a czasem też łowczynie, jak kobiety Agta do tej pory) miały autonomię, prawo głosu we własnej społeczności oraz władzę w związku, dlatego że dzięki pożywieniu, które zdobywały, stały się niezbędne. Niewiele się zmieniło. Tak więc często kobiety, które badałam, znałam i z którymi chodziłam na kawę, wydawały się zależne nawet bardziej niż ekonomicznie. W wielu aspektach ich tożsamość wydawała się uwarunkowana i względna, zakorzeniona w ich związkach – z przyjaciółkami, teściami, rodzicami, lecz przede wszystkim z mężami i dziećmi. Jeśli nie ma się idealnego małżeństwa – a kto ma? – jak można być idealną żoną ważnego mężczyzny? Jeśli się nie ma idealnych dzieci – a kto ma? – jak można być idealną czy nawet tylko wystarczająco dobrą matką? I jak można zachować twarz? Rozwód nie wchodzi w grę, tak samo jak wymiana niedoskonałych dzieci, które się kocha, na lepszy model. Wiele ze znanych mi kobiet cierpiało na dziwny, specyficzny kulturowo lęk z powodu bycia przedłużeniem i odbiciem innych. W tym rozumieniu nawet ich tożsamość, ich własne ja, nie do końca należała do nich.

„Dzięki Bogu, że już po wszystkim” – westchnęła Candace przy lunchu, kiedy jej mąż przeszedł do nowej pracy. Myślałam, że chodzi jej o to, że stresowała się niepewnością nowego zatrudnienia albo tym, że przez pewien czas będą mieli mniejsze dochody. Candace jednak potrząsnęła głową: „Nie, nie, po prostu ja się mogę wreszcie wyluzować. W każdej sekundzie musiałam świetnie wyglądać, gdy on się starał o pracę, bo tak właśnie tu jest, szczególnie jeśli się kogoś prosi o przysługę. Podaj chleb”. A więc to był ten wyjątkowy rodzaj stresu. W kulturze honoru/wstydu posiadanie męża o wysokim statusie społecznym czyni cię żoną o wysokim statusie. Lecz posiadanie wspaniale wyglądającej żony – pięknej,

o sylwetce i szafie wywołującej zazdrość, z koneksjami wśród żon innych wpływowych mężczyzn – mogło dodatkowo wzmocnić albo nawet stymulować status społeczny i zawodowy męża. Mąż Candace zawdzięczał swoją karierę po części temu, jak świetnie ona wyglądała w sukienkach Azzedine’a Alaïa, jej zmyślności społecznej, umiejętności oczarowania właściwie każdego. Żony były drogimi cackami i butelkami wina swoich mężów, dowodem na ich wspaniałość. Mężowie zaś byli dla żon źródłem utrzymania. To tyle, jeśli chodzi o lęk. Kolejna plaga. Kolejna kropla wina. Kolejny kieliszek. I jeszcze jeden.



Jest wreszcie ostatnia plaga, ta, która złamała faraona i złamała mu serce. Po komarach i wrzodach, po pladze krwi, żab, much, pomorze bydła, gradzie, szarańczy i ciemności faraon nadal się nie ugiął. Bóg powiedział więc: „Teraz przejdę przez Egipt i zabiorę wszystko pierworodne, oszczędzając Izraelitów”.

Kiedy Candace zadzwoniła do mnie pewnego dnia, tłumiąc płacz, nauczyła mnie kolejnej rzeczy o lękowych matkach, rzeczy, która z perspektywy wydaje się szalenie oczywista, ale jednak całkowicie mnie zdumiała. Powiedziała, że zamknęła się w łazience, żeby nikt jej nie słyszał. Jej syn wydobrał już po wstrząśnieniu mózgu, przez które trafili na ostry dyżur. Po tygodniu „odpoczynku dla mózgu” w przyciemnionym pokoju, bez czytania czy ekspozycji na jakikolwiek monitor oraz dodatkowym tygodniu bez żadnego wysiłku fizycznego, doszedł do siebie, znów biegał i był jak dawniej zabawny, mądry i pełen energii, dokładnie tak jak jego matka. Teraz jednak, czternaście dni po wypadku, wydarzyło się coś jeszcze. Czulałam, jak wali mi serce, gdy Candace to powiedziała. Wzięłam głęboki oddech tak cicho, jak tylko potrafiłam, żeby niezależnie od tego, co się stało, ze względu na nią była spokojna. W końcu wydusiła z rozpaczą: „Jego ząb!”. Ząb? Chodzi tylko o ząb?! Poczułam przyływ ulgi, ale Candace kontynuowała: „Poszarzał. Wygląda okropnie!”. Zaczęła łkać. Wymamrotałam, że wszystko będzie dobrze, zapytałam, co powiedział dentysta, i trochę grałam na zwłokę. Słowa wylewały się z niej nagłym potokiem: to był przypadek, zwykła sprzeczka, jej syn i tamten chłopiec wpadli na siebie ostro, było trochę krwi, ale nic się nie stało. Nic mu nie było aż do teraz, gdy poszarzał mu ząb, który obumarł na skutek silnego uderzenia. „Ma w szczęce martwy ząb!” – powiedziała Candace i brzmiała, jakby była nieprzytomna i smutna.

Słyszałam, jak mój synek bawi się garnkami na podłodze w kuchni. Posadziłam go tam, żeby zyskać chwilę na spokojną rozmowę, ale w głowie przelatywały mi wspomnienia wszystkich zdjęć z salonów, które jeszcze kilka miesięcy temu oglądałam z Ingą. Żadne z tamtych dzieci na portretach nie miało szarego zęba. Rozmyślałam o tym, jak jedna niedoskonałość mogła wydawać się katastrofą – była niczym wielka fala, która odbiera poczucie, że jest się dobrą

matką, że jest się bezpieczną, i która przygniata do dna. Candace nie mogła przestać płakać, a ja przyciskałam słuchawkę do ucha i pocieszałam ją, że wszystko będzie dobrze. Instynktownie zaczęłam głaskać się po brzuchu. Bo chodziło o coś więcej.

Zabity został doskonały ząb. To był syn faraona, syn każdego, odebrany przez Boga. To był tylko ząb. To była tylko opowieść. Ale oznaczała, że coś jest nie tak, była znakiem, że sytuacja może się jeszcze pogorszyć. Oznaczała, że możemy ich stracić. To było źródłem zachowania manhattańskich matek, które uważałam, aż do wtedy, za niepojęte i szalone. Potrzeba bycia doskonałą i posiadania doskonałego życia, potyczki na chodniku, deliberowanie o wózkach i nietoksycznych materacach, walka, by zapisać go do odpowiedniej szkoły, zatrudnianie kogoś, kto nauczy ją jeździć na rowerze – takie właśnie barokowe, dziwaczne formy flory i fauny wyrastają na wilgotnym i żyznym podłożu paniki. Błagam, pomyślałam – kolejna kropla wina.

*** M. Mauss, *Szkic o darze*, [w:] tenże, *Socjologia i antropologia*, tłum. M. Król, K. Pomian, J. Szacki, Warszawa 2001 (przyp. tłum.).

Rozdział siódmy

Deszczowy dzień

Nie potrafię określić, w którym dokładnie momencie się zmieniłam. Po kilku latach mieszkania na Upper East Side byłam coraz mniej obserwatorką, a bardziej uczestniczką, coraz mniej outsiderką, a bardziej kimś, dla kogo przestało istnieć cokolwiek, co jest „na zewnątrz”. Moje związki z południem osłabły. Owszem, widywałam się z dawnymi znajomymi w Święto Dziękczynienia i czasem na Boże Narodzenie – wiele z nich nadal żyło w pojedynkę, były artystkami i akademikami. Czytały moim dzieciom i obsypywały je smakołykami i prezentami, a także trochę się podśmiewały z mojej transformacji, która w ich opinii była wieloaspektowa, dziwaczna i w pewnym sensie urocza. Miały rację, że się zmieniłam. Nie byliśmy z pewnością miliardkami. Nasze mieszkanie na Park Avenue zdecydowanie nie było wielkie (choć miałam osobną szafę tylko na swoje torebki). Nalegałam, by moi synowie pomagali w domu. Nie urządzałam im wielkich przyjęć urodzinowych, a gdy bywali zapraszani na coś, co uważałam za przesadę – mecz Jankesów oglądany z pierwszego rzędu, przyjęcie w domu w Hamptons połączone z przejażdżką na kucykach i linoskoczkami – pilnowałam, żeby wiedzieli, jak im się poszczęściło. Nie chciałam, żeby moje dzieci sądziły, że życie to jeden wielki luksusowy ciąg fantastycznych wydarzeń. Nie chciałam, by ustawiły sobie oczekiwania za wysoko. Nie chciałam też pozbawiać ich możliwości znajdowania przyjemności w prostych rzeczach.

Ale teraz byłam prawdziwą mamą z Upper East Side, bo zaczęły mnie obchodzić te same rzeczy, które obchodziły inne przedstawicielki mojego gatunku: do której szkoły poszły moje dzieci, czy robię dla nich wystarczająco dużo, czy ich nauczyciele wiedzą, co robić, czy moje przyjaźnie są tylko zadowalające i zdrowe, czy także pożyteczne – dla mnie, dla moich dzieci i kariery mojego męża. Chciałam wygodnego, kontrolowanego życia. Chciałam mieć supersylwetkę, piękne ubrania oraz buty od Dolce & Gabbana i Prady, nawet jeśli kupowałam je na wyprzedaży. Chciałam też mieć ten specyficzny kolor włosów, który trzeba poprawiać co dwa miesiące. Chciałam domu na plaży. W przeciwieństwie jednak do wielu przyjaciółek z UES chciałam także pracować – pisać teksty, z których byłabym dumna. Tak jak one chciałam być dobrą żoną i jak one przede wszystkim chciałam być dobrą mamą. Nie „wystarczająco dobrą”, ale taką, która dla swoich dzieci robiła wszystko, co było trzeba, wszystko, co mogła.

Jako mieszkanka UES, osoba żyjąca na zindustrializowanym Zachodzie,

miałam określoną wizję macierzyństwa. Dopasowałam się do scenariusza macierzyństwa intensywnego, nawet mimo tego, że zdawałam sobie sprawę, że jest on charakterystyczny dla mojej uprzywilejowanej niszy i że prawdopodobnie jest dla mnie niszczący. Macierzyństwo bowiem w świecie, który najpierw obserwowałam, potem adoptowałam, aż wreszcie przyjął za swój, oznaczało dawanie życia, a potem trudzenie się, poświęcanie części samej siebie, czasem z radością, a czasem z irytacją i lękiem, oraz chronienie go. Martwiłam się i niepokoiłam tak samo jak pozostałe bogate matki. Czasem nie miałam już nerwów. Podobnie do Candace, mogłam się załamać zszarzałym zębem wraz z jego implikacjami. Ale tak jak wszystkie dokoła mnie, byłam ukształtowana przez lata dostatku, pediatrów i przedszkoli, znieczulona na bezpośrednią niebezpieczeństwa moim stylem życia – umieszczona w wysokościowcu, poruszająca się miękko wyściełanym SUV-em. Ze względu na ten bufor bezpieczeństwa wynikający z zamieszkiwania w stanie obfitości ekologicznej, nadmiaru i szczepionek, podobnie jak wszyscy przedstawiciele Zachodu, ryzykowałam moim potomstwem w sposób, który byłby nie do pomyślenia dla naszych przodków i współczesnych zbieraczy-łowców, żyjących nadal, jak my żyliśmy przez niemal całą prehistorię.

Ceniąc „niezależność” – ich i naszą – umieszczamy noworodki na podłodze w bujaczkach i idziemy pod prysznic. Żeby coś zrobić, zatrudniamy nianie, których nie znamy albo znamy tylko z opinii innych ludzi, zamiast nosić nasze dzieci bezustannie i przekazywać je na parę chwil komuś z bliskiej rodziny. Ustalamy im grafiki snu i jedzenia, zamiast uszanować to, kiedy same mają ochotę zjeść i spać. A także, co zdumiewa rodziców z innych kultur, zostawiamy nasze niemowlęta w drewnianych pojemnikach, z dala od nas przez całą noc. O, proszę, same potrafią zasnąć... i płaczą. Antropolodzy, którzy opisywali tę praktykę ludom zbieracko-łowieckim albo rolniczym – w których pozwala się maluchom siedzieć i czołgać przy ognisku, a kilkulatkom pozwala się bawić siekierą lub nożem – relacjonują, że są wstrząśnięci tym, co uważają za ogromne i okrutne zaniedbanie najmłodszych. Kiedy informuje się ich, że często pozwalamy się naszym niemowlętom „wypłakać”, z początku nie dowierzają, a potem są przerażeni. Dociekają, jak możemy być tak bezduszni wobec najcenniejszej i najbardziej zależnej od nas istoty – maleńkiego dziecka.

Nie tylko to, co robimy, lecz także to, w co wierzymy, wyróżnia nas, względnie bogatych rodziców z Zachodu, na tle reszty. Przyjmujemy za rzecz oczywistą, że nasze rodziny z dwojgiem, trojgiem, czworgiem, pięciorgiem, a nawet sześciorgiem dzieci nie tylko przetrwają, ale również będzie się im wiodło. Dzięki immunizacji poradzą sobie z katarem, grypą czy ospą wietrzną, ominą ich straszniejsze choroby – oszpecające, wywołujące paraliż lub wręcz zabójcze, jak odra, krztusiec czy polio. Nasze dzieci pójdą do szkoły, do college’u, a potem

jeszcze pewnie na medycynę, prawo albo ekonomię. Wezmą ślub, będą miały własne dzieci. Będziemy z nich dumni. Pochowają nas. Taki jest nasz scenariusz.

Będąc sobie matką na co dzień, nie poświęcałam więc przesadnej uwagi temu, jak bardzo terytoria macierzyństwa i utraty nachodzą na siebie. To sekret, dopóki nie przydarzy się tobie.



Jakim cudem jestem w ciąży?! Zastanawiałam się nad tym niczym bohaterka jakiegoś sitcomu albo serialu dramatycznego na kanale dla kobiet, wgapiając się w dwie fioletowe kreski na obsikany właśnie teście ciążowym oraz w jego ulotkę.

Nie ma mowy. To niemożliwe. Zabezpieczaliśmy się – owszem, kilka miesięcy temu nam się nie udało, ale zorientowaliśmy się, więc natychmiast następnego dnia użyłam antykoncepcji awaryjnej, przepisanej przez moją lekarkę. Potem miałam okres. Skąpy, ale jednak. Potem drugi. Więc naprawdę nie było możliwości, żebym ja, czterdziestotrzyletnia matka malucha i siedmiolatka, mogła być w ciąży. Jakie w końcu było prawdopodobieństwo, żeby zawiodła antykoncepcja awaryjna po tym, jak zawiodła zwykła metoda? I jakie były szanse, żeby wpaść w wieku czterdziestu trzech lat? „Jak tego dokonałaś?” – słyszałam już te pytania od koleżanek, przechodzących nie wiadomo którą próbę zapłodnienia in vitro. Chwytając się marmurowego blatu w łazience, przypominałam sobie rodzinny przekaz o czirokeskich i szkockich przodkiniach, które rodziły dzieci w nieprawdopodobnie późnym wieku. Moja babka mówiła na nie „dzieci przełomu życia” – ten dziwaczny eufemizm na klimakterium sugerował, że zdarzało się to na tyle często, by nadać temu osobne określenie. Czyli było to możliwe. Ledwie. A może test dał fałszywy wynik. Z nadzieją, trzęsącymi się rękami, wzięłam drugi i nasikałam na niego.

A potem, gdy spuściłam wodę i czekałam, rozmyślałam, że w zasadzie dwie fioletowe kreski mogły wyjaśnić pewne kwestie. W ciągu ostatnich kilku tygodni byłam niemal pewna, że przechodzę bardzo wczesną i nagłą menopauzę. Albo że wariuję. Albo umieram. Miałam wrażenie, że w głowie mam watę. Nie byłam w stanie myśleć. Pyskowałam do męża i dzieci. Wszystko – gdzie jest mój telefon? dlaczego nauczyciele mu bardziej nie pomogą? kiedy się skończy ten remont u sąsiadów? – irytowało mnie mocniej niż zwykle. Byłam też tak zmęczona, że zasypiałam przy biurku, stojąc w kolejce w spożywczym („Proszę pani, przepraszam, proszę pani?”), ćwicząc pilates na reformerze, w połowie rozciągnięcia. Zadzwoniłam do lekarza i powiedziałam, że coś jest nie tak. Ustaliliśmy termin wizyty – Po co? Nie wiedziałam. Porozmawiać o tym, że nagle zaczęłam wariować i miałam dość nie wiadomo czego? – I czekałam. Kawa nie pomagała na moje niejasne zmęczenie i złe samopoczucie; sam jej zapach powodował mdłości.

O Boże. Mam mdłości. Z powodu kawy. W tym momencie zrozumiałam, że przez inne rzeczy także. I to często. Halo! Spojrzałam w dół. Tak, oczywiście: kolejne dwie fioletowe kreski. Zakaz przejścia.

Naturalnie, nienaturalnie i wbrew wszystkiemu, byłam w ciąży.



Siedząc w poczekalni ginekologa, ssałam imbirowy cukierek. Przyszłam, żeby mu powiedzieć, co zrobimy, on i ja. Dokoła leżały czasopisma z uśmiechniętymi, szczęśliwymi kobietami w ciąży na okładkach, a ja myślałam o tym, jak szczególna i jednocześnie przewidywalna była moja sytuacja, jako – jak ujęła to prymatolog i biolog ewolucyjna Sarah Hrdy – dwunożnej, bezwłosej, niemal ciągle dostępnej seksualnie przedstawicielki prymatów wyższego rzędu, żyjącej w cieniu kultury rolniczej.

W trakcie całej naszej historii ewolucji, co widać u współczesnych łowców-zbieraczy, kobiety rodziły dzieci w interwałach trzy-, cztero- lub pięcioletnich. W końcu taki styl życia, czyli przyjmowanie kalorii w liczbie nie większej, niż trzeba, w dodatku w postaci przeważnie roślin, orzechów, z odrobiną mięsa, sprzyjał szczupłej sylwetce. Kobiety z niewielką ilością tłuszczu rzadziej owulują i menstruują – może ze cztery razy rocznie. To, w połączeniu z wysiłkiem laktacji, karmienia piersią i wychowywaniem małego dziecka, podczas zdobywania pokarmu, utrzymywało nasze przodkinie w stanie niskiej płodności jeszcze przez długi czas po urodzeniu dziecka. A gdy zachodziły w ciążę, miały już mniej więcej czterolatka, który mógł pomóc przy noworodku. Wystarczy jednak umieścić kobiety na roli, zmieniając zbieranie pożywienia na radykalnie bardziej siedzący tryb życia, dać im więcej kalorii, a szybko zaobserwuje się u nich wzrost tkanki tłuszczowej i, co za tym idzie, płodności. Taki tryb życia, charakteryzujący się comiesięczną menstruacją, pozostał nam, nawet gdy wynieśliśmy się z pól i farm, a weszliśmy do centrów handlowych, domów na przedmieściach i, rzecz jasna, apartamentowców. W ten sposób normą stało się rodzenie dzieci co dwa lata. To dlatego w każdym amerykańskim mieście można zobaczyć mamę pchającą maleństwo w wózku z dostawką dla dwulatka. Z czasem ten pierwotny, przedrolniczy porządek zaczął nam się wydawać obcy. My, ludzie, ciągle zmieniamy reguły gry, w której bierzemy udział.

Moja sytuacja kształtowała się więc następująco: miałam małe dziecko oraz drugoklasistę (gdy ktoś pytał mnie o tę różnicę wieku między moimi chłopcami, wrzusałam ramionami i odpowiadałam: „to plejstocieńska norma”) i byłam w ciąży, prawdopodobnie w dziesiątym tygodniu. Gdy lekarz wreszcie zaprosił mnie do gabinetu, porzuciłam pozory opanowania. Ze łzami w oczach wyjaśniłam mu to, o czym dyskutowaliśmy z mężem, od kiedy pojawiły się podwójne kreski – że w moim wieku, z małym dzieckiem, z moją historią chorób i tak dalej, że po

prostu nie możemy. Mój lekarz skinął głową i odpowiedział we właściwy sposób. Dał mi parę formularzy, które wcześniej podpisał, po czym wyszłam i pojechałam do szpitala, gdzie wypełniałam jeszcze więcej formularzy przed zabiegiem. Czułam się zupełnie odrętwiała, gdy wręczałam druki pełnej współczucia cichej pielęgniarce, która z małym uśmiechem powiedziała, żebym przyszła nazajutrz.

Zamiast wrócić do domu albo pójść do biura, poszłam do Central Parku i usiadłam nad jeziorem, w niewielkiej drewnianej pagodzie pomiędzy drzewami. Był zwykły poranek, słoneczny, chłodny, lecz nie zimny, a dokoła nie było prawie nikogo. Gdy patrzyłam na żółwie, pływające w mętnej porośniętej wodorostami wodzie, myślałam o macierzyństwie. Myślałam o tym, że jest się jednocześnie kochającą, hojną, obdarowującą, czułą mamą i elastycznym, rzeczowym strategiem, beznamiętnie rozważającym konsekwencje niczym ptasie matki opisywane przez Davida Lacka. Rozmyślałam o reprodukcyjnych kompromisach i ograniczeniach w opiece matczynej – o tych wszystkich momentach w historii i prehistorii, kiedy rozmnażająca się samica każdego gatunku musi podjąć trudny wybór. Wykarmić bliźnięta czy tylko jedno z nich? Czasami można dać tylko tyle, ile jest do dania, nic więcej. Oddać małego do przytułku, gdzie być może umrze, a samej pracować, by zapewnić byt dzieciom, które wyszły już z najbardziej zagrażającego etapu niemowlęctwa? Czy zatrzymać go i inwestować w jego dobrostan, zmniejszając szanse pozostałych dzieci? Uciekając przed drapieżnikiem, wyrzucić młodego z torby, by zwiększyć swoje szanse na przeżycie? Tylko jeśli jestem wystarczająco młodą kangurzą, bym mogła znów się rozmnożyć i bym potrafiła następnym razem znaleźć wystarczająco dobre warunki ekologiczne – dużo jedzenia, dobrą pogodę, niewiele drapieżników. I tak dalej.

Według socjobiolog i badaczki macierzyństwa Sarah Hrdy całe macierzyństwo, od zawsze, polegało na rozwiązywaniu tego typu dylematów, dokonywaniu tego typu wyborów. Jak nasze przodkinie u wczesnych *Homo* oraz jak wszystkie zwierzęta poszukujemy sposobów, by zrównoważyć dobrostan naszego potomstwa z dobrostanem naszego przyszłego potomstwa i naszym własnym. W przeciwnym wypadku wszyscy umrą. Albo będzie im się żyło znacznie gorzej, niżby mogło. Bogate czy biedne, zauważa Hrdy, „kobiety wciąż balansują między przetrwaniem a reprodukcją”. Moja łamigłówka była więc stara jak świat, nic specjalnego. Ale dla mnie była katastrofalna.

Siedziałam tak w parku przez kilka godzin. Kiedy prawie zapadł zmrok, wróciłam do domu i długo rozmawiałam z mężem. Nagrałam się mojemu lekarzowi na sekretarkę, a on od razu oddzwonił. Powiedziałam mu, że jednak nie przyjdę następnego dnia na zabieg. Zapytał, czy chcę to przełożyć, ale powiedziałam, że nie, rezygnujemy. Parę godzin później, leżąc w naszym łóżku, kiedy nasze dzieci spały smacznie w swoich pokojach, zachwyciłam się, jakie jest miękkie i wygodne. Zasypiając, zadowolona i wreszcie spokojna, wtuliłam się

w męża. „Jesteśmy szczęściarzami” – powiedziałam, a on się z tym zgodził.

Bycie niemowlakiem albo dzieckiem zawsze niosło ze sobą ryzyko. Z prehistorycznego, historycznego, a nawet współczesnego punktu widzenia nie ma bardziej niebezpiecznego okresu w rozwoju człowieka niż niemowlęstwo i dzieciństwo – no, może tylko etap płodowy. Nawet w uprzemysłowionych Stanach Zjednoczonych, z rozwiniętą opieką prenatalną, większość zapłodnień nie kończy się donoszeniem ciąży. Często przywoływane badania z 1988 roku dowiodły, że 31 procent rozpoznanych klinicznie ciąż kończyło się poronieniem. Gdyby doliczyć cięższe niezdiagnozowane, mogłoby się okazać, że ponad połowa „spontanicznie się kończy”.

Oczywiście, kiedy się już urodzisz, w USA i wielu innych rozwiniętych krajach, masz duże szanse na przeżycie. Blisko 994 dzieci na 1000 urodzonych w Stanach Zjednoczonych przeżywa niemowlęstwo. Za to na całym świecie wciąż każdego dnia umiera milion niemowląt – przeważnie z powodu powikłań wcześniactwa, chorób i niedożywienia. Ryzyko śmierci podczas niemowlęstwa i dzieciństwa było w nie tak znów odległej historii ogromne, w prehistorii zaś – szokujące, a wśród wielu ludów pierwotnych nadal takie jest. Na przykład 43 procent dzieci żyjących w nietkniętych cywilizacją grupach zbieracko-łowieckich umiera przed osiągnięciem piętnastego roku życia. Sarah Hrdy szacuje, że aż połowa Buszmenek San umiera jako kobiety bezdzietne – jednak nie dlatego, że nigdy nie rodziły. Przeciętnie mają po troje i pół dziecka. Ta druzgocąca statystyka znajduje uosobienie w postaci Nisy, kobiety z plemienia Buszmenów San, która w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku udzielała obszernych wywiadów antropolożce Marjorie Shostak. Nisa dwukrotnie poroniła, urodziła czworo dzieci, dwoje z nich straciła, nim osiągnęły adolescencję, a pozostałą dwójkę, zanim osiągnęły dorosłość.

Jeśli dzieciństwo jest tak niebezpieczne, to jak macierzyństwo ma nie być straszne i przerażające swoją nieprzewidywalnością? Nawet dziś, w sytuacji, gdy można już zapomnieć, że takie właśnie dzieciństwo jest i że w ogóle kiedykolwiek takie było oraz że bycie matką to loteria, widziałam – obserwując zaprzyjaźnione matki i samą siebie, zawożące, przywożące, tulące, wkurzające się – że tak naprawdę nigdy nie zapomnimy.

Zaczynałam podejrzewać – gdy wstrzymywałyśmy oddech na placu zabaw i uważnie szukałyśmy dowodów na kroki milowe w rozwoju naszych dzieci, a potem wyładowywałyśmy napięcie podczas babskich wypadów – że macierzyństwo to głęboka prawda, nieunikniona zbiorowa klęska: od zawsze traciłyśmy nasze dzieci równie często, jak je ocalałyśmy. Pochówek dziecka jest takim samym fundamentalnym i głębokim dziedziczonym doświadczeniem macierzyństwa jak tulenie go i karmienie piersią. Pocieszanie się nawzajem po stracie dziecka prawdopodobnie jest w nas nadal i daje o sobie znać za każdym

razem, gdy pocieszamy nasze dzieci po tym, jak zadrapią sobie kolano. Tak samo jak w przypadku innych wymogów otoczenia, które wpływają na naszą tożsamość, innych realiów kształtujących wiecznie zmieniający się horyzont – tło, na którym stajemy się matkami, program utraty jest i musi być w nas, o czym się przekonałam, mieszkając przez kilka lat w pozornie najbezpieczniejszym miejscu na ziemi, na Upper East Side. Czyż ten program na pewnym najgłębszym poziomie nie wpływa na każdą decyzję, każdy wybór, jaki podejmujemy w związku z naszymi dziećmi? Czyż nie jest uruchomiony u wszystkich nas na okrągło, nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy, jak Candace?

Psychologowie ewolucyjni zajmujący się wpływem utraty dziecka na matkę i na cały gatunek ujmują to w ten sposób:

Śmierć w wieku dziecięcym odegrała ważną rolę w ewolucji człowieka. Ze wszystkich etapów rozwoju i we wszystkich okresach historycznych, poza historią współczesną, to właśnie dzieciństwo związane jest z najwyższym wskaźnikiem śmiertelności. W porównaniu z innymi wymogami ewolucji, takimi jak przetrwanie jako dorosły, znalezienie partnera do rozrodu i spłodzenie potomstwa, ryzyko porażki w przyczynieniu się do przedłużenia własnej linii genetycznej jest najwyższe w dzieciństwie. Nadzwyczajna potencjalna ewolucyjna siła wywołana przez śmierć dziecka powinna znacząco wpłynąć na psychologiczne przystosowanie człowieka. Mimo tego potencjalnego wpływu być może jest to najrzadziej badane zjawisko w psychologii ewolucyjnej człowieka^{****}.

W takim miejscu jak Manhattan, w takim uprzywilejowanym plemienu jak to, które badałam, tragedia uderza z podwójną siłą. Najpierw dostajesz w głowę jak obuchem, a potem czujesz ból powracający wraz z wiedzą, że mimo najlepszych starań nie jesteś pod ochroną ani nie jesteś bezpieczna. Ćwiczysz. Nauczyłaś się na pamięć telefonu do pediatri. Ubezpieczasz mieszkanie i dbasz o nie – na litość boską, zatrudniłaś profesjonalną organizatorkę, która bierze 200 dolarów za godzinę, by trzymała chaos i niepewność z dala od ciebie. A jednak. Jeśli zajrzeć pod spód, chyba każda znana mi matka albo jej siostra czy najlepsza przyjaciółka straciła kiedyś dziecko. Na różne sposoby, które trudno opisać. W drugim lub w dwunastym tygodniu. W trzydziestym dziewiątym tygodniu pępowina owija się wokół szyi dziecka jak winorośl zabijająca kwiat. Noworodek przyduszony przez nianię, która przygniata go w czasie snu. Dwulatka, która upada na placu zabaw, nic poważnego, nawet nie uderzyła się w głowę – umiera parę dni później z powodu wstrząśnienia mózgu. Maluch, który wypada przez okno i umiera na ulicy, łamiąc każde serce w tym mieście. Roczny chłopiec, który idzie do najlepszego szpitala na bardzo prosty zabieg i już nigdy nie wraca do domu. Trzy dziewczynki zmiecione przez pożar. Okrutna strata. Tutaj. W tym miejscu. W naszym świecie. Na Upper East Side, gdzie wydaje się bezpiecznie, gdzie wszystko jest możliwe. Chyba że nie jest.



Bardzo źle się czułam w tej ciąży. Nigdy wcześniej nie miałam takich mdłości, ale nikogo to nie zaalarmowało. Codziennie wymiotowałam, ale przecież w poprzednich ciążach też tak było. Wymiotowałam zaraz po przebudzeniu, potem gdy myłam zęby, gdy zawoziłam syna do szkoły. Wymiotowałam w trakcie rozmowy z matkami przed szkołą albo przez telefon. W taksówkach wymiotowałam do worków. Brałam to za znak, że z dzieckiem jest wszystko w porządku, bo tak przeważnie mówią ginekolodzy. Mimo to bycie słabą i wycieńczoną przez cały dzień miało swoje konsekwencje i czułam się winna, że nie mogę się tak jak dawniej bawić z młodszym synkiem. „Udawajmy, że mamusia jest galaretowatym stworem, a ty jesteś małym chłopcem” – mówiłam, leżąc na podłodze w jego pokoju. Rozkładał swoje zabawki i bawił się dokoła mnie. Gdy byłam w bardziej zaawansowanej ciąży, z uśmiechem klepał mnie w piersi i brzuch. „Śmieszne” – wyrwało mu się kiedyś przez smoczek.

Schudłam, ale chudłam też w poprzednich ciążach, a dziecko rozwijało się zdrowo, przechodziło pozytywnie wszystkie pomiary, badania genetyczne i amniopunkcję. Kiedy dowiedzieliśmy się, że to dziewczynka, byliśmy całkowicie oszołomieni. Przecież my nie miewamy dziewczynek! My mamy chłopców! – chcieliśmy wyjaśniać temu, kto to wszystko ustala – i wtedy mój mąż, który do tej pory był ambiwalentny, nie miał przekonania, by po pięćdziesiątce znów zostawać ojcem, zmienił zdanie. Od tej pory czasami mówił z entuzjazmem: „Będziemy mieli dziecko!”.

W pewnym sensie nasza córeczka była ciężarem: miała nam zabrać przestrzeń, młodszemu synkowi kołyskę, będzie trzeba ją posłać do prywatnej szkoły i opłacić jej studia, a także zatrudnić nianię na okres od czterech do pięciu lat. Właśnie dlatego do samego końca czułam, że to dziecko to nie jest dobry pomysł. Jednak teraz, im więcej snuliśmy dla niej planów, tym bardziej się cieszyliśmy, że mamy dla kogo je snuć. Przygotowywaliśmy się, rozmawialiśmy i nie mieliśmy problemów ze snem. Postanowiłam dać jej moje nazwisko, a mój mąż, który poprzednio dwa razy urządzał mi karczemną awanturę, zgodził się bez mrugnięcia okiem. Postanowiłam też, nie mówiąc nic nikomu, że dam jej na imię Daphne. Jak mogłam się jej nie poddać? Temu dziecku, które tak bardzo chciało przyjść na świat. Jak mogłam nie nadać jej imienia?



Nowego Jorku nie uważa się za miasto kipiące zielenią, ale takie właśnie jest. W naszej okolicy rosło mnóstwo drzew, blisko też było do Central Parku. W letnie poranki ptaki nie śpiewają, tylko wręcz się drą. Słyszałam je, zanim jeszcze wyszłam z windy i przeszłam przez lobby – tego deszczowego ranka

jechałam do mojego ginekologa. Dzwoniłam do niego poprzedniego popołudnia, by powiedzieć, że chyba mam plamienia. Trudno to stwierdzić na czarnej bieliźnie, ale gdy przyłożyłam sobie tam w dole chusteczkę higieniczną, zrobiła się lekko różowa – nie czerwona, czyli że wszystko było w porządku, prawda? Doktor surowym tonem kazał mi się położyć, pić wodę i jeszcze do siebie zadzwonić. Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że miał na myśli, żeby naprawdę się położyć, a nie tak na pół gwizdka, jak to matki potrafią, niby leżeć, a jednak co chwila wstawać, by poczytać dziecku bajeczkę albo przygotować kolację. Następnie zadzwoniłam do męża, który powiedział: „Plamisz, jak jesteś w ciąży, zawsze tak było. Tak się zachowuje twoje ciało”. Westchnęłam więc tylko i przypomniałam, że lekarz chyba potraktował to dość poważnie, choć pewnie wszystko będzie dobrze. Mąż poszedł na jakieś służbowe spotkanie, po tym jak niania naszych dzieci zgodziła się zostać dłużej. „To pewnie nic takiego” – wyjaśniłam jej.

Kiedy ponownie zadzwoniłam do ginekologa, zgodnie z obietnicą, kazał mi pić więcej wody i leżeć w bezruchu, dopóki z samego rana nie pojawię się u niego w gabinecie.

Portier otworzył przed nami drzwi, a hałas ptaków był przytłaczający – to w większości sójki wydawały te niepodobne do ptasich dźwięki – wyszliśmy z budynku, najpierw pod markizę, potem w deszczu w kierunku czekającego na nas czarnego auta. Wtedy mój mąż, który nigdy nie był niegrzeczny, zapytał: „Zgubił pan parasol?”. Bo jeśli padało, nasz portier z reguły odprowadzał mieszkańców do samochodu pod parasolem. W ten sposób można się poczuć bezpiecznie i pod ochroną, gdy przechodzi się od drzwi do drzwi. Ale ten deszcz nie był tak naprawdę intensywny – jeszcze nie – a nasz portier roześmiał się na tę uwagę, tak jak i ja. Następnie weszłam do samochodu i położyłam się na tylnym siedzeniu, opierając głowę na kolanach męża, a on powiedział: „Nie wiem, co jest nie tak z tymi ludźmi”. Spojrzał przez okno, gdy jechaliśmy przez park – cichy, opustoszały i szary od deszczu, nie ten pijany, zatłoczony i bez wyrazu, jakim się staje w słoneczne weekendy, ale taki, jaki lubiłam najbardziej, pusty, cichy, nastrojowy – i pokręcił głową. „Powinien był rozłożyć ten pieprzony parasol. Cały przemokłem”.



– Co pan tam widzi? – spytałam lekarza.

Nie czułam zdenerwowania. Już kiedyś kazano mi leżeć, bo miałam zagrożoną ciążę, dumiałam teraz ze stopami wciśniętymi w ściereczki z Minnie Mouse czy czymkolwiek było to, co pokrywało strzemiona fotela ginekologicznego, i wtedy wszystko było dobrze. Lily, najspokojniejsza matka, jaką znam, pisała wtedy do mnie długie uspokajające maile i godzinami wysłuchiwała mojego płaczu przez telefon. Musiałam leżeć w łóżku, więc

zatrudniłszy pielęgniarską pomoc domową, która grała w sudoku i robiła mi penne z sosem bolońskim. Oglądałam *The Real Housewives of Orange County*. Opowiadałam potem Lily i Candace każdy odcinek ze szczegółami, a one słuchały, śmiały się i pomagały mi przetrwać. Wszystko było dobrze, tak jak zawsze: jak wtedy, gdy w pierwszej ciąży zaczęłam krwawić i lekarze dawali mi pięćdziesiąt procent szans albo gdy rodziłam pierwszego syna i pielęgniarka obecna przy tym absurdalnie długim porodzie na widok zanikających oznak życia mojego dziecka krzyknęła do lekarza: „To dziecko mi gaśnie i nie podoba mi się to!”, albo gdy mieliśmy kłopoty z byłą żoną i córkami mojego męża, na początku naszego wspólnego życia – dramaty i katastrofy, które nigdy się nie kończyły. A przecież wszystko zawsze było dobrze.

– Nie chce pani wiedzieć – westchnął mój ginekolog spod różowego materiału zasłaniającego moją dolną połowę. Po czym odepchnął się na ruchomym krześle tak, bym mogła go zobaczyć, a kiedy zaczęłam się podnosić na łokciu, by z nim porozmawiać, bardzo cichym głosem powiedział: – Proszę się położyć.

Dziwnie jest przyjmować złe wieści, leżąc na płasko. Po prostu patrzysz wtedy w sufit i słuchasz, chyba że rozmówca się nad tobą nachyli albo zamkniesz oczy. Następnie, w zależności od tego, jak bardzo te wieści są trudne, można doświadczyć czegoś, co zawsze uważałam za komunał albo środek artystyczny – możesz wyjść z ciała i patrzeć na siebie z góry. Głos mówił „wybrzuszenie błon” i „niesprawna szyjka macicy” i „jej stopa tak jakby wystaje przez szyjkę”, a ja się zastanawiałam: jak ja tu trafiłam i kim jest ta smutna kobieta na dole? Cała jej twarz wydawała się płakać – wykrzywiona, czerwona, bezkształtna. Odrosty też miała nieciekawe.

Kiedy mąż chwycił mnie za rękę, wróciłam nagle do siebie. Było to bolesnym doświadczeniem, jakby się uderzyć w łokieć, tyle że teraz całe ciało jest tym łokciem. Czułam się ogłupiała i obojętna, gdy ochryłym i pełnym niedowierzania głosem spytałam:

– Co? – Teraz już widziałam twarz mojego lekarza, patrzyłam, gdy odpowiadał z wymuszonym spokojem:

– Tego typu problemy zwykle nie kończą się dobrze. Wyglądał blado, jakby był zmęczony. Zdałam sobie sprawę, że pocieram rękę, jakbym czegoś szukała i jednocześnie chciała to zetrzeć, więc siłą woli zmusiłam się, by tego nie robić.

– Więc uważa pan, że stracę dziecko? – Zabrzmiałam niemal spokojnie. Czy to była najokropniejsza możliwość? Okej. Czy powie mi coś gorszego? Raczej nie. Nie byliśmy pewni, czy chcemy tego dziecka, ale w ostatniej chwili zdecydowaliśmy, że chcemy, a teraz możemy go nie mieć. Ale będziemy je mieli. Prawda? Wszystko przecież będzie dobrze. Mówił coś o szwie okrężnym zakładanym na szyjkę macicy, żeby ją domknąć, a ja powiedziałam, że wiem, co to jest, bo kiedyś pisałam o tym artykuł do jakiegoś pisma kobiecego. Kobiecie,

z którą robiłam wywiad, pomogło to uniknąć przedwczesnego porodu, a potem jeszcze przez kilka tygodni wisała do góry nogami i wszystko było dobrze.

Dla mojego lekarza musiało to brzmieć jak skamlenie, bo skinął głową i powtórzył, że natychmiast wysyła mnie do szpitala.

– Ale teraz?

Skinął powtórnie głową. Mąż zapytał, na jak długo. Ginekolog grał na zwłokę, tak teraz myślę, bo dopiero po chwili powiedział powoli i dobitnie:

– Cóż... to zależy. Być może na długo. Albo i nie. – Powiedział, że w tym szpitalu był inny lekarz, który specjalizuje się w ciążach wysokiego ryzyka, wspominał nawet jego nazwisko.

– Ach, to ten, uwielbiam go, trzy razy robił mi amniopunkcję, był przy tym cudowny – paplałam – i może będzie miał jakiś pomysł.

– Więc niech pani tam jedzie.

– Ale tak od razu? – znów pytałam. Wiedziałam, że zadałam już to pytanie, ale nie byłam w stanie przypomnieć sobie odpowiedzi.

– Owszem – odparł bez uśmiechu. Zaczęłam się zbierać, a on powiedział, że mam ładne buty. Powiedziałam, że to skimmersy wodoodporne, idealne na deszcz, i że dziewczyny mają w kwestii butów fajniej.



Kiedy już zostałam przyjęta, zapytałam jakąś młodą lekarzkę, dlaczego nie podniesiono mi dolnej połowy łóżka. Dlaczego leżę na płasko? Czy nie chodzi o to, żeby utrzymać dziecko w środku? Uśmiechnęła się.

– Naprawdę pani uważa, że to dobry pomysł leżeć przez następane osiemnaście lub dwadzieścia tygodni z nogami do góry? No niech pani pomyśli.

Gapiałam się na nią. Uśmiechała się, jakbyśmy miały wspólną tajemnicę, jakbyśmy miały tę samą wiedzę. Kiwnęłam głową z zakłopotaniem, najwyraźniej mój odruch zgadzania się nie zniknął mimo mglistego poczucia, że prawdopodobnie zgadzam się na coś strasznego. Przez chwilę docierał do mnie sens jej słów, ale potem odwróciłam głowę.

Co według niej sobie myślałam? Sądziłam, że uda się znaleźć jakiś sposób, żeby było lepiej. Czekałam na rozmowę z lekarzem specjalistą, tym, który mi robił amniopunkcję, tym, który był tak młody, uroczy i mądry, że wszystkie matki i przyszłe matki mówiły na niego Doogie Howser. On potrafi wszystko wyleczyć. I tak właśnie robi.

Mieli mi za parę godzin zrobić USG, więc mąż poszedł na chwilę do domu. Spisałam mu listę rzeczy, które ma mi przynieść po południu. Kosmetyki, stertę naukowych artykułów o kobietach i agresji, powieść Henry’ego Jamesa, którą już czytałam cztero- czy pięciokrotnie. Chciałam też zdjęcia moich synków. Patrzenie na ich buzie było jak ponowne czytanie Henry’ego Jamesa – wiedziałam, jaki

będzie rezultat, i mimo trudności, a czasem nawet bólu, podążanie za znanymi śladami i konturami, zarówno okiem, jak i w duchu, krzepiło mnie. Ktoś przyniósł wstrętą jaskrawozieloną galaretkę, za którą podziękowałam, i poprosiłam, by ją zabrać, co z wyrozumiałym uśmiechem uczyniono. Potem przyszła jeszcze inna lekarka i pytała mnie, jak się czuję i czym się zajmuję. Powiedziałam, że jestem pisarką i badaczką, a ona odparła: „Proszę, niech pani tego nie analizuje. Doprowadzi się pani do szaleństwa”. Obiecałam, że tego nie zrobię, i zaczęłam płakać, a ona wtedy powiedziała coś miłego, jak to lekarze. Wskazując na zdjęcie moich dzieci, które przykleiłam sobie obok łóżka – starszy syn się śmieje, a mały wrzeszczy wniebogłosy, być może dlatego, że brat go podszczypuje, albo po prostu, ot tak – powiedziałam jej, że mam już dwójkę. Że gdybym ich nie miała, nie wiem, czy dałabym radę to znieść. Więc mogło być gorzej. Popatrzyła na mnie przez chwilę, a potem, przechylając głowę na bok, powiedziała bardzo cicho: „Mogło być gorzej, ale także mogło być lepiej”.

I miała rację.



– Tu jest dziecko. Tu słyhać jego serce – powiedziała radiolog od USG, nie patrząc mi w oczy.

Potem wyszła, zostawiając notatnik i okulary.

– Powiem to pani wprost – zaznaczył doktor Doogie Howser, wchodząc do gabinetu i patrząc na obraz USG wyświetlany na ekranie. Zarys ciała mojego ślicznego dziecka, unoszącego się w świetle ziarnistego szarego cienia, tajemniczy niepoznany świat, bicie jej serca puszczane głośno, kojące, dodające otuchy, jak coś, co się nigdy nie skończy.

– W porządku – wydusiłam. Wszystko będzie dobrze.

Zaczął mówić, szybko, jakby bardzo chciał już skończyć, i właśnie to zauważyłam najpierw, zanim jeszcze dotarł do mnie sens jego słów. W skrócie wyglądało to tak, że los Daphne był przesądzony. Nie było żadnego ratunku. Istniały co prawda pewne wyjątkowe metody, ale szanse, że się ją uratuje, i tak były dramatycznie, wstrząsająco małe. A ja poniosłabym ogromne ryzyko. Infekcja, wysokie ciśnienie krwi, śmierć. Daphne umierała w moim brzuchu i była po prostu zbyt niedojrzała i chora, żeby mogła przeżyć na zewnątrz. Nawet w jednym z najlepszych oddziałów neonatologicznych na świecie. Ton jego głosu, cichy i szybki, naglący, stanowczy – głos racjonalny, nawet jeśli wypowiadał irracjonalne, szalone, niemożliwe rzeczy. Nie będzie żadnego dziecka. Tak naprawdę nie machała do was podczas USG. Nie chcieliście jej, co prawda potem zmieniliście zdanie, ale teraz jej już nie możecie mieć.

Wydusiłam z siebie tylko:

– Nie – chcąc mu przerwać albo powiedzieć: „Nie, nie, chwileczkę, a co

z...”, albo zmusić, by inaczej spojrział na problem, doprowadzić go do momentu, zdania, pomysłu, w którym z Daphne wszystko było w porządku i wszystko miało być dobrze. Do miejsca, w którym ratuje się zepsute rzeczy i je naprawia. Ale chyba zamiast mówić, musiałam krzyczeć, bo lekarka stojąca za nim zakryła tylko twarz rękami i powiedziała: „O mój Boże”, a potem sięgnęła do kontaktu i włączyła światło. Pokój znów się zrobił jaskrawy i antyseptyczny, nie było gdzie się schować. Nie było już ziarnistych pięknych cieni, nie było rorschachowego dziecka, które można obserwować, które koi.

Czasami kobiety wybierają indukowanie porodu i rodzą płód niezdolny do życia, wyjaśnił mi lekarz, a czasem wolą „pozwoić działać naturze” i wydalić płód w swoim czasie...

– Czy one powariowały? – przerwałam mu. Ale Doogie Howser chyba myślał, że naprawdę chce wiedzieć, więc dodał:

– Cóż, niektóre kobiety decydują, że chcą doświadczyć tego do końca i zobaczyć...

Znowu mu przerwałam:

– Jak duża jest? – chciałam wiedzieć.

– Raczej nie... – zaczął, ale ja naprawdę musiałam wiedzieć, więc prawie krzyknęłam:

– Jak duża jest? Proszę mi natychmiast powiedzieć, ile ona waży!

Więc podał mi liczbę w przybliżeniu, a ja znów zaczęłam łkać. Choć wtedy, gdy już się dowiedziałam, było mi łatwiej podjąć decyzję. Była dla mnie kimś, więc nie mogłam czekać i pozwoić jej na powolne obumieranie. Pożegnanie z moim dzieckiem nie mogło być takie rozciągnięte w czasie. Zauważyłam, że mój mąż ma zamknięte oczy, nie otwierał ich przez dłuższą chwilę. Daphne ostatnio bardzo kopała, a kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam, jak absurdalnie wyglądam jak na szósty miesiąc, jakbym była w bardzo zaawansowanej ciąży. To dlatego, że jestem drobna i że to trzecie dziecko. Brzuch urósł mi więc szybciej i wyglądałam na wysoką ciążę. Nie byłam w stanie myśleć o tej ogromnej nicości, jaka się otworzyła w tym samym miejscu, gdzie dotąd było ciało – zmieniające się, rosnące, gdzie były plany, dopiero co urządzone pokoik dla dziecka, gdzie było dziecko.

Pozwolenie, by zadziałała natura, jak wyjaśnił mi lekarz, mogło potrwać kilka dni. Wiedziałam już teraz, co mają na myśli ludzie, którzy mówili lub pisali, że czują się w potrzasku „jak dzikie zwierzęta”. Ja też byłam w potrzasku, skulona w miejscu, które się kurczyło, a ja usiłowałam za pomocą słów utorować sobie drogę ucieczki. Jednak trudno mi było mówić – słowa wypadały ze mnie zduszonymi oddechami i byłam na siebie o to zła.

– Ona nie cierpi – mówił znów Doogie Howser – a pani nic złego nie zrobiła.

A kiedy go zapytałam:

– Skąd pan wie? Skąd pan wie, że to nie moja wina? – Wykrzywił usta i na chwilę przymknął oczy, a potem otworzył je i odparł:

– Wiem. Po prostu wiem, że to nie pani wina.

Wydawało mi się, że coś przebija z jego wypowiedzi. Nagle stał się osobą, która mówi do drugiej osoby, usiłując namówić ją na powrót do świata.



W noc przed operacją zostałam sama w szpitalu. Uważałam, że mąż powinien być z naszymi dziećmi w domu. Jako że byłam na porodówce, gdy spałam, słyszałam płacz noworodków. Wciąż się wybudzałam i wówczas zdawałam sobie sprawę, że jestem w szpitalu, w którym urodziłam swoje dzieci, i myślałam, że muszę wstać do mojego maleństwa, mojej córeczki, która płacze obok.

Operację miał przeprowadzić Doogie Howser, który następnego ranka odwiedził mnie i trochę zakłopotany powiedział, że ustalono ją na trzecią po południu. Przeprosił za opóźnienie, a potem, gdy zobaczył, co czytam, rozmawialiśmy trochę o Henrym Jamesie. Potem czekałam, najpierw sama, następnie z mężem, rozmawialiśmy i nie robiliśmy nic specjalnego. Nie mogłam jeść, ale i tak nie miałam ochoty. Daphne kopała tak mocno i tak bardzo się wierała, że było to widać przez szpitalną koszulę, którą miałam na sobie. Lekarze wyjaśnili, że to z powodu wyciekającego płynu owodniowego. Dla mnie wyglądało to tak, jakby się dusiła. Mówiłam do niej, w myślach i na głos, że jest mi przykro i że to już długo nie potrwa. W pewnym momencie odwróciłam się do męża i powiedziałam:

– Mieliśmy fajne życie – zawsze mu to mówię, gdy dzieje się coś złego, a on się uśmiechnął.

Wydawało mi się, że dobrze się czuję, gdy wieźli mnie na salę operacyjną, która na żywo wygląda dokładnie tak samo dramatycznie jak w telewizji, kiedy pokazuje się ją z perspektywy pacjenta. Było w porządku, póki tam nie wjechałam. W środku panowała cisza i świeciły się jasne światła, a wszyscy mieli na sobie zielone fartuchy, maski i czepki. Zaczęli mnie przenosić z łóżka na stół operacyjny – tak się to chyba nazywa? – a Daphne miotła się i kopała. Mimo tego, a może właśnie dlatego, iż wyjaśniono mi, że nie ma już prawie w ogóle płynu owodniowego i że ona tego nie przeżyje, czułam się rozpaczliwie i powiedziałam coś w rodzaju: „Pospieszcie się, dłużej tego nie zniosę, ona tak mocno mnie kopie”. Zauważyłam, że pielęgniarka w różowej masce chirurgicznej płakała, a potem Doogie Howser trzymał mnie za rękę i coś do mnie mówił. Zapytał, czy mam coś nietypowego, na przykład kolczyki, o których powinien wiedzieć, a ja się roześmiałam i rozmawialiśmy o przeróżnych niespodziankach, które napotkał.

Długo trzymał moją dłoń, co było jednocześnie dziwne i dodające otuchy, prawie jak na randce, ale na randce z kimś, kto zaraz ci zrobi operację i wyjmie twoje umierające dziecko, które nie ma już żadnych szans, a nie możesz po prostu usiąść i czekać, aż organizm ją wywali. Zapytałam anestezjolożkę, co mi poda. „Coś, po czym pani zaśnie” – odparła. Doogie Howser wywrócił oczami i powiedział: „Chyba nie wiesz, z kim my tu mamy do czynienia. Musisz opowiedzieć tej pani dokładnie, co jej dasz, i precyzyjnie określić ile”. Tak więc zrobiła (dostałam jakąś benzodiazepinę) i pamiętam, jak mówiłam jej, że chcę maksymalną możliwą dawkę, tak żebym całkowicie zasnęła, ale żebym nie umarła. I że chcę czyste rurki do kroplówki, udało mi się jeszcze wymamrotać, gdy traciłam przytomność, bo mam dzieci i nie zamierzam umrzeć z powodu idiotycznej, dającej się łatwo uniknąć infekcji.



Gdy było już po wszystkim i rozmawiałam z mężem i moim ginekologiem, do pokoju wszedł Doogie Howser, chcąc się pewnie dowiedzieć, co u mnie. Przywitał się i zapytał:

– Pamięta pani, o czym rozmawialiśmy, gdy się pani wybudzała z narkozy?

Szeroko otworzyłam oczy, zaniepokojona, zastanawiałam się, szukałam w myślach. Nie miałam pojęcia.

– Czy to było coś, czego nie możemy powtórzyć w obecności mojego męża?

– dopytywałam się i wszyscy się roześmiali, oprócz Doogiego Howsera.

A potem sobie poszedł, a ja zostałam z niepewnością, cóż takiego wtedy powiedziałam. Co ja powiedziałam? Do dziś o tym myślę. Do dziś moja reakcja na utratę Daphne wiąże się z zagadką, co, do cholery, powiedziałam temu lekarzowi, w chwili gdy wyłaniałam się z czarnej otchłani. Ten niepokój, ta dręcząca mnie myśl jest jak czarna nić łącząca mnie z nim. I z Daphne.

Wszyscy lekarze używali słów „ciąża”, „płód”, gdy omawialiśmy, co się dzieje i co można zrobić. Płód nie mógł zostać uratowany. Lekarze nie potrafili zapobiec obumarciu płodu. Nie dało się tego odwrócić, zmienić ani zatrzymać. Płód był niezdolny do życia. Wtedy pracowniczka socjalna, która odwiedziła mnie po „operacji”, nazwała go „dzieckiem”. Ta ostra i nagła zmiana semantyczna była prawdopodobnie celowa. Trzeba zamknąć w sobie matkę, żeby móc mieć operację. Potem można matkę wypuścić, żeby mogła opłakać swoje dziecko, przeżyć żalobę. Tak jak robiłyśmy to zawsze, odkąd kobiety traciły dzieci. Zapytała mnie, czy życzę sobie pogrzebu, a ja powiedziałam, że nie. Doogie Howser już mnie o to pytał i powiedział, że jeśli się nie zdecydujemy, Daphne będzie miała „szpitalny pochówek”, wyjaśniając, że zostanie potraktowana podobnie jak odpady medyczne. „Choć nie jest odpadem” – dodał szybko. A ja powiedziałam: „Cóż, w zasadzie już jest”. Bo nie mieliśmy nawet możliwości przekazać komórek macierzystych ani

w żaden inny sposób użyć jej tkanek. Pracowniczka socjalna zapytała też, czy chcę pamiątkowe pudełko. Wyjaśniła, że w środku jest czapeczka, akt zgonu i odcisk małej rączki i stópki, a ja się skrzywiłam, bo uważałam, że to w jakiś sposób oburzające i absurdalne. Nie wiedziałam, co miałabym robić z takim pudełkiem. Wepchnąć w najciemniejszy kąt szafy? Schować do garażu? Co? Rozmawialiśmy o tym, jak bardzo czuję się oszukana – kto, do cholery, traci dziecko w szóstym miesiącu ciąży? Po dwunastym tygodniu zaczynasz czuć się już w miarę bezpiecznie, a tu... kto by się spodziewał?! I dlaczego to się stało? A wtedy ona powiedziała, że wszystkie kobiety znajdujące się w tym skrzydle szpitala straciły dziecko w drugim, a nawet trzecim trymestrze. Jest nas całe skrzydło, pomyślałam. Też mi pociecha.



Macierzyństwo zajmuje taką samą część terytorium śmierci jak terytorium życia. Nikt wcześniej mi tego nie mówił. Ani pediatrzy, ani modne magazyny typu „Zdrowa Ciąża” albo „Młoda Mama!”. Jednak, gdy zwróciłam się ku antropologii, ku książkom stojącym u mnie na półce i tym, które kupowałam po stracie Daphne, gdy próbowałam to zrozumieć, dostrzegłam tę wielką tajemnicę, rozciągającą się na całe eony. Przeżycia Nisy pomogły mi odnaleźć sens w mojej stracie. I nauczyłam się czegoś jeszcze, dość oczywistej rzeczy, która jednak nigdy wcześniej nie przyszła mi do głowy: kiedy umiera noworodek albo dziecko, świat się zatrzymuje. Na swój mały, lecz bardzo rzeczywisty sposób, którego nie da się odwrócić ani zanegować, świat się kończy. A potem powoli, tygodniami, miesiącami, latami, wszyscy, którzy kochali to dziecko, którzy kiedykolwiek kochali jakiegokolwiek dziecko, mają za zadanie stworzyć ten świat od nowa i wprawić go w ruch. A potem znów, kolejne zadanie, jeszcze więcej pracy: sprawić, by jakimś cudem dało się żyć w świecie, w którym przydarzają się takie rzeczy. By dało się żyć z gorzkim posmakiem i poczuciem niesprawiedliwości, z udręką i wrażeniem, że się zostało przenicowaną na drugą stronę, że nic cię nie chroni. Z szaloną, lecz logiczną natrętną potrzebą ukrycia najmłodszego dziecka, z obsesyjnym lękiem, że potrafi je samochód albo utopi się w basenie, albo umrze z jakiegoś innego powodu. Codziennie, przez wiele tygodni zastanawiałam się, od jak dawna kobiety tak czują, od jak dawna wiedzą o tym, zapominają i znów muszą sobie przypominać? To było w nas, byłam o tym przekonana.

Kiedy nieoczekiwanie umarła trzyletnia córeczka Lily – szybko, w zasadzie z powodu przeziębienia – rozpaczaliśmy wspólnie, wszyscy, którzy ją kochali, wszyscy, którzy kochają swoje dzieci, każdy, kto o tym usłyszał. Fala od Lily dotarła najpierw do nas, jej najbliższych przyjaciółek, a od nas do naszych najbliższych przyjaciół, potem do ich przyjaciół i tak trafiła do każdej kobiety i każdego mężczyzny, rodziców przedszkolaków na Manhattanie. Byliśmy

w szoku, bladzi na twarzach, ze ściśniętym gardłem i zaczerwienionymi oczami, rozmawialiśmy ze sobą w szkole, przy kawie czy przez telefon. Dużo płakaliśmy. Nadal płacemy. Nawet ci, którzy tylko znają kogoś, kto zna kogoś, kto znał ją. Nie. Jak to się stało? Niemożliwe. Co dokładnie się wydarzyło? Dlaczego? Co teraz robi jej mama?

Flora miała niespełna cztery lata. Była blondynką o delikatnych włosach i wielkich niebieskich oczach. Była niejadkiem i nie lubiła, gdy ktoś dotykał jej głowy. Uwielbiała gotować, uczyć się i chodzić na balet. Dopiero zaczęła stawać się sobą. Pewnej nocy, mniej więcej tydzień przed tym, jak zemdłała, przyszła do nas ze swoją starszą siostrą, żeby pobawić się z moimi chłopcami. A gdy ja przygotowywałam się do wyjścia z mężem i Lily, ktoś cichutko zapukał do drzwi. To była Flora z prezentem opakowanym w biały papier i przewiązany złotą wstążką. „To dla ciebie” – powiedziała nieśmiało, ale z uśmiechem, patrząc w podłogę. Tylko na chwilę odważyła się spojrzeć mi w oczy. Uklękłam i dałam jej całusa. „Dziękuję ci, Floro” – powiedziałam. Przyszła tu sama, przez długi korytarz, bez mamy, siostry i pozostałych dzieci, opuściła jasny, ciepły pokój, w którym oglądali w telewizji bajkę, żeby załatwić ze mną sprawę. Powiedziałam o tym później Lily, a ta się zaśmiała i odparła: „Robi się coraz odważniejsza. Coraz częściej tak się zachowuje”.

Była tu, a potem nagle zniknęła. Umysł pojmuje to w małych kawałkach. Nie: „ona nie żyje”, ale raczej: „już nie założy tego małego sweterka w żółte kwiatki ani różowych kaloszy”. Jej mała szafka w szkole, ta, w której wisiał jej różowy plecak i gdzie gromadziła wszystkie swoje prace z plastyki, teraz jest pusta. Trzymam w dłoni jej parasolkę w księżniczki, a ona już nigdy tego nie robi. Jak długo? Ile trzeba czasu, żeby pozbierać te kawałki w całość i przyjąć za prawdę stratę Flory, to, że już nigdy jej nie będzie?

Zaobserwowano, że samice dżelady, szympansa i goryla górskiego noszą, iskają i kołyszają ciała swoich zmarłych dzieci. Często robią to tak długo, że szczątki ich młodych ulegają mumifikacji. U szympanсів i dżelad matki noszą zwłoki swoich dzieci w nietypowy sposób – za kończyny, za jedną rękę albo w pysku – co sugeruje, że nawet jeśli czule się o nie troszczą, zdają sobie sprawę, iż dzieci są martwe. Czułam z nimi wielką więź za każdym razem, gdy o tym pomyślałam, jak zwierzę ciągnąc za sobą złudną nadzieję, złamane serce i instynkt. Podejrzewam, że Lily też. Nie można porównać utraty dziecka, małej osobki, którą się dobrze znało i kochało przez blisko cztery lata, z utratą dziecka nienarodzonego. Starłam się tego nie robić. Ale Lily czasem mówiła: „Mam wrażenie, że mnie rozumiesz, bo tobie też przydarzyło się coś strasznego”. Wszystkim nam. Ale przede wszystkim najstraszniejszą rzecz spotkała Lily. I Nisę. I wiele innych, wybranych do szczególnego, uniwersalnego, niewyróżniającego się, za to wybitnie trudnego do zniesienia smutku.



Musiało upłynąć dużo czasu, by dotarło do mnie, bym naprawdę zrozumiała, że już nie jestem w ciąży. Któregoś dnia pozbierałam wszystkie ubrania ciążowe i te na po porodzie – bluzki do karmienia, staniki do karmienia, miękkie swetry z zabawnymi rozcięciami na piersiach – włożyłam je do siatki i wystawiłam do śmietnika, gdzie można było segregować śmieci, ale też oddać te, które mogą się jeszcze komuś przydać, na przykład wejść w obieg właściciel–portier–rodzina portiera–Kościół, co było tu często spotykane. Po wszystkim, pomyślałam.

Wtedy opadła na mnie ta mgła. Nie mogłam zapamiętać, gdzie odłożyłam klucze, po cztery razy odpowiadałam na maile i bardzo się złościłam. Na siebie, za to, że gdzieś posiałam portfel, że po zdjęciu butów wyrzuciłam je do kosza, jakby to było normalne. Wściekałam się, gdy włożyłam telefon do lodówki. I na mojego lekarza, który nie rozumiał, że mam alzheimera. Cóż innego mogło być przyczyną tego, że nie potrafię sobie przypomnieć, co mówiłam, co robiłam, gdzie byłam i co obiecałam? Cały czas było mi zimno. W pokoju mojego starszego syna natknęłam się na taki jego rysunek: dwie patykowate postacie, jedna z wielkim brzuchem i drobnym ciałem, z iksami w miejscu oczu, a druga z pudłem, z którego odchodzą kreski. „Co to jest?” – spytałam. „To wtedy, gdy dzidzia umarła. To jest lekarz i jego maszyna” – wyjaśnił. Napisał listy do Daphne i Flory. „Cieszę się, że jesteś moją siostrzyczką, nawet mimo że umarłaś” – to do Daphne, a list do Flory kończył się tak: „Brakuje mi Ciebie, proszę, odezwij się, jeśli możesz”.

W tym smutku nasza mała rodzina odgrodziła się od reszty świata. Mój mąż nie rozumiał poziomu mojej udręki i złości – niby jak miał to pojąć? – więc w najgorsze dni czułam się oddzielona murem nawet od niego, jakby był postacią, która tylko pojawia się i znika na scenie, na której rozgrywa się moja utrata. Próbowałam pracować, łudząc się, że pisanie mi pomoże, ale nie mogłam ufać własnej głowie, umysł się mnie nie słuchał. Nie mogłam przypomnieć sobie słów, i to nie takich trudnych do zapamiętania dla każdego jak „efemeryczny”, ale zwykłych, typu „że” albo „również”. Dzwoniłam do Candace albo do mojego przyjaciela Jeffa, profesora anglistyki, i prosiłam ich, by pomogli mi ubrać w słowa to, co chciałam powiedzieć. Pomagali mi przetrwać dezorientację i rozgoryczenie, słowo po słowie.

Czasem wydawało się, że świat poza naszym domem odpływa daleko. Sprawy, które mnie dawniej zaprzętały, na których się koncentrowałam – nie tylko moja praca, lecz także trud znalezienia dla mnie i dla moich synów miejsca w świecie, który już przestał być całkowicie obcy i wrogi, a stał się znany i niemal normalny – wydawały się teraz idiotyczne, były wykrzywione i zniekształcone przez moje doświadczenie utraty. Po co to wszystko? Kogo obchodzi jeszcze jedna książka? Kogo obchodzi, czy mój syn zostanie zaproszony na urodziny do kolegi,

czy nie? Dlaczego kiedykolwiek się tym martwiłam? Byłam bezbronna, byłam otwartą raną, ale wiedziałam jedno – że nie mam już cierpliwości na gierki manhattańskich matek. Byłam przekonana, że jeśli którakolwiek krzywo na mnie spojrzy albo powie lub zrobi coś okropnego moim dzieciom, dam jej nauczkę, pociągnę za sobą w ciemną rozpacz i opowiem o tym, co się naprawdę liczy. Czekałam, niech no się tylko do mnie zbliży Królowa Królowych Pszczół – podobno ostatnio na szkolnym korytarzu chwyciła jakąś kobietę za kołnierz płaszcza, żeby się dowiedzieć, gdzie go kupiła, a potem obśmiała, że taki tani. Na szczęście dla nas obu nie zrobiła tego.

Działo się także coś innego. Każdego dnia, bez wyjątku, docierały do mnie sygnały od znanych i nieznanymi mi matek.

– Amniopunkcja była niedobra, ale czekaliśmy, licząc na cud. Więc byłam w naprawdę wysokiej ciąży, gdy... no wiesz – powiedziała mi przy kawie kobieta, którą zawsze odbierałam jako nedorzecznie bogatą, obojętną i próżną. Spojrzała na mnie i dodała: – Wiem, jak to jest, i naprawdę ci współczuję.

Byłam wykończona, jakby wyżęta, ale nalegała na spotkanie. Przedtem nie znałyśmy się jakoś bliżej. A teraz łkałam – po Daphne i po jej dziecku – a ona powiedziała:

– Pomogę ci.

I tak zrobiła. Znała to uczucie, bo je przeżyła. Jak one wszystkie. Ku mojemu zaskoczeniu, nieoczekiwanie, matki, z których wiele oceniłam jako niesympatyczne, samolubne i płytkie, pokazały mi swoje prawdziwe oblicze, pokazały mi, czym jest macierzyństwo.

Jedna po drugiej, codziennie, utrzymywały ze mną kontakt. Zabierały na lunch, przysyłały kwiaty, zapraszały nas do letnich domów. Pisały maile tylko po to, żeby się przywitać. Opowiadały mi własne historie. „Straciłam bliźnięta, gdy byłam w dwudziestym drugim tygodniu ciąży. To znaczy jeden synek urodził się martwy, a drugi żył jeszcze dwa tygodnie, ale potem umarł. I chciałam ci tylko powiedzieć, że cię dobrze rozumiem. Bardzo”. Inna matka, ze szkoły mojego syna, opowiedziała, jak straciła dziecko w dziewiętnastym tygodniu i prawie umarła z powodu utraty krwi. Dotaczano jej krew kilka razy, a ona myślała o swoich pozostałych dzieciach. Spacerowałyśmy po ścieżce konnej w Central Parku, w strojach do ćwiczeń, słuchałyśmy nawzajem swoich historii. Zastanawiałam się, ile jeszcze kobiet w tym parku albo w otaczających go budynkach, albo jak wiele matek w mieście, wokół miasta, w tym kraju, na świecie, rozmyśla teraz o podobnych doświadczeniach, aż doszłyśmy do drzewa, które mój mały synek nazywa „krzywym drzewem” – idealnego miejsca dla takiego malucha, bo można wspiąć się na nie bezpiecznie, otoczonym ramieniem kochającej osoby.

Słyszałam historie utraty dziecka na tydzień albo dzień przed wyznaczonym terminem porodu. A jedna kobieta, którą uważałam za niezwykle zimną – jak się

dowiedziałam – pewnego razu weszła do pokoju swojej niespełna sześciomiesięcznej córeczki i znalazła ją martwą. To była śmierć łóżeczkowa. Inna opowiedziała mi o śmierci swojego maleństwa – miała córeczkę, która z nieznanых przyczyn umarła, gdy miała osiem miesięcy. Opowiadała mi o tym jakby mimochodem, jakby to moja strata była sednem. Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam ją po ramieniu. „Nigdy nie będzie zgody na to, co się stało, ale będzie lepiej” – powiedziała przepraszająco, gdy stałyśmy na chodniku.

Czułam jednocześnie wstyd, chaos i ulgę, kiedy zdałam sobie sprawę, że tak wiele matek, które spisałam na straty, bo zraniły mnie swoją rezerwą i ekskluzywną plemiennością, które mnie onieśmiały, osądziłam zbyt pochopnie. Spora część tych, które uznałam za odpychające i sukowate, teraz nie dała się tak łatwo zbyć. Proponowały, żeby starszy syn nocował u ich dzieci, albo deklarowały, że wezmą go do kina. Przysyłały obiady. A gdy ktoś nas zapraszał na weekend – jeździliśmy. Jedliśmy i rozmawiali, pływaliśmy z naszymi i ich dziećmi w ich basenach. Nazwaliśmy to sobie Objazdówką Martwego Dziecka. Spodziewałam się, że moja utrata dodatkowo zwiększy przepaść między mną a nimi, ale stało się odwrotnie. One też kogoś straciły. Żartowałyśmy sobie, inne matki po utracie i ja, że powinnyśmy sobie zrobić koszulki z napisem „Rzygałam przez sześć miesięcy... a w zamian dostałam tylko ten głupi T-shirt”. Miewałam dni lepsze i gorsze, a także bardzo złe. Lecz inne matki szarżujące na chodnikach, dzierzzące birkinys czy te, które wcześniej dawały mi odczuć, że ja i moje dzieci jesteśmy pariasami towarzyskimi, nie unikały ze mnie. Te same, które dawniej mi dokuczały i dręczyły mnie, teraz wpadały na lampkę wina. Siedziały, słuchały i okazywały niezwykłą i imponującą zdolność znoszenia mojego bólu i gniewu oraz troskę. Całymi tygodniami, miesiącami, a niektóre nawet przez lata.



Jedną z największych wolt w antropologii ostatniej dekady, odkryciem, które odmieniło wszystko, była konstatacja, że wyewoluowaliśmy do wspólnego wychowu (*cooperative breeding*). Wychowywanie dzieci w rodzinie nuklearnej jest nowością, krótkim mignięciem na ekranie życia ludzkich rodzin. Nigdy nie zajmowaliśmy się dzieckiem w pojedynkę, w odosobnieniu i odcięciu od innych, ani z tylko jedną osobą – ojcem dziecka. To bardzo mozolne i odbiegające od normy, nie tak „powinno” być. Tak naprawdę, odkąd istniejemy, polegałyśmy na innych samicach – spokrewnionych i nastawionych życzliwie – które pomagały nam wychowywać młode. Przez większą część czasu żyłyśmy jak Nisa, w wielorodzinnych grupach, w których dbano o siebie nawzajem, troszczono się i opiekowano nawzajem swoimi dziećmi. Ślady tego widać wciąż na Karaibach, gdzie w małym miasteczku każdy dorosły może zwrócić uwagę każdemu dziecku, a ono go posłucha. Albo na Hawajach, gdzie dzieci i dorośli połączeni są *hanai*

z ciotkami i wujkami, niezbędnymi honorowymi związkami, mającymi na celu dbanie o dobrostan i wykształcenie niespokrewnionego dziecka. Nie, to nie wynalezienie ognia ani myślistwo, ani nie diada heteroseksualna popchnęły nas do przodu – co do tego wśród antropologów panuje zgoda. To dzięki naszym *Homo* przodkiniom, które tuliły dzieci innych samic, troszczyły się o nie, a nawet karmiły je własnym mlekiem. To jest w dużej mierze przyczyna, dla której *Homo sapiens* mógł się rozwinąć i rozwija się nadal, podczas gdy inne homininy i prehomininy wymarły. Ta wspólna historia współzależności, opieki i troszczenia może wyjaśniać unikalną zdolność kobiet do zawierania głębokich przyjaźni z innymi kobietami. Od zawsze przecież polegałyśmy na sobie nawzajem w kwestii opieki nad dziećmi, zdrowia psychicznego i przetrwania. W takiej sieci powiązań twoja utrata ma na mnie wpływ, bo twoje dziecko jest po części także moje.

Wiedziałałam o tym. O wspólnym wychowie i wspólnotowym karmieniu piersią uczyłam się na studiach i prowadząc badania. Myślałam o tym i pisałam. Lecz teraz odczułam to na własnej skórze.

To, co mi się przydarzyło, musiało być przerażające dla matek, które tego nie przeżyły, a dla tych, które przeżyły, musiało być straszliwym przypomnieniem. Jednak nie przestawały mnie pytać, jak się mam, mimo wszystko chciały wiedzieć. Na Manhattanie wśród kobiet posiadających dzieci często obserwuje się niesłychaną rywalizację i agresję – decydujące starcia na stylizacje, podliczające, taksujące spojrzenia w szkolnej windzie. Jednak po tym, jak straciłam Daphne, zobaczyłam, że istnieją tu także niezwykła współpraca i wsparcie, jeśli chodzi o dbanie o siebie nawzajem przez dbanie nawzajem o swoje dzieci. Dokładnie tak, jak robią to matki w małych miasteczkach, jak robiły to matki dawno temu, kobiety na UES tworzą ścisłe więzi, pełniące funkcję po części emocjonalnego systemu wsparcia, a po części zastępczej opieki nad dziećmi. Nie zostawiły mnie samej, bo nie mogły.

**** A.A. Volk, J. Atkinson, *Is Child Death the Crucible of Human Evolution?*, „Journal of Social and Cultural Evolutionary Psychology” 2008, nr 2.

Rozdział ósmy

Zapiski z badań terenowych – podsumowanie

Po blisko sześciu latach badań terenowych prowadzonych na Upper East Side na Manhattanie w grupie liczącej w przybliżeniu 150 matek małych dzieci, które mieszkały na obszarze ledwie 250 akrów, moje zanurzenie się w to plemię i identyfikacja z nim były całkowite. Nic nie zapowiadało takiego rezultatu. Początkowo byłam transferem do tego konkretnego stada ssaków naczelnych wyższego rzędu. Wcześniej, gdy osiągnęłam dojrzałość płciową, oddzieliłam się od grupy geograficznie i kulturowo odległej, potem przez wiele lat żyłam w południowej części wyspy, ucząc się praktyk i obyczajów, które tam obowiązywały. Wreszcie w poszukiwaniu możliwości dla siebie i swojego potomstwa przemieściłam się na daleką północ ich terytorium, do niszy o niezwyklej obfitości zasobów. Nie praktykowałam religii badanego przeze mnie plemienia. Dopóki nie nauczyłam się ich zwyczajów, stosowałam odmienne procedury dotyczące upiększania się, ubierania i higieny, a potem także często unikałam podporządkowania się ich normom: moje wzorce dobrowolnej sezonowej migracji były inne niż ich; miałam też względnie mniejsze zasoby niż oni. Nic więc dziwnego, że podobnie do wielu innych nowych członkiń stada, u ludzi oraz innych naczelnych na całym świecie, miałam niski status, przez wiele długich miesięcy po moim dołączeniu dokuczano mi, a wręcz byłam napastowana przez samice o wyższym statusie w grupie (które zwykle odziedziczyły go po ojcu lub mężach). Czasem odnosiłam wrażenie, że to się nigdy nie skończy.

Prymatolog Robert Sapolsky wraz z zespołem odkryli, opierając się na wieloletnich badaniach terenowych wśród ssaków naczelnych innych niż człowiek, że podczas gdy niski status wywołuje stres, a wysoki status jest dziedziczony i wiąże się z wieloma różnymi korzyściami, sama hierarchia społeczna u tych zwierząt jest prawdopodobnie bardziej elastyczna niż stała, wbrew początkowym przekonaniom badaczy. Na przykład zajmujący niską pozycję w stadzie pawian może, sprytnie budując koalicje (poprzez iskanie, tworzenie sojuszy w trakcie bójek, dzielenie się jedzeniem oraz opiekę nad młodymi), zapewnić sobie i swojemu potomstwu przyjemne warunki bytowe. Sapolsky sugeruje też, że u naczelnych innych niż ludzie osobniki beta wykazują niższy poziom stresu niż osobniki alfa. Życie po prostu jest lepsze, jeśli się nie jest na samym szczycie, nie trzeba się nieustannie bronić przed zazdrośnikami i próbami odebrania pierwszeństwa.

Implikacje tych odkryć dla ludzi są dość niejasne, lecz po kilku latach mieszkania wśród grupy, którą w rezultacie uznałam za swoje plemię, po wielu miesiącach wysiłku, by znaleźć sojuszników, stworzyć koalicje, wreszcie czułam się zadowolona ze swojej pozycji, przyjaźni oraz, co najważniejsze dla ssaka naczelnego, widoków moich dzieci na przyszłość. Częściowo poprawę tę można by zawdzięczać mojej „pracy” społecznej – pielęgnowaniu więzi i koneksji dla siebie i moich synów, zawziętemu (i zapewne żalosemu) uporowi w ignorowaniu tego, że mnie ignorują, dzięki czemu nie straciłam twarzy, optymalnemu wykorzystywaniu krótkotrwałej uwagi samca alfa. Jednak czynnikiem przyspieszającym zmianę mojej pozycji mógł równie dobrze być fakt utracenia ciąży na zaawansowanym etapie, co wywołało u osobniczek mojego gatunku nieoczekiwane współczucie. To wydarzenie prawdopodobnie aktywowało głębokie inklinacje do hojności, troski i empatii u kobiet, które wyewoluowały jako osobniki wychowujące wspólnotowo i których przodkinie zwyczajowo opiekowały się dziećmi spokrewnionych bądź zaprzyjaźnionych matek. Choć ta praktyka nie jest już rozpowszechniona w odmiennych ekologicznych i środowiskowych warunkach, widać wyraźnie, że jeśli chodzi o wspólny wychów, opiekę w obrębie wspólnoty oraz zwykłą troskę – jak ujął to antropolog Steve Josephson – „oprogramowanie nadal działa”.



W napisanym przez Bronisława Malinowskiego *Dzienniku w ścisłym znaczeniu tego wyrazu*, który jest osobistym rewersem jego oficjalnego etnograficznego zapisu życia wśród Trobriandczyków na wyspach u wybrzeża Nowej Gwinei, pod tytułem *Argonauci zachodniego Pacyfiku* (1917), autor się odsłania. Przeniósłszy się na daleki archipelag, w imię rozwijającej się „nauki” społecznej, której adepti walczyli, by odróżnić się od misjonarzy, handlarzy oraz zarządców kolonialnych, Malinowski często pokazuje się jako ktoś „zagubiony”. Ten wybitny ojciec założyciel antropologii przeżywa wściekłość na swoich informatorów, którzy – chociaż dawał im tytuł – odchodzili, lekceważąc „zobowiązanie” do rewanżu w postaci informacji o sobie i swojej kulturze. Daje wyraz wszystkim typom osobistej i zawodowej niepewności, a nawet czemuś w rodzaju emocjonalnego i psychologicznego załamania, gdy przyzwyczajają się do oszłamiającego otoczenia – mieszkania w szałasie, palącego słońca, obcego języka oraz całkowicie nowego sposobu życia. Powraca do niego wyobrażenie, że jest śmiertelnie chory. Czuje się niespokojny, samotny i sfrustrowany seksualnie.

Często myślałam o Malinowskim, o którym napisałam doktorat, gdy kończył się kolejny dzień na Upper East Side. Myślałam o jego dojmującej szczerości, z jaką opisywał swą sytuację: poza jego kontrolą, choć tak zależną od niego. Wspominałam, jak potrafił się mylić, obrażać, wykazywać małostkowością

i nienaukowością, jak płytki i uprzedzony bywał w swoich prywatnych zapiskach, a jak chłodnym, analitycznym i zdystansowanym głosem profesjonalisty przemawiał w *Argonautach*. Malinowski, z kilkoma innymi, praktycznie „wynałaził” antropologię – dziedzinę, którą zawsze uwielbiałam za inspirujące łączenie opowiadania historii i wnikliwości, za niewygodne, choć niezaprzeczone zestawienie indywidualnego doświadczenia outsidera z dominującą narracją kultury. Nie zajmuję się antropologią naukowo – nie kończyłam studiów magisterskich w tej dziedzinie, choć uczyłam się jej później i karierę zawodową oparłam na jej rozumieniu, pisaniu o niej i uczeniu jej historii podczas zajęć z kulturoznawstwa. Nigdy też nie wyjeżdżałam w odległy zakątek świata, by obserwować i utrwaląć zachowanie szympanсів, małp człekokształtnych, pawianów i innych, jak robią to prymatolodzy. Antropologia i prymatologia to były dla mnie po prostu dyscypliny i punkty widzenia, które studiowałam, które pokochałam i które zastosowałam do własnego doświadczenia przenosin i przystosowania do życia w obcej kulturze, w społeczeństwie o nieznanym mi rytuałach, przekonaniach, przez które czułam się bezradna i wyobcowana.

Mimo że nigdy nie wyjechałam z Manhattanu ani nie musiałam się uczyć nowego języka, przeżycia Malinowskiego opisane w *Dzienniku* – irytacji związanej ze zmianą kulturową – były mi dobrze znane. Bardzo chciałam do nich przynależać, więc czasem czułam się mocno urażona przez ludzi wokół mnie, którzy zachowywali się obojętnie lub nawet pogardliwie wobec każdego, kto nie jest jednym z nich. Czułam się wzgardzona, gdy moje przyjacielskie gesty nie zostawały odwzajemnione ani docenione. Doświadczyłam pewnej wersji szoku kulturowego z powodu nowego, obcego mi środowiska i praktyk kulturowych, a także z powodu bycia ignorowaną osobą z zewnątrz. Czasem też walczyłam z pokusą wyśmiania tych, których miałam przecież zrozumieć. Nierzadko, choć wiedziałam, że dręczenie mnie w ramach otrzęsin nie jest niczym osobistym, i tak czułam wielki gniew. („Moje uczucie [względem informatorów to czasami] »Wytepić tych dzikusów«” – zapisał Malinowski w gniewie). Doskonale rozumiałam takie „odczucia z terenu badań”.

Jednak w rezultacie mamy, wśród których mieszkałam i które badałam, zaskoczyły mnie. Nie potrafię sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek czułam się bardziej dręczona niż w pierwszych miesiącach i latach otrzęsin, przyznaję. Ale nigdy też nie czułam się bardziej otoczona opieką, traktowana jak prawdziwa przyjaciółka niż po tym, jak straciłam moją nienarodzoną córkę Daphne. Te kiedyś nieprzejednane matki, które się do mnie zwróciły – te same, które wydawały się wcześniej aroganckie, a nawet bez serca, które sprawiały, że czułam się lustrowana, wyśmiewana, ignorowana i traktowana jak towarzyski parias, te, które same kogoś utraciły lub znały to z opowieści siostr i przyjaciółek – robiły to z tak wielkim zaangażowaniem, determinacją i ofiarnością, że mnie to zdumiało. Myślę, że

w którymś momencie zapomniały, co je do mnie przywiodło i kazało im być troskliwymi i życzliwymi, a nie jak dawniej bezdusznymi, obojętnymi, a niekiedy nawet podłymi. A potem po prostu już tak zostało, były dla mnie dobre. „Nie pamiętam, jak zaczęła się nasza przyjaźń. Tak się cieszę, że się poznałyśmy... Zdaje się, że w szkole, prawda?” – wspominała pewna moja przyjaciółka o lśniących włosach, w okularach przeciwsłonecznych od Chanel, gdy pewnego ranka po kawie zasiedziałyśmy się w słońcu na Madison. Nie przypominałam jej, bo teraz się przyjaźniłyśmy, nasza przyjaźń była głęboka, więc szkoda by było to zepsuć. Niech sobie będzie.

Czasem nadal napotykam kobiety z małymi dziećmi na Upper East Side, z którymi mam wspólnych znajomych – czyli luźny związek – i uderza mnie pierwsze wrażenie (albo i drugie albo trzecie) – to, jakie są sztywne, zimne i nieprzyjazne. Nie patrzę na mój gatunek przez różowe okulary, ale teraz, gdy rozumiem już obojętność innej matki albo jej rozstrój, opryskliwość czy lekceważące i rywalizacyjne uwagi, odnoszę wrażenie, oparte na doświadczeniu, że w innych okolicznościach pewnie ujrzałabym lepszą, głębszą jej część i że ona to samo ujrzałaby we mnie.



Prymatolog Frans de Waal jest pionierem powstającej właśnie dziedziny badań nad zwierzęcą empatią i zajmuje się nie tylko ssakami naczelnymi, lecz także psowatymi, słoniami, a nawet gryzoniami. Wyjaśnia, że te wszystkie ssaki, ale szczególnie naczelne, „są wrażliwe na emocje innych osobników i pomagają potrzebującym”. To twierdzenie – opracowane na podstawie wieloletnich badań de Waala, Jane Goodall i Roberta Sapolsky’ego – wydaje się dość powściągliwe. Istnieją dosłownie tysiące udokumentowanych przypadków, dowodzi de Waal, szympansov, które pocieszają smutnych członków stada przez przytulanie i całowanie ich. Małpy człekokształtne „z własnej woli otwierają drzwi, by ułatwić towarzyszkowi dostęp do jedzenia, nawet jeśli przez to stracą jakąś jego część”. Małpy kapucynki szukają nagród także dla innych, wybierając – gdy mają do wyboru dwie rzeczy – tę bardziej „prospołeczną”, która nagrodzi i wybierającą, i jej towarzyszkę. Nauka z ociąganiem przyjmuje wszystko, co uderza w antropomorfizm – przypisywanie zwierzętom ludzkich cech – ponieważ wydaje się to zbyt łagodne, sentymentalne i nietrafne.

A jednak nie da się zignorować przewagi dowodów na to, że zwierzęta dbają o siebie nawzajem, często kosztem samych siebie. Zimne serce nauki topnieje, gdy trzeba zaakceptować „mniej krwawą” wersję historii naszej ewolucji (tak opisuje to de Waal), tę, która podkreśla, jak bardzo kształtowały nas – prócz konfliktów, przemocy i nieczułości – także kooperacja i współczucie. Hipoteza o takich początkach ludzkości wyrasta z obserwacji codziennego zachowania ssaków

naczelnym niebędącym ludźmi. Owszem, szympansy potrafią być agresywne i nastawione są na władzę tak, że wzbudziłyby podziw nawet najbardziej bezwzględny menedżer funduszy inwestycyjnych na Manhattanie. Według de Waala niektóre ssaki naczelne są na dobrą sprawę makiaweliczne – na początku kariery studiował on nawet Machiavellego, by lepiej zrozumieć, dlaczego obserwowane przez niego szympansy „gadają sobie i knują”, zamiast bez mrugnięcia okiem zabić rywala. A przecież żyją w ścisłych wspólnotach i mogą wykazywać niezwykłą troskę o innych, jak wtedy, gdy samica o imieniu Daisy, która uwielbiała trociny, gromadziła je, by cały uzbierany zapas przekazać potem choremu samcowi o imieniu Amos, żeby mógł zbudować sobie wygodniejsze legowisko i w nim odpoczywać. Daisy na podstawie własnych odczuć doszła do tego, jak może się czuć Amos – „Ja uwielbiam te trociny, są takie wygodne!” – poświęciła coś (dziś żadnych trocin dla mnie), by zmniejszyć jego dyskomfort. Ten akt altruizmu nie opierał się (lub opierał niecałkowicie) na kalkulacji, co otrzyma w zamian. Był za to motywowany głęboką empatią. Jak zauważył de Waal, Daisy była jak ta, która komuś, na kim jej zależy, poprawia poduszki na szpitalnym łóżku, wiedząc, że temu komuś będzie wtedy lepiej.



Po co?

De Waal sugeruje, że „dla ssaków opieka matki jest prototypową formą altruizmu i matrycą dla całej reszty”. Noszenie w sobie płodu, użyczenie własnego ciała (oraz, jak wiele ludzkich matek zaświadczy, także umysłu) czemuś, co się w tobie rozwija, a potem urodzenie tego, wytwarzanie mleka, by wykarmić dziecko (albo zapewnienie go w inny sposób), uczynienie z potomka centrum wszechświata nie na parę godzin, dni czy tygodni, lecz na całe lata – te codzienne zachowania matek w fundamentalny i głęboki sposób zacierają granicę między ja i inni, między korzyścią własną a bardzo dosłownie męczącym całkowitym współczuciem, empatią i troską o kogoś innego.

Sarah Hrdy twierdzi, że źródłem empatii – tego głębokiego wzajemnego zrozumienia, które każe nam robić dla innych to, co sami chcielibyśmy, żeby oni robili dla nas, nawet za niewiarygodnie wielką cenę – jest nie tylko opieka matczyna, ale także wspólny wychów, filozofia i praktyka spod znaku „potrzeba całej wioski”, tak często (tylko) cytowana przez Hilary Rodham Clinton na uprzemysłowionym Zachodzie, za to wciąż wyraźnie widoczna w innych kulturach, gdzie, jak mówi się w kilku afrykańskich krajach i językach, „dziecko ma wielu rodziców”.

Hrdy i antropolożka Kristen Hawkes, a także od niedawna Katie Hinde pokazały, że – jak ujął to de Waal – „ludzki duch współpracy rozpoczął się wraz ze wspólnotową troską o młode, nie tylko matek, ale też innych dorosłych”. Tymi

dorosłymi bywali mężczyźni, ale przede wszystkim (udowodniły to Hawkes i Hinde) były to inne kobiety – krewne i przyjaźnie nastawione, które po prostu pomagały, kiedy było trzeba, i którym się pomagało, gdy z kolei one tego potrzebowały. Nauka dochodzi do wniosku, że we wspólnym wychowie nie chodzi tylko o zachowanie – chodzi też o dobre samopoczucie. Według de Waala makaki wymownie okazują, że opieka matczyna i wspólnotowa jest przyjemna dla tego, kto się opiekuje. Każdej wiosny, gdy makaki mają młode, niedojrzałe samice wprost wariują, usiłując się na coś przydać i opiekować się dziećmi. Trzymają się zawsze blisko, uważnie i niestrudzenie iskają matki nęcących je maleństw, aż dana matka w końcu wyraża zgodę, by opiekunka mogła się chwilę pobawić z małym. Młode samice łapią je z niepohamowanym entuzjazmem – relacjonuje de Waal – „odwracają je do góry nogami, sprawdzają ich genitalia, liżą po twarzy, wyczesują z każdej strony, aż w końcu zasypiają z dziećmi w kurczowym uścisku”. Takie zapadanie w sen z dziećmi odbywa się jak w zegarku, bez wyjątku, „dając wrażenie, że opiekunki są w transie albo ekstazie”. Przytulanie dziecka powoduje wydzielanie oksytocyny w mózgach opiekunek, co umożliwia im potem słodki sen. Budzą się nieodmiennie po kilku minutach, by oddać małe jego matce.

Tego typu obserwacje zachowania naczelných innych niż ludzie oraz eksperymenty wykorzystujące neuroobrazowanie przywiodły antropologa Jamesa Rillinga do wniosku, że „mamy emocjonalną skłonność do współpracy, która to skłonność może być przewyciężona jedynie przez wymagającą dużego wysiłku kontrolę poznawczą”. Innymi słowy, naszym pierwszym odruchem jest troska; na przeszkodzie, by wprowadzać ją w czyn, staje jedynie nasz umysł.



Nasi dwaj synowie zostali przyjęci do szkół na Upper West Side, co w połączeniu z moją pracą oraz pracą męża – a codziennie jeździł w godzinach szczytu tam i z powrotem z Upper East Side – sprawiło, że nie było się nad czym zastanawiać. Przenieśliśmy się na drugą stronę wyspy. Uważa się, że matki na UWS są bardziej swobodne, przyjazne i zrelaksowane niż te z UES, i rzeczywiście mogłam to potwierdzić. Nikt się specjalnie nie przejmował umawianiem wspólnych zabaw: dzieciaki po prostu pędziły po lekcjach na najbliższy plac zabaw. Bardzo rzadko mnie tu ktoś zaczepia. Nigdy nie czuję się źle ubrana. No i mieszkam teraz bliżej Candace i Lily.

Czasami jednak tęsknię za nieskazitelną Upper East Side, za poczuciem bezpieczeństwa, za jego wypolerowaną na błysk, oficjalną statecznością. Kiedy chcę się spotkać z przyjaciółkami z UES lub poczuć jego klimat – zjeść lunch u Sant Ambroeus czy pobuszować w sklepie Charlotte Olympia albo pooglądać witryny na Madison – względnie szybko mogę wpaść na drugą stronę parku. Wiele moich koleżanek z UES ma dzieci w szkołach na UWS, więc czasami też

spotykamy się po mojej stronie świata. Jak wielu mieszkańców północnej części, żyję tu i tam. Jednak obydwie miejsca – Upper East i Upper West Side – wydają mi się bardzo różne, tak samo jak wielu innym nowojorczykom. Potrafię lubić, doceniać i akceptować tę różnicę, szczególnie odkąd nie jestem już w okopach Upper East Side, usiłując rozszyfrować ten rejon i się w niego wpassować.

Musiałam zrezygnować z mojej birkinki. Będąc na wakacjach w Paryżu, musiałam skonsultować się z lekarką z Szóstej Dzielnicy w sprawie uporczywego drętwienia ręki. Neurologi z Nowego Jorku wykluczyli poważne sprawy, ale nie mieli żadnego rozwiązania, nie odnaleźli żadnej przyczyny. Nie byłam w stanie pisać, co dla pisarki było co najmniej niewygodą. Kilka dni naszego wyjazdu spędziłam, masując swoją prawą rękę i martwiąc się. Szykowna paryska pani doktor usiadła za biurkiem i, jak to szykowne paryżanki, nie tylko wysłuchiwała mojej opowieści, ale także odnotowała mój strój, torebkę i każdy detal wyglądu zewnętrznego. Wreszcie przemówiła z francuską emfazą. Za mój stan winiła ciężką torebkę. Powiedziała: „Albo birkin, albo pisanie. Pani wybiera”.

Lily dwa lata temu urodziła bliźniaczki, a ja zostałam ich matką chrzestną. Widuję dziewczynki prawie w każdy czwartek i postanowiłam je uwielbiać i rozpieszczać. Są pełne energii, ciekawskie i śliczne. I strasznie śmieszne. Lily jest prawdziwą mamą, bardziej niż ktokolwiek inny, jest lepsza i spokojniejsza, niż ja kiedykolwiek byłam, choć miałam tylko jedno małe dziecko naraz. Czasem rozmawiamy o Florze, wtedy Lily mówi mi, że czas nie leczy tej rany, ale że bywa już szczęśliwa. A ja jej mówię, że wydaje mi się, że ją rozumiem.

Moi synowie są już duzi. Potrafią już wszystko to, na czym nam, ludziom Zachodu, bardzo zależy – czytają, piszą, liczą. Każą im ścielić swoje łóżka, wyłączać iPady, pisać liściki z podziękowaniem, patrzeć dorosłym w oczy i odzywać się uprzejmie. A potem odpuszczam. Latem jeździmy na plażę, patrząc wtedy, jak pływają albo bawią się na huśtawce z opony. Widzę, jak nawiązują kontakty z innymi dziećmi, znajomymi i obcymi, na plaży i w okolicy, tak samo jak ja rozmawiam z matkami i ojcami, znajomymi i obcymi. Widzę, że nawet w miejscu tak uprzywilejowanym, zamożnym i kontrolowanym jak Upper East Side i jego satelita East End dzieciństwo może być hałaśliwe, niezaplanowane i łatwe, a macierzyństwo względnie proste. I może być przyjemne.

Kilka razy do roku wyjeżdżamy z mężem bez dzieci – zwykle do Europy lub tam, gdzie wiodą go jego sprawy służbowe – a gdy tam jestem, usycham z tęsknoty na nimi. Zachwyca mnie to, jak inne jest dzieciństwo i macierzyństwo na różnych kontynentach, w różnych miastach, w różnych miejscach. I jak dziwne, ciekawe oraz poruszające są praktyki małego plemienia zamieszkującego małe kawałki małej wyspy, które niegdyś badałam. Myślę wtedy o słowach Karola Darwina. Nie Darwina, którego prace zostały zbyt uproszczone i wykorzystane do usprawiedliwienia bezpardonowej interesowności i racjonalizowania koncepcji

„samolubnego genu”, lecz Darwina ojca, który stracił troje dzieci i opłakiwał je tak bardzo, że niemal stracił chęć życia, i który chętnie pomagał żonie w wychowaniu siedmiorga pozostałych, który także godził ukochaną pracę z rodzicielstwem i który tyle nas nauczył: „Instynkt społeczny każe zwierzęciu czerpać przyjemność z obecności towarzyszy, czuć pewną dozę współczucia i wykonywać dla nich różne czynności”.



Kiedy nie tak dawno temu znaleźliśmy się na przyjęciu dla rodzin na wielkim i nieskazitelnym trawniku przynależącym do wielkiej i nieskazitelnej posiadłości w Hamptons, owszem, czułam się pełna energii i współczucia, wielkoduszna i życzliwa, w dodatku byłam zadowolona z siebie jako matki i pisarki. Sprzedałam książkę, dostarczyłam maszynopis. Było zainteresowanie z Hollywood. W małych, plotkujących kręgach, w których spędzałam czas, to był news, więc ludzie chcieli ze mną rozmawiać. Wiele z tych rozmów było sympatycznych i wspierających, z rodzicami kolegów moich synów, z osobami, które poznałam dzięki byciu matką. Mówili, że mają nadzieję, że wszystko się uda, a książka okaże się sukcesem, i żartobliwie pytali, czy ujawniałam prawdziwe nazwiska. Gdy rozmawialiśmy o tym, a także o innych sprawach, na przykład o tym, do której szkoły chodzą teraz nasze dzieci i czy się im tam podoba, podszedł do mnie mój starszy syn. Był rozpalony i wymamrotał pod nosem:

– Mamo, nie czuję się dobrze.

Dotknęłam jego czoła, miał straszną gorączkę.

– Kochanie, weź sobie wodę i usiądź w cieniu tamtego drzewa, gdzie nikogo nie ma, zaraz do ciebie przyjdę i pojedziemy do domu – powiedziałam i zaczęłam rozglądać się w poszukiwaniu męża i młodszego syna.

Wtedy właśnie zmaterializowała się przede mną – ona, Królowa Królowych Pszczół, najwredniejsza z wrednych mam. Jak dotąd dobrze mi wychodziło unikanie jej – kierowałam się na schody, gdy dostrzegałam ją na korytarzu w szkole, odwracałam się ku przyjaciółkom, gdy spotykałam ją na przyjęciu, no i ogólnie modliłam się, żeby mnie ominęła i poszła dalej. Teraz mimowolnie lekko westchnęłam, mając nadzieję, że jednak idzie gdzie indziej. Zwykle nie zawracała sobie mną głowy – bo niby jak, skoro się kogoś w ogóle nie zauważa? Nawet jeśli patrzyłam na nią przez pryzmat wspólnego wychowu i opieki, nawet jeśli w myślach szukałam dla niej usprawiedliwienia – cierpiała na zaburzenia odżywiania, mąż ją najprawdopodobniej zdradzał; bycie w jej skórze nie mogło być przyjemne, nawet w tych ciuchach z najnowszej kolekcji Chanel – zdecydowanie trudno mi było ją znieść. Słyszałam całe mnóstwo historii o jej ostatnich wyczynach. Mówiła kobietom przy ich przyjaciółkach, że są brzydkie i głupie, że coś jest nie tak z ich dziećmi. Miałam ją po prostu za ordynarną

tyrankę, gorzej – za nagą cesarzową, mimo Chanel. Tylko z powodu jej bogactwa i wpływowości ludzie, którzy za jej plecami przewracali oczami, za bardzo bali się przeciwstawić jej okropnemu zachowaniu. Administratorzy szkoły udawali, że tego nie widzą, bo przekazywała ogromne darowizny. Wszyscy pokornie znosili jej zniewagi, siadali przy jej stoliku na imprezach charytatywnych, z nadzieją na ochłap nie wiadomo czego. Biznesu? Pieniędzy? Kawałka wstążki z jej sukni?

– Cześć – powiedziała, patrząc tak jakby ponad mną. Serce mi zamarło, w głowie zrobiło się pusto.

– Przepraszam, ale mój syn... – zaczęłam, rozpaczliwie rozglądając się na boki, w poszukiwaniu ratunku. Miała całkowicie w nosie, że w ogóle coś mówię, więc przerwała mi, jakbym w ogóle nie miała prawa odpowiedzieć.

– Słyszałam o tej twojej książce czy czymś tam... Jaki ma tytuł? – Skanowała trawnik, szukając lepszych opcji towarzyskich. Poczułam, jak mój chory syn chwyta mnie za rękę.

Powiedziałam jej, jaki będzie tytuł, i zwróciłam się do niego, zapewniając, że już w tej chwili wracamy do domu.

– Fajny ten tytuł – powiedziała bezbarwnym tonem, spoglądając obojętnie na mojego syna.

– Dzięki. A teraz musimy już...

– Pewnie wydawca go wymyślił. – To nie było pytanie. To było stwierdzenie. Przecież nie mogłam sama wymyślić dobrego tytułu, a co dopiero napisać dobrej książki. Wyprostowałam się i spojrzałam jej prosto w oczy. Uśmiechnęła się pogardliwie.

– Nie, to ja go wymyśliłam – odparłam lodowatym tonem. Mój syn zakaszłał. A ona, uśmiechając się sarkastycznie, skwitowała:

– No jasne, oczywiście.

Przez chwilę wyobraziłam sobie, że robię to samo, co pewna kobieta z południa Manhattanu, gdy Królowa Królowych Pszczół obraziła jej dziecko. Legenda głosi, że położyła dłoń na ramieniu Królowej i powiedziała poważnie: „Nikt. Cię. Nie lubi”. I odeszła. Była niczym legendarny bohater – Kobieta, Która Się Odważyła, a pamięć o niej przetrwała w pieśniach i plotkach.

Teraz jednak, zanim zdążyłam się zastanowić, jak się zachować i co powiedzieć, z zadumy wyrwał mnie mój syn. Jakby w zwolnionym tempie, posłusznie, po latach szkolenia, wyciągał ku niej rękę, nie zdając sobie z niczego sprawy. Wyobraziłam sobie siebie, znów w zwolnionym tempie, jako bohaterkę filmów akcji, która rzuca się pomiędzy nich z dramatycznym okrzykiem „Nieeeeeeeeeeeeeee!”, by ocalić inną matkę od budzącej postrach na początku roku szkolnego infekcji. By ją ochronić, jak robiły to inne kobiety opiekujące się mną, bo było jasne, że tej ochrony potrzebuje. Oczyma wyobraźni widziałam się w swoim heroicznym akcie, lądującą na ziemi, z sukienką upapraną ziemią i z

plamami od trawy. Oraz to, jak zaskoczona Królowa Królowych Pszczół patrzy na mnie z wdzięcznością.

Ale ocknęłam się z marzeń. Znow był zwykły słoneczny dzień na trawniku, a ja nie zrobiłam nic, gdy podawała dłoń mojemu synowi – wiotką, z zerowym zainteresowaniem. Odciągnęłam go bez pożegnania z nią, a gdy już w komplecie wychodziliśmy, pospiesznie podziękowałam gospodarzom przyjęcia. Kiedy się odwróciłam, by ostatni raz spojrzeć na gości, zauważyłam z zadowoleniem, że Królowa trze oczy i nos tą samą dłonią, którą przed chwilą ścisnęła rączkę mojego chorego dziecka.

Jemu nic nie będzie, dostanie ibuprofen i trochę odpocznie – byłam pewna. Słońce powoli obniżało się na błękitnym niebie, a ja poczułam jak zalewa mnie wielka fala szczęścia, gdy tak razem z moją rodziną wracaliśmy do domu, ciesząc się pięknym popołudniem.

Źródła

Adaptation and Human Behavior. An Anthropological Perspective, ed. L. Cronk, N. Chagnon, W. Irons, New York 2000.

Baumeister R., Dianne T., *Anxiety and Social Exclusion*, „Journal of Social and Clinical Psychology” 1990, nr 9, s. 165–195.

Beck T., *Estrogen and Female Anxiety. Study Suggests Lower Levels Can Lead to More Mood Disorders*, „Harvard Gazette”, 9 sierpnia 2012.

Bell A., Hinde K., Newson L., *Who Was Helping? The Scope of Female Cooperative Breeding in Early Homo*, „PlosOne”, grudzień 2013 (www.plosone.org/article/info%3Adoi%2F10.1371%2Fjournal.pone.0083667).

Bennetts L., *The Feminine Mistake. Are We Giving Up Too Much?*, New York 2007.

Blurton-Jones N., *The Lives of Hunter-Gatherer Children. Effect of Parental Behavior and Parental Reproductive Strategy*, [w:] *Juvenile Primates. Life History, Development, and Behavior*, ed. M.E. Pereira, L.A. Fairbanks, New York 1993, s. 309–326.

Bogin B., *Evolutionary Hypotheses for Human Childhood*, „Yearbook of Physical Anthropology” 1997, nr 40, s. 63–89.

Campbell A., Haussman M., *Effects of Oxytocin on Women’s Aggression Depend on State Anxiety*, „Aggressive Behavior” 39 (2013), nr 4, s. 316–322.

Carmon I., *Strong Proof. ‘Drink’ and ‘Her Best-Kept Secret’*, „Sunday Book Review, New York Times”, 13 listopada 2013.

Waal F. de, *Bonobo i ateista. W poszukiwaniu humanizmu wśród naczelnych*, tłum. K. Kornas, Kraków 2014.

Deans E., MD., *Dieting Can Make You Lose Your Mind*, „Psychology Today”, 24 marca 2011 (www.psychologytoday.com/blog/evolutionary-psychiatry/201103/dieting-can-make-you-lose-your-mind).

Donner N., Lowry Ch., *Sex Differences in Anxiety and Emotional Behavior*, „European Journal of Physiology” 2013, nr 465, s. 601–626.

Generalized Anxiety Disorder. An In-Depth Report, „New York Times” (www.nytimes.com/health/guides/disease/generalized-anxiety-disorder/print.html).

Gesquiere L. i in., *Life at the Top. Rank and Stress in Wild Male Baboons*, „Science” 2011, nr 333, s. 357–360.

Glaser G., *Why She Drinks. Women and Alcohol Abuse*, „Wall Street Journal”, 13 czerwca 2013.

Glaser G., *Her Best-Kept Secret. Why Women Drink – and How They Can Regain Control*, New York 2013.

Grant A.M., Schwartz B., *Too Much of a Good Thing. The Challenge and Opportunity of the Inverted U*, „Perspectives on Psychological Science” 2011, nr 6, s. 61.

Hays S., *The Cultural Contradictions of Motherhood*, New Haven 1996.

Hays S., *The Ideology of Intensive Mothering*, [w:] *From Sociology to Cultural Studies. New Perspectives*, ed. E. Long, New York 1997.

Hunter Gatherer Childhoods. Developmental and Cultural Perspectives, red. B. Hewlett, M. Lamb, Piscataway 2005.

Hoffman S., Asnani A., *Cultural Aspects in Social Anxiety and Social Anxiety Disorder*, „Depression and Anxiety” 27, grudzień 2012, s. 1117–1127.

Hrdy S.B., *Mothers and Others. The Evolutionary Origins of Mutual Understanding*, Cambridge 2009.

Hrdy S.B., *Mother Nature. Maternal Instincts and How They Shaped the Human Species*, New York 1999.

Konner M., *The Evolution of Childhood: Relationships, Emotion, Mind*, Cambridge 2010.

Kramer K., *Variation in Children’s Work among Modern Maya Subsistence Agriculturalists*, University of New Mexico 1998.

Kramer K., *Maya Children. Helpers at the Farm*, Cambridge 2005.

Lurey D., *The Anthropology of Childhood. Cherubs, Chattel, Changelings*, Cambridge 2008.

Mauss M., *Szkic o darze. Forma i podstawa wymiany w społecznościach archaicznych*, [w:] tenże, *Socjologia i antropologia*, tłum. M. Król, K. Pomian, J. Szacki, Warszawa 2001.

Offer S., Schneider B., *Revisiting the Gender Gap in Time-Use Patterns. Multitasking and Well-Being among Mothers and Fathers in Dual-Earner Families*, „American Sociological Association” 76 (2011), nr 6, s. 809–833.

Sapolsky R., *A Primate’s Memoir. A Neuroscientist’s Unconventional Life Among the Baboons*, New York 2002.

Sapolsky R., *Peace Among Primates oraz How to Relieve Stress* (www.beinghuman.org/mind/robert-sapolsky).

Scutti S., *Binge Drinking – Rich Women Most Likely to Binge Drink*, „Medical Daily”, 24 kwietnia 2013.

Shostak M., *Nisa. The Life and Words of a !Kung Woman*, Cambridge 2000.

Small M., *Our Babies, Ourselves. How Biology and Culture Shape the Way We Parent*, New York 1999.

Small M., *Kids. How Biology and Culture Shape the Way We Parent Young Children*, New York 2002.

- Smith H.J., *Parenting for Primates*, Cambridge 2005.
- Smuts B., *The Evolutionary Origins of Patriarchy*, „Human Nature” 6 (1995), nr 1, s. 1–32.
- Sterck E. i in., *The Evolution of Female Social Relationships in Nonhuman Primates*, „Behavioural Ecology and Sociobiology” 1997, nr 41, s. 291–309.
- Female Competition and Aggression. Interdisciplinary Perspective*, ed. P. Stockley, A. Campbell „Philosophical Transactions of the Royal Society/Biological Sciences”, październik 2013.
- Summary of Vital Statistics 2012, The City of New York. Pregnancy Outcomes*, New York, New York City Department of Health and Mental Hygiene, 2014.
- Symons J., *Caveman Fasting Diet May Leave Women Diabetic*, „Express”, 27 stycznia 2013.
- Take Care Upper East Side*, „Community Profiles”, New York, New York City Department of Health and Mental Hygiene, 2006.
- Thompson C., *The Ecology of Stress*, „New York Magazine”, 15 września 2010 (nymag.com/nymetro/urban/features/stress/10888/).
- Volk A.A., Atkinson J., *Is Child Death the Crucible of Human Evolution?*, „Journal of Social and Cultural Evolutionary Psychology” 2008, nr 2, s. 247–260.
- Walter C., *Why Are We the Last Apes Standing? How Childhood Helped Modern Humans Conquer the Planet*, „Slate”, 29 stycznia 2013 (www.slate.com/articles/health_and_science/science/2013/01/evolution_of_childhood_prolonged_development_helped_homo_sapiens_succeed.html).
- Warner J., *Perfect Madness: Motherhood in the Age of Anxiety*, New York 2005.
- Weisner T., Gallimore R., *My Brother’s Keeper. Child and Sibling Caretaking*, „Current Anthropology” 18 (1977), s. 169–190.

Podziękowania

Jestem niezmiernie wdzięczna wszystkim kobietom, matkom małych dzieci, które nauczyły mnie, jak być mamą z Upper East Side. Początkowo im nie ufałam, tak jak one nie ufały mnie, ale w rezultacie dowiodły tego, o czym wiedzą wszyscy prymatolodzy: jesteśmy niezwykle prospołecznymi i afiliacyjnymi istotami, które w dużej mierze zostały ukształtowane przez wspólnotowe rodzicielstwo. Te matki z UES, które mnie zaakceptowały, były wspaniałymi i życzliwymi przewodniczkami, pokazywały mi, jak mam żyć, rozkodowując lokalny system przekonań, i robiły to z ogromną inteligencją, humorem i uciechą. Dzieliły się ze mną komicznymi anegdotami oraz opowieściami łamiącymi serce na każdy ważny dla prymatów temat – władzy, rodzicielstwa, seksu, lęku i utraty, że wymienię tylko parę z nich. Prowadziły mnie za kulisy, otwierały przede mną swoje domy, dzieliły się spostrzeżeniami, przemyśleniami, uczuciami i – co tak ważne dla nas, wielkich małp – swoim jedzeniem. Dzięki nim przestałam być outsiderką i poznałam ciepło ogniska, przy którym siedzi się w towarzystwie swoich ludzi. Mam ogromny dług wdzięczności wobec przyjaciół, którzy słuchali, doradzali i pokazywali kontekst. Moje podziękowania niech więc zechcą przyjąć: Regan Healy-Asnes, Jill Bikoff, Lindsay Blanco, Jackie Cantor, Vivien Chen, Amy Fusselman, Elizabeth Gordon, Lauren Geller, Barrie Glabman, Judith Gurewich, Marjorie Harris, Eva Heyman, Suri Kasirer, Jennifer Kingson, Kelly Klein, Beth Kojima, Ellen Kwon, Nancy Lascher, Simone Levinson, Wellington Love, Eve MacSweeney, David Margolick, Jennifer Maxwell, Jackie Mitchell, Liz Morgan Welch, Arianna Neumann, Solana Nolfo, Jeff Nunokana, Debbie Paul, Rebecca Rafael, Barbara Reich, Tina Lobel-Reichberg, Jessica Reif-Cohen, Atoosa Rubenstein, Jackie Sackler, Erica Samuels, Jen Schiamberg, Caroline Schmidt, Adam Schwartz, Carole Staab, Dana Stern, Rachel Talbot, Amy Tarr i Amy Wilson.

Redakcja Trish Todd była wnikliwa, celna, a także cierpliwa i wykonywana z wrażliwością matki, która wie, jak opiekuńcze są inne matki wobec swoich dzieci. Jest w pełnym znaczeniu tego słowa książkową szamanką. Dziękuję Richardowi Pine'owi, który zrobił więcej, niż musiał, i Sandi Mendelson, która nigdy nie odpoczywa. Bethany Saltman pomogła mi bardzo przy kwerendzie. Jestem wdzięczna profesorom: Katherine MacKinnon, Richardowi Prumowi, Katie Hinde i Danowi Whartonowi za poświęcenie czasu, by oświecić takiego laika jak ja, którego błędne rozumienie ich poglądów nie zmniejszyło ich cierpliwości ani wyrozumiałości. Za jakiegokolwiek nieścisłości naukowe zawarte w tej książce biorę

całkowitą odpowiedzialność. Dziękuję także ekspertom, lekarzom Heidi Waldorf i Dennisowi Grossowi, doktor Stephanie Newman i prawniczce Rachel Blakeman, których uwagi o pięknie i lęku wpłynęły na moje myślenie o tych kwestiach.

Bez wsparcia kilkorga allorodziców, którzy opiekowali się moimi dziećmi, nie byłabym w stanie napisać tej książki. Dziękuję Carlosowi Fragoso, Elizabeth Dahl i Sarah Swatez. Moje dzieci stworzyły też trwałe i znaczące więzi ze swymi kuzynami, ciotkami, wujkami, dziadkami i przyrodnimi siostrami, którym jestem ogromnie wdzięczna. Dzięki mojej własnej mamie, która jakimś cudem znalazła czas, by rozkochać mnie w antropologii, biologii, Glorii Steinem oraz Jane Goodall i jej szympansach, mimo że wychowywała troje dzieci z dala od własnej rodziny i bez pomocy niań. Szczególne podziękowania należą się mojej przyjaciółce Lucy Barnes, która z właściwą sobie życzliwością i szlachetnością pytała mnie niemal co dzień: „Jak tam książka?”, i dzięki której mam zaszczyt być chrzestną matką jej córek, Sylvie i Willi.

Moje dzieci, Eliot i Lyle, nauczyły mnie, by podejmować ryzyko matczynej miłości. Kocham Was, Małpiszony. Na koniec mój pierwszy czytelnik i najlepszy wybór, jakiego dokonałam w życiu – mój mąż Joel Moser. Dzięki Niemu stałam się matką i dowiedziałam się, że więź między dwojgiem ludzi, mimo że w perspektywie ewolucji jest anomalią i zaledwie mgnieniem, może być czymś wspaniałym. I za to jestem Mu dozgonnie wdzięczna.

Tytuł oryginału

Primates of Park Avenue. A memoir

Copyright © 2015 by Wednesday Martin

Originally published by Simon & Schuster, Inc.

Copyright © for the translation by Magdalena Zielińska

Projekt okładki

Elżbieta Chojna

Fotografia na pierwszej stronie okładki

Copyright © Ozgur Donmaz/Stockbyte/Getty Images

Opieka redakcyjna

Aleksandra Kamińska

Ewa Polańska

Artur Wiśniewski

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku

DreamTeam

ISBN 978-83-240-3777-3

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

